

HENRYK KAROL SKIBA

BURCHEL



Henryk Karol Skiba

Burchel

© Copyright by Henryk Karol Skiba 2019

Projekt okładki: Tomasz Bielefeldt

W projekcie okładki wykorzystano zdjęcie pałacyku myśliwskiego w Klenicy, autorstwa Mohylek, udostępnione na licencji Creative Commons na stronie:

https://commons.wikimedia.org/wiki/File:Klenica_palac.jpg

ISBN 978-83-7564-572-9

Wydawnictwo My Book

www.mybook.pl

Publikacja chroniona prawem autorskim.

Zabrania się jej kopiowania, publicznego udostępniania w Internecie oraz odsprzedaży bez zgody Wydawcy.



Wstęp

Niektórzy czytelnicy zapewne sądzą, że napisać kryminał retro to łatwizna, bagatelka. Ot, trochę przeszłości, trup znaleziony po latach, może jakiś skarb i nostalgiczne wspomnienie jakiegoś miejsca. Przekonajcie się sami. W książce, którą trzymacie w rękach, autor zabiera Was w podróż w czasie, gdzie nawet słowa zmieniają znaczenie. Nie mówiąc już o technikach kryminalistycznych i metodach śledztwa. A jeżeli do tego zobaczycie, że miejsce zbrodni nagle znalazło się w innym państwie i systemie politycznym, to zauważycie także, że to nie takie proste. Zwłaszcza że i historii nie dało się pominąć, a wątki się przeplatają. Są Radziwiłłowie w Klenicy. Jest rodząca się do życia Polska, powstanie wielkopolskie, kajzerowskie i hitlerowskie Niemcy oraz PRL, NRD i wreszcie Niemcy Zachodnie. I to wszystko łączy tytułowy Burchel.

W 1942 roku niemiecki inspektor Leo Hundt prowadzi śledztwo, przerwane przez wojnę. Potem, kiedy w Klenicy dochodzi do kolejnego morderstwa, jest to już teren Polski i dochodzenie prowadzi MO. Trochę miesza osławione enerdowskie STASI, które raczej przeszkadza, niż pomaga. Z powodu braku woli politycznej śledztwo się zacina. Dopiero emerytowani detektywi, Polak Alfons Zieja, zwany Kuflem, i Leo Hundt - Niemiec, dawny mieszkaniec Zielonej Góry, najbardziej zbliżają się do rozwiązania tajemnic zbrodni.

Część I

15 czerwca 1942, poniedziałek

Gdzie jest Albert Burchel?

Świtało. Gdzieś na wsi czekały psy. Wschodzące czerwcowe słońce pomalutku przebijało się przez wznoszące się nad łąkami mgiełki. Idylla. Wojna była gdzieś daleko. Jej ślad pojawiał się tylko jako łyż kilku matek i żon, których synowie i mężowie już nigdy nie mieli powrócić do domów. Kleniczenie rozpoczynali kolejny dzień pracy.

W Radziwiłłowskim pałacyku myśliwskim, należącym od kilku lat do Karla Richtberga z Berlina - fabrykanta podkładów kolejowych i drewnianych słupów elektrycznych, pracowała już Helena Zepke, która mieszkała na wsi. Na czas pobytu właściciela i jego rodziny była w pałacu kucharką.

W oddalonym o kilkaset metrów folwarku przygotowywano krowy do udoju i zapędzenia ich do zagród nad Odrą. W nieczynnej o tej porze roku gorzelni stała luksusowa limuzyna Richtberga - renault suprastella. Towarzysze partyjni¹ wielokrotnie zwracali mu już uwagę, że powinien raczej jeździć niemieckim autem. Przecież Francuzi to wrogowie Niemiec. Zwykle odpowiadał, że marszałek Pétain też takim autem jeździ. Na wszelki wypadek jednak już zamówił mercedesa pullmana, chociaż ta posiadana studziesięciokonna limuzyna była idealnym pojazdem na dalekie podróże z Berlina do Kleinitz i do innych² jego posiadłości i zakładów.

Ostatnio Karl Richtberg wraz z rodziną każdego roku spędzali kilka tygodni wakacji w Kleinitz. Bywali tutaj także, kiedy dla przyjaciół i prominentów partyjnych organizowano polowania. Zwykle zajmowali południową część parteru, a przygotowane przez Helenę posiłki jadali w salonie. Serwowała je im Greta, która mimo że pochodziła z Kleinitz, miała w pałacu oddzielny pokój, do

którego można było wejść z korytarzyka, połączonego drzwiami z kuchnią, albo z zewnątrz. Greta była dwudziestodwuletnią, dość atrakcyjną, dobrze zbudowaną szatynką o okrągłej gładkiej twarzy, pełnych ustach i zdecydowanie zarysowanych brwiach. Przyszła tu do pracy po ukończeniu szkoły gospodarczej dla panien.

W dawnych pomieszczeniach nadleśnictwa znajdujących się w północnej części parteru były teraz biura zarządcy. Wchodziło się do nich z głównego holu albo z bocznego wejścia. Od kuchni oddzielał je długi na około dziewięć metrów i dwumetrowej szerokości korytarz. W pomieszczeniu przylegającym do biura mieściło się archiwum, do którego od wielu lat nikt już nie zaglądał. Równie starym, jak to archiwum był „człowiek do wszystkiego”, niejaki Albert Burchel, mieszkający „od zawsze” w pałacu – w dawnym mieszkaniu woźnicy. Niektórzy żartowali, że Richtberg zakupił³ go razem z pałacem. Burchel był jeszcze dość dziarskim emerytem. Od nowego właściciela nie pobierał wynagrodzenia, ale jako wieloletni pracownik i dawny zaufany Radziwiłłów był tu niezwykle przydatny, gdyż wiedział wszystko o pałacu, majątku i wsi. Bywało, że kiedy wracał ze swoich długich spacerów po pałacowym parku, wskazywał zarządcy takie czy inne uchybienia czy nieporządki. Traktowano to ze zrozumieniem i z wdzięcznością, gdyż był to człowiek doświadczony i promieniujący empatią.

Tego roku pan Richtberg postanowił dokonać inspekcji pałacu. Na samym początku stwierdził, że pomieszczenie, w którym dotychczas mieściło się archiwum, doskonale nadawałoby się na sekretariat. Polecił więc swojemu, specjalnie przybyłemu z Berlina, archiwście Hermanowi Winklerowi dokonać inwentaryzacji i przeniesienia wartościowych i niezbędnych archiwaliów do jednego z pomieszczeń magazynowych, graniczących przez ścianę z mieszkaniem Burchela.

Po tygodniu sprawa została załatwiona, a Winkler wrócił do Berlina. Ponieważ jesienią zaplanowane było polowanie, Richtberg dokładnie zlustrował pałacowe pomieszczenia. W kuchni należało pomalować niedawno wymieniony kawałek rury wodociągowej. Na pierwszym piętrze okazało się, że o ile pokoje gościnne były w zupełnie przyzwoitym stanie, to pokój do narad i sala bankietowa wymagały zmiany tapet. Wszędzie brakowało obrazów i dekoracji, ponieważ ostatni Radziwiłł⁴ przebywający krótko w Klenicy wszystko, co mógł, wywiózł. Nawet trofea myśliwskie, które tu ongiś dekorowały ściany. „Dobrze, że tych alabastrowych płaskorzeźb z popiersiami cesarza Wilhelma I, Wilhelma II, Antoniego księcia Radziwiłła i cesarza Francuzów Napoleona III nie powyrywał ze ścian”, pomyślał Richtberg, przyglądając się dekoracyjnym owalom na ścianach, pomiędzy oknami wychodzącymi na park. Postanowił, że zanim wyda polecenie, zasięgnie rady Alberta Burchela. Ten przecież widział te pomieszczenia za czasów księżnej Marii - znanej estетки. Burchela jednak w mieszkaniu nie zastał. Nazajutrz także go nikt nie widział.

16 czerwca 1942, wtorek

Zatopiony zaprzęg

Chwilowo zapomniano o zniknięciu Burchela, gdyż stało się nieszczęście. Należący do majątku wóz wraz z woźnicą i zaprzęgiem wpadł do oczka wodnego za lasem, które miejscowi nazywali „Bańczykowe”. Wielkiego dochodzenia nie było. Policjant z Bojadeł przepytął świadków, sporządził protokół i powiadomił powiat. Jakiś inspektor z Grünberg⁵ sprawdził wszystko na miejscu i wyjechał. Podleśniczy August Radam, który był świadkiem tego nieszczęścia, relacjonował to potem zarządcy Zanderowi tak:

- Ciężki drewniany wóz zaprzęgnięty w dwa konie przyjechał z majątku do lasu po drewno. Jeszcze nie zdążono go załadować, gdy nagle konie się spłoszyły i jak szalone pognały w kierunku stawu. Woźnica nie był w stanie ich zatrzymać. Wpadły do stawu, podobno głębokiego tam na ponad dziewięć metrów. Pobiegliśmy na miejsce z jednym z drwali, ale wóz, konie i woźnica zniknęli na zawsze. Nic nie było widać oprócz zamulonej bulgoczącej wody. Ratować nie było jak.

- A nazajutrz, kiedy woda wyklarowała się, też nie było nic widać? - wypytywał zarządca.

- Nie. Jakby nic się nie stało. Tylko ślady po końskich kopytach i żelaznych obręczach kół wskazywały na tragedię.

- Kto był woźnicą?

- Heinrich Schuldner. Mówili na niego „Szuldi”. W majątku jest, to jest był - zachnął się Radam - dopiero od trzydziestego dziewiątego. Podobno przedtem siedział.

- Pamiętam. Rodziny to on tu chyba nie ma?

- Nie, był zupełnie sam. Z akcentu sądząc, to Saksończyk. Mieszkał w małym pokoiku w folwarku.

- Nie pamiętam, żeby w czymś podpadał?

- Nie, chyba nie. Ludzie wprawdzie trochę na jego temat plotkowali, ale to nic nadzwyczajnego. O każdym coś tam paplają.

- No cóż. Niech spoczywa w spokoju - zakończył rozmowę zarządca.

Burchela nie było już od kilku dni i nikt nie wiedział, gdzie się podział. Zaczęto podejrzewać, że starszy pan nieoczekiwanie zmarł we własnym łóżku. Kiedy zarządca Alfred Zander kolejny raz zapukał do jego drzwi, stwierdził, że mieszkanie jest otwarte. Wszedł tam. Relacjonował później, że zobaczył niebotyczny bałagan, powywalane szuflady, wywrócony siennik, przewrócone krzesła i otwarte szafy, ale Alberta Burchela w mieszkaniu nie było.

- Trzeba natychmiast zawiadomić policję - rzekł Karl Richtberg, kiedy zarządca go o tym poinformował.

Na posterunek *Schupo*⁶ w Boyadel⁷ sam zadzwonił. Za kilkanaście minut wachmistrz Paul Grünwald zajechał motorem pod pałac. Zarządca Zander zaprowadził go do mieszkania Burchela. Policjant stwierdził fachowo, że ktoś tu czegoś szukał. I nic nie wskazuje na to, żeby pan Burchel dokądś się wybierał, ponieważ pootwierane walizki także leżały na podłodze.

- Po powrocie na posterunek natychmiast uruchomię sprawę - rzekł wachmistrz. - Prześlę odpowiedni meldunek do *Kripostelle*⁸ w Grünberg.

19 czerwca 1942, piątek

W pałacu pojawia się Leo Hundt

Nazajutrz w klenickim pałacu pojawił się inspektor Leo Hundt - od 1939 *Revieroberleutnant*⁹ Hundt, co mu wcale nie odpowiadało, bo po cichu faszystów nie cierpiał i od nich stronił. Od kiedy nastali, nie awansował, chociaż już dawno powinien być komisarzem. Dlatego wolałby, żeby nadal nazywano go inspektorem, jak go tytułowano przez ostatnie kilkanaście lat. Inspektor był człowiekiem starej daty. Czterdziestokilkuletnim siwiejącym mężczyzną pod muchą, z nieodłącznym cygarem w zębach. Wysokie czoło, jasne przyjazne oczy, wydatny nos i lekko wysunięta dolna szczeka świadczyły z jednej strony o sporej dozie empatii, a z drugiej o umiejętności zdecydowanego działania. O swoim nosie sam mówił, że w policji to szczególnie przydatny organ, chociaż koledzy z sekcji złośliwie twierdzili, że jednak lepszy jest policyjny pies.

Po przedstawieniu się panom Richtbergowi i Zanderowi inspektor udał się do mieszkania Burchela, w którym spędził kilka godzin. Zaczął od fotograficznego udokumentowania zastanego bałaganu. Sprawdził okna i drzwi, tu i ówdzie pobierając odciski palców. Szukał, chociaż sam nie wiedział czego. Przekartkował leżące na podłodze książki, po czym wstawiał je z powrotem na półkę. Wreszcie siadł na fotelu, zaświecił elektryczną staroświecką lampę, zapalił cygaro i przejrzał albumy z fotografiami z minionego półwiecza. Zajęło mu to sporo czasu. W czarnym kajeciku, wyjętym z bocznej zewnętrznej kieszeni kurtki, co rusz coś notował. W końcu zamknął swoją walizeczkę operacyjną, wsunął notes do kieszeni i wyszedł.

19 czerwca 1942, piątek

Obiad i historia

Zaproszenie na obiad inspektor przyjął z przyjemnością. Tym razem do stołu podawała Helena, co spowodowało, że pani Richtberg zapytała:

- Co się stało z Gretą, że to nie ona dzisiaj podaje, Frau Zepke?

- Została w swoim pokoju. Nie czuje się najlepiej.

- Rozumiem - odparła pani Richtberg, wymownie spoglądając na kucharkę.

Rozmowie przy stole uważnie przysłuchiwał się inspektor Hundt, zwłaszcza gdy zeszła na Alberta Burchela. Niekiedy i on zadawał pytania:

- Od kiedy Albert Burchel jest u państwa?

- Od zawsze - odparł Richtberg. - On był już tutaj, kiedy myśmy nastali. Pan Burchel to zaufany człowiek Radziwiłłów, którzy prawnie zapewnili mu w tym pałacu dożywocie.

- Jego obecność w pałacu zupełnie nam nie przeszkadza. My go bardzo lubimy. To zacny i miły człowiek - dodała pani Richtberg.

- I niekiedy bardzo pomocny. On zna pałac na wylot. Wszak był tu już za czasów księżnej Marii Radziwiłłowej. Podejrzewam, że wie niejedno, o czym my nie mamy pojęcia - dodał zarządca.

- A dlaczego jego zniknięcie zgłosiliście państwo tak późno?

- Przecież to wolny człowiek. Mógł gdzieś wyjechać - odpowiedział zarządca Zander. - Nie wszczyna się alarmu zaraz, kiedy kogoś nie ma w domu.

- Ale właściwie to ten wypadek ze spłoszonymi końmi odwrócił naszą uwagę od nieobecności pana Burchela w pałacu - wtrącił pan Richtberg.

Inspektor popatrzył na niego z zainteresowaniem.

- O jakim wypadku pan mówi? - zapytał.

- Nie wie pan? Wachmistrz z Bojadł powiadomił was przecież. Był tutaj ktoś z powiatowej policji i sprawy już nie kontynuowano. Panie Zander - zwrócił się Richtberg do zarządcy - proszę opowiedzieć panu inspektorowi, jak to było. Pan lepiej zna szczegóły.

Zarządca opowiedział inspektorowi, co usłyszał od podleśniczego, i dodał, że jeszcze tego samego dnia powiadomiono posterunek policji w Bojadłach.

- Kiedy to było? - dochodził inspektor.

- To było już po tym dniu, w którym pan Richtberg po raz pierwszy chciał porozmawiać z Albertem Burchelem - odparł Zander.

- Ile czasu upłynęło od tego momentu do wypadku z końmi i woźnicą?

Zarządca bezradnie popatrzył na Richtberga.

- Ja pukałem do mieszkania starszego pana w poniedziałek, a wypadek z końmi był w środę - oznajmił ten.

- To mi wystarczy. Przecież podobno jest jakiś protokół. Będę to mógł dokładnie ustalić. Proszę mi tylko jeszcze powiedzieć, czy wiadomo, dlaczego konie się spłoszyły?

- Oficjalnie nic nie wiadomo. Może przestraszyły je szerszenie, a może jakieś zwierzątko leśne - rozważał Zander.

A może jakiś człowiek? - pomyślał tylko inspektor.

Podano kawę i ciasto. Później panowie zostali sami. Inspektor zapalił cygaro i tak kierował rozmową, by poznać jak najwięcej szczegółów z pałacowego życia. Jak najwięcej faktów starał się zapamiętać, aby je później zanotować w tym swoim czarnym kajeciku.

- Czy ostatnio w pałacu był ktoś obcy? - zapytał, spoglądając na swoich rozmówców.

- Nie. Nikogo obcego tu nie było - poinformował zarządca.

- To wprawdzie nie był obcy, ale przez kilka dni pracował tu mój archiwista - wtrącił się Richtberg. - Specjalnie go tu sprowadziłem z Berlina, bo wie pan, inspektorze, pomyślałem, że już czas uporządkować to stare, jeszcze poradziwiłłowskie archiwum.

- Może mi pan podać nazwisko tego archiwisty? - poprosił Hundt.

- Tak. To Herman Winkler z Berlina. Z mojej firmy - dodał.

- Czy pan Winkler był tu przed czy po zniknięciu Alberta Burchela?

- To było w ubiegłym tygodniu, zatem kilka dni przed tym.

Inspektor zamilkł. Wzrok przeniósł na otwarte okna, za którymi panowała piękna czerwcową pogodą. Richtberg dolewał koniaku do lampek, spoglądając pytająco na inspektora. Ten zaprzeczył gestem ręki, podejmując rozmowę:

- Od kiedy państwo jesteście w Klenicy?

- Przyjechaliśmy z Berlina pod koniec maja.

- Jak dotarliście tutaj? Pociągiem czy samochodem?

- Przyjechaliśmy samochodem. To najwygodniej.

- Sam pan prowadzi auto? - dochodził inspektor.

- Nie, mamy szofera.

- A ten szofer, to gdzie teraz jest?

- Kazałem mu pojechać pociągiem z powrotem do Berlina. Tam w zakładach ma inne zadania. Umówiliśmy się, że przejdzie po nas do Klenicy, kiedy zadzwonię.

Inspektor Hundt wyjął z wewnętrznej kieszeni kilka starych fotografii. Spojrzał najpierw na swoich rozmówców, a potem na trzymany w ręku plik zdjęć, po czym podał je Richtbergowi. Ten uważnie im się przyglądał i podawał Zanderowi.

- Czy panowie znają kogoś z tych zdjęć?

- Tak, to chyba nasz Burchel - oznajmił Richtberg. Po chwili dodał: - To stare pozowane zdjęcie w sepii

z pewnością przedstawia Alberta Burchela. Musiał wtedy być jeszcze bardzo młodym mężczyzną.

- Na tym nieco późniejszym zdjęciu widzimy pana Burchela z jakimś eleganckim młodym mężczyzną. To zdjęcie było już chyba zrobione po pierwszej wojnie. Tyle że nie w Klenicy. Zupełnie nie znam tego zamku w tle - komentował Zander.

- A ja tu mam taką stareńką fotografię, myślę, że z ubiegłego wieku. To chyba księżna Maria Dorota Radziwiłłowa z synami - wtrącił się Richtberg. - Z prawej strony obok dostojnej matki stoi dorosły mężczyzna. Domyślam się, że to Jerzy, a z drugiej strony młodzieniec. To chyba Stanisław. W tle nasz pałac.

- To znaczy, że obaj bywali w Klenicy - zauważył inspektor. - Czy oni jeszcze żyją?

- Z tego, co mi opowiadał Burchel, to obaj już nie żyją. Ale z pewnością w Klenicy bywali. Pan Burchel opowiadał mi kiedyś, że ten młodszy, znaczy się Stanisław, pobierał nauki w Królewskim Pedagogium w niedalekim Züllichau¹⁰.

- Domyślam się, że na tej nowszej fotografii obok pana Burchela także stoi Stanisław Radziwiłł, bo mocno podobny do tego młodzieńca z najstarszego zdjęcia, gdzie widać matkę z synami.

Inspektor schował fotografię, zgasił tłący się jeszcze ogarek cygara i zapowiedziawszy, że w myśl zasady: *nach dem Essen tausend Schritte nicht vergessen*¹¹ musi się przespacerować, opuścił salon Richtbergów.

19 czerwca 1942, piątek

Ogrodnik i gorzelnia

Stojąc na ganku paradnego wejścia do klenickiego pałacu, spoglądał zamyślony na nieodległe łąki i dalekie łaciate pola, ciągnące się bez mała do samych Bojadeł. Było gorące popołudnie. Inspektor zdjął marynarkę i czym prędzej skierował się do parkowych alejek, by skryć się w cieniu starych wiązów, klonów i jaworów. Przysiadł na najbliższej ławeczce. Z kieszeni wyjął swój czarny notes i automatyczny ołówek. Niestety zapisać niczego nie mógł, bo w ołówku skończył się wkład. Akurat teraz – zaklął w duchu – obym czegoś nie zapomniał. Ruszył dalej, dochodząc do ogrodu i szklarni. Jakiś człowiek w słomkowym kapeluszu wstawiał szklarniową szybkę.

- Dzień dobry – zagadał inspektor. – Gorący dzisiaj mamy dzień.

- Dzień dobry. Zaczęło się lato, więc tak ma być. A pan to pewnie ten inspektor z policji? – zapytał mężczyzna, uważnie przyglądając się Hundtowi.

- Tak, to ja. A pan to kto, jeśli można zapytać?

- Ja tu jestem ogrodnikiem.

- Jak pan zapewne wie, szukamy Alberta Burchela, może go pan gdzieś widział?

- Tak. Zdaje się, że go widziałem. To było chyba w poniedziałek późnym popołudniem. Tak, palikowałem pomidory. Burchel przechadzał się po parku, jak zwykle w swojej tweedowej marynarce i w tym swoim kraciastym kaszkiecie.

- Widział go pan z bliska? – chciał wiedzieć inspektor.

- Nie, mignął mi w parku. Nie przyglądałem mu się.

- U pana tutaj wszystko w porządku? – zapytał inspektor.

- Właśnie wstawiam stłuczoną szybkę, ale to pewnie policji nie interesuje. – Po chwili dodał: – To chyba nic

wielkiego, ale od paru dni szukam taczki. Powinna być pod tym zadaszeniem – ogrodnik wskazał miejsce – ale jej tam nie ma. Pewnie gdzieś się znajdzie. Może ktoś ją sobie tylko pożyczył i zapomniał postawić na miejsce.

- Co to za taczka? – zainteresował się inspektor.

- No, taka zwyczajna drewniana, jednokołowa taczka. W dość dobrym stanie. Koło z metalową obręczą pomalowane na czerwono. Reszta jest zielona. Może gdzieś ją pan zobaczy.

- Kiedy zauważył pan jej brak?

- Wczoraj albo przedwczoraj. Dokładnie nie pamiętam – odpowiedział po chwili ogrodnik.

- Gdybym ją gdzieś zobaczył, dam znać – odparł inspektor i machnąwszy przyjaźnie ręką, poszedł dalej.

Do zacienionej drogi prowadzącej do folwarku było już niedaleko. Poszedł tam, rozejrzał się. Stary dworek, przed którym stał maszt z lekka łopoczącą flagą. Zauważył wyglądające z okien dziewczyny z RAD¹². Dziewczęcy obóz służby pracy – pomyślał. Rozejrzał się. Z lewej i z prawej strony zabudowania gospodarcze. Na wprost gorzelnia, a obok piętrowy budynek mieszkalny. Szeroka brama do nieczynnej o tej porze roku gorzelnii stała otworem. Zajrzał tam. Zobaczył wytworną czarną limuzynę Richtberga. W głębi jakiś chłopak sprzątał wokoło urządzeń gorzelnianych.

- Hej, chłopcze! Wiesz może, gdzie mieszkał ten woźnica, co razem z wozem i końmi wpadł do stawu?

Chłopak popatrzył na inspektora i odparł:

- Chodzi panu o Szuldiego? Miał taki pokoik w przedłużeniu chlewni, ale teraz wysprzątailiśmy tę klitkę, pobiałkowaliśmy ją i wkrótce zamieszka tam nowy woźnica.

- Zostały jakieś rzeczy po Szuldim?

- On niewiele posiadał. Mnie tam nie było, ale słyszałem, że oprócz kilku rzeczy przekazanych dla biednych resztę po prostu wyrzucono.

- Jaki był ten Szuldi? - dociekał inspektor.

Chłopak najpierw bezradnie popatrzył na inspektora, a za chwilę rzekł:

- No, fajny był. W wolnych chwilach uczył nas boksu. Lubiliśmy go.

- To chyba był dużym, silnym chłopem?

- Nie, wcale nie. Był mniej więcej mojego wzrostu i całkiem normalny. Z niektórymi z nas „na rękę” nawet przegrywał. Ale umiał się boksować.

- A ty ile sobie mierzysz?

- Teraz mam metr siedemdziesiąt pięć, ale jeszcze rosnę.

- Szuldi opowiadał coś o sobie?

- Nie, chyba nie. Nie pamiętam.

19 czerwca 1942, piątek

Co przytrafiło się Grecie?

Szerokim zacienionym traktem, prowadzącym wzdłuż ruczaju płynącego od pobliskiego stawu z wysepką w kierunku Odry, inspektor wrócił do pałacu. Grety w jej pokoju nie było. Hundt poszedł więc do kuchni, by porozmawiać z Heleną Zepke. Greta też tam była. Kiedy zobaczyła inspektora, wyraźnie zmieszana chciała kuchnię opuścić, ten powstrzymał ją jednak ruchem ręki.

- Cieszę się, Greto, że poczuła się pani już lepiej. Chciałbym również z panią porozmawiać.

- Ze mną? - zapytała spłoszona.

Inspektor zauważył jej nerwowość i możliwie spokojnie odparł:

- Tak. Z panią również. Ze wszystkimi rozmawiam. Potem jeszcze zamierzam pogadać z panią Heleną.

- Ja nic nie wiem - wykrzyknęła prawie, krzyżując ramiona na piersi i układając ręce na ramionach.

- O czym pani nic nie wie, Greto? - zapytał inspektor łagodnym tonem. - A skąd pani ma to otarcie i krwiaka na przedramieniu?

- Greto! Opowiedz inspektorowi, co ci się przydarzyło - wtrąciła się Helena Zepke.

Greta rozplakała się. Opuściła ramiona, by za chwilę rękami przykryć twarz. Teraz już wyraźnie widoczne były siniaki i zadrapania na jej ramionach.

- Ktoś ją napastował. Chciał ją zgwałcić - oznajmiła cicho Helena.

Inspektor Hundt podszedł do dziewczyny, chwycił ją delikatnie za ramiona i posadził na krześle.

- Może mi to pani opowiedzieć? - zwrócił się do niej miękko.

- Taak - wydusiła z siebie, szlochając.

- Masz, wypij - rzekła zdecydowanie Helena, dając jej szklaneczkę z jakąś ciecżą. - To parę kropli waleriany w wodzie - powiedziała, popatrzyszy na inspektora.

Po chwili Greta uspokoiła się i trochę bezładnie zaczęła opowiadać:

- W sobotę, przed tym wypadkiem z wozem, wie pan? - Spojrzała pytająco na inspektora, który kiwnął przytakująco. - Chciałam pójść do domu, znaczy się do rodziców, tu na wsi. Kiedy wychodziłam z mojego pokoju i akurat zamknęłam drzwi, w korytarzyku rzucił się na mnie jakiś mężczyzna, usiłując mnie przewrócić. Broniłam się, jak mogłam. Był jednak silniejszy ode mnie. Zaczęłam krzyczeć i... wtedy mnie puścił i zwiął. Schodami na górę. Ja uciekłam na dwór. Całą drogę biegłam. Było ciemno. Bałam się. Na szczęście nikt mnie nie gonił. Rodziców w domu nie było. Opowiedziałam wszystko dziadkowi i poszłam spać. Prawie wcale nie spałam. Rano miałam dyżur i musiałam znowu być w pałacu. Było już widno. W pobliżu wejścia i w korytarzyku nikogo nie widziałam. Ubrałam się w bluzkę z długim rękawem i poszłam do kuchni. Pani Helena od razu się zorientowała, w czym rzecz, więc opowiedziałam jej wszystko.

- Poznała pani, kto to był? - zwrócił się do niej inspektor, równocześnie przyglądając się pani Helenie.

- Było zbyt ciemno, a on był w takim dziwnym kaszkiecie i miał postawiony kołnierz długiego płaszcza przeciwdeszczowego.

- A może się odezwał i pani potrafiłaby rozpoznać sprawcę po głosie?

- On się nie odzywał, tylko sapał. Śmierdziało mu z gęby.

- Niech pani opisz tego mężczyznę - prosił inspektor.

- Przecież tak naprawdę to go nie rozpoznałam.

- No ale z pewnością wie pani, czy był wysoki czy niski? - nagabywał Leo Hundt.

- Był silny, ale niewiele większy ode mnie. Chyba go kopnęłam w nogę.

- A czy pani kogoś podejrzewa?

Greta niepewnie popatrzyła na panią Helenę. Na chwilę zamilkła i wydukała:

- Wydawało mi się, że to był pan Burchel - szepnęła niepewnie i spuściła wzrok.

- Przecież to niemożliwe. Powiedziałam jej to już. Nigdy w życiu w to nie uwierzę. Pana Burchela znam od ponad dwudziestu lat. To nie mógł być on - zaprotestowała Helena Zepke.

- Dziadek też mi to mówił. Twierdził nawet, że wie, kto by to mógł być. Odgrażał się, że się z nim policzy. Ale wie pan, dziadzius ma ponad osiemdziesiąt lat i tylko tak mówi.

- Pan Burchel był czyścioszkiem. Jemu z gęby nie śmierdziało, jak to mówiła Gretchen. Często mu w różnych sprawach pomagałam i wiem to.

- W mieszkaniu u niego pani również bywała? - zapytał ją inspektor, przyglądając się jej badawczo.

- Oczywiście, wielokrotnie - odparła bez mrugnięcia. - Przecież pranie mu robiłam, nieraz sprzątałam, a czasem nawet jakieś ciasto upiekłam. On zawsze był uprzejmy... i hojny - odparła.

- Poszłaby pani ze mną do mieszkania pana Burchela?

- Naturalnie, czemu nie. Jeśli to ma panu pomóc.

Inspektor zwrócił się do Grety, zapewniając ją, że nic jej nie grozi i spokojnie może pójść do swojego pokoju. Z Heleną zaś udał się do mieszkania starszego pana.

- O Boże! Jak tu wygląda - wykrzyknęła i zabrała się do porządkowania.

Inspektor powstrzymał ją ruchem ręki i rzekł:

- Na razie nie, pani Heleno. Proszę to tymczasem tak zostawić. Na porządkowanie przyjdzie czas. Teraz chciałbym, żeby pani popatrzyła, czy czegoś brakuje.

- Faktycznie, nie ma kaszkietu w kratkę - rzekła lekko skonsternowana. - Ale nic dziwnego, nie ma pana Burchela, to i jego kaszkietu brak. On go często nosił.

- A płaszcz przeciwdeszczowy jest? - spytał inspektor.

- Pan Burchel nigdy nie miał takiego płaszcza. W razie deszczu zawsze używał parasola. O, to ten - wskazała na stojący w kącie przedpokoju stary, niemodny parasol.

- Jakby mnie pani jeszcze zechciała zaprowadzić do pokoju gościnnego, który pan Zander kazał dla mnie przygotować, byłbym wdzięczny.

Chwycił swój neseser operacyjny i niewielką torbę podróżną i ruszył za Heleną Zepke.

Pokoje gościnne znajdowały się na pierwszym piętrze. Poprowadziła go przez kuchnię i wąski korytarz do reprezentacyjnego holu i szerokiej klatki schodowej, na końcu której się zatrzymała, wskazując mu ręką drzwi do jego pokoju. Było to stosunkowo duże pomieszczenie z dwoma łózkami i trzydrzwiową szafą. Obok wejścia na obszerny balkon stał okrągły stolik z dwoma fotelami. Przy zamkniętych na klucz drzwiach łączących ten pokój z sąsiednim zainstalowana była umywalka. Niewątpliwą zaletą tego pokoju był szeroki balkon, z którego widziało się powoli znikającą w zmroku daleką przestrzeń łąk i pól. Przez otwarte balkonowe drzwi wpadało przyjemne powietrze kończącego się czerwcowego dnia. Powoli ustawały porykiwania krów. Tu i ówdzie szczeknął pies. Nastawała zachęcająca do odpoczynku, kojąca cisza.

Inspektor Hundt uwolniwszy się od marynarki i etatowej muchy, umył twarz, zdjął buty i położył się na chwilę na profesjonalnie zaścielonym łóżku. W jego głowie kotłowało się zbyt wiele myśli, by choć na chwilę móc się zdrzemnąć. Ale przede wszystkim pamiętał o notatkach, które miał jeszcze przed sobą. Wstał z łóżka, przeciągnął się i wyszedł na chwilę na balkon. Śpiesznie wycofał się do pokoju, uciekając przed napastliwymi komarami. Na szczęście firany nie dopuszczały tych zjadliwych chmar krwiopijców do pokoju. Szybko zamknął balkonowe drzwi, pozostawiając otwarty lufcik, chroniony gęstą siateczką.

Kto tu w pałacu sprząta? Kto odpowiada za pokoje gościnne? - nasunęły się kolejne pytania. Obiecał sobie

nazajutrz zapytać o to zarządcę. W operacyjnej walizeczce znalazł mały ołówek. Siadł w fotelu i zaczął rekonstruować miniony dzień, co chwilę coś zapisując w tym swoim czarnym notesie.

Nawet nie wiedział, kiedy zasnął. Ledwie się położył, wsłuchując się w kumkanie żab, a już granatowym całunem otulił go anioł snu. Po śniadaniu, które przygotowała mu Helena wyruszył na wieś. Chciał jeszcze porozmawiać z podleśniczym i z dziadkiem Grety. Podleśniczy Radam był już w lesie. W nadleśnictwie powiedziano mu, że będzie gdzieś koło południa. Poprosił więc, żeby pan August Radam, kiedy wróci z lasu, zechciał wpaść do pałacu.

20 czerwca 1942, sobota

Tajny tunel i co wie dziadek?

Rodzice Gretel prowadzili małe gospodarstwo rolne. Właśnie zbudowali obszerny dom. Ten poprzedni także jeszcze stał. Inspektor wracając z nadleśnictwa, wstąpił do nich. Wszedł na podwórze. Na ławeczce przed starym domem leciwy człowiek o rumianych policzkach i żywym wzroku wygrzewał kości.

- Dzień dobry! Pan to chyba jest dziadkiem Greta - zaczął uprzejmie.

Stary popatrzył na niego nieufnie i odparł:

- Tak. A pan to kto?

- Jestem inspektor Leo Hundt z sekcji kryminalnej w Zielonej Górze. Przechodziłem właśnie i chciałem z panem porozmawiać, bo mówiła mi o panu Greta.

- Inspektor? Z policji? - Stary niespokojnie poruszył się na ławce. - A pan czego chce?

- Greta mi mówiła, że pan podobno domyśla się, kto ją w niedzielę w pałacu napastował.

- Pan Bóg jest sprawiedliwy - odparł stary i zamilkł.

- Co pan przez to chce powiedzieć? - dochodził inspektor.

- Ano, sprawca jest już ukarany. Przecież słyszał pan zapewne o tym wypadku na Bańczykowym.

- To pan przypuszcza, że to Heinrich Schuldner dobierał się do pana wnuczki?

- Tak. Jestem tego pewien - odparł dziadek. - Panie, przecież on już za to samo odsiedział parę lat. Taki to już nie odpuści. Zawsze będzie próbował.

- A skąd pan zna jego przeszłość?

- No, mówił nam to kiedyś Hans Büttner, który pracuje w berlińskiej policji. Wie pan, Hans jest przyszłym szwagrem Greta. Jego teściowie mieszkają w majątku. Karl,

jej narzeczony jest na wojnie, a jego ojciec u Richtberga gorzelanym.

- A może domyśla się pan też, jak on zniknął? Greta mówiła, że pobiegł schodami na górę.

- Tak, najpierw na górę a później zwyczajnie sobie poszedł do siebie na folwark przez park albo traktem. A może tym tajnym podziemnym tunelem.

- Bardzo mi pan pomógł. Do widzenia - rzekł inspektor i skierował się do furtki.

- Do widzenia - mruknął stary, a na jego pomarszczonej twarzy pojawił się chytry uśmiezek.

Inspektor zanotował sobie: „Sprawdzić Heinricha Schuldnera”, „Co to za bajka z tym podziemnym tunelem?”. Po powrocie do pałacu poszedł wprost do zarządcy.

- Mam jeszcze parę pytań - zwrócił się do niego.

- Proszę pytać, gdzie będę mógł, pomogę.

- Kto sprząta w pałacu i kto przygotowuje pokoje gościnne?

- W każdą sobotę przychodzi ze wsi Käthe Konetzke. Absolutnie spolegliwa osoba. Ona, jak Helena Zepke, z pałacem współpracuje już od lat. Jej kilkunastoletni syn Adam często robi dla nas zakupy i drobne usługi.

Inspektor wyjął notes i zapisał nazwisko sprzątaczk i imię jej syna.

- I jeszcze jedno pytanie. Słyszałem, że podobno istnieje tu jakiś podziemny tunel. Stąd do folwarku. Wie pan coś o tym?

Zarządca uśmiechnął się i rzekł:

- Do nas też te bajki dochodziły. Podobno zbudowali go Jezuici w siedemnastym wieku. Zaczęliśmy się nawet rozglądać i szukać ewentualnego wejścia. Opukaliśmy ściany i podłogi. Szukaliśmy tu śladu studni, z której rzekomo wchodziło się do tego tajemniczego tunelu. Ostatecznie doszliśmy do wniosku, że to jakaś legenda.

W pałacu pojawił się podleśniczy. Zarządca pozostawił ich w biurze samych.

- Pan jest przeważnie w lesie, dlatego prosiłem o przybycie do pałacu. Mam do pana tylko parę pytań.

- Domyślam się, że chodzi o ten wypadek z zaprzęgiem. Właściwie to nie mam już niczego do dodania. W tej sprawie był już ktoś z policji.

- Wiem, wiem. Chciałem tylko uzupełniająco zapytać, czy oprócz pracowników, którzy byli wtedy z panem, widział pan jeszcze kogoś.

- Nie. Chyba nie - odparł powoli Radam. Na chwilę zamilkł i kontynuował: - Zdaje mi się, że po lesie szwendał się stary Eichler, ale jego, starego leśnika, często ciągnie do lasu.

- Czy to ten August Eichler, co to jego wnuczka Greta pracuje tu w pałacu?

- Tak. Ale wie pan, inspektorze, ja naprawdę nie jestem pewien. Może to jednak było dzień wcześniej.

- Jak mi mówiono, zeznawał pan, że pobiegliście z jakimś drwalem na miejsce tragedii. Czy zauważył pan coś szczególnego?

- Nie, nic. Pomóc już nie mogliśmy. Wróciliśmy do pracy przy układaniu mygłów. Aha, po drodze znaleźliśmy czapkę. To chyba tego biedaka, co zginął.

- Jaka to była czapka. Czy to był kaszkiet w kratkę?

- Nie, nie w kratkę. Raczej taki szary, lekko zeszmelcowany kaszkiet.

Inspektor podziękował podleśniczemu i udał się do owego korytarzyka, w którym napastowano Gretę. Miał mniej więcej kształt kwadratu o boku dwa i pół metra. Z korytarzyka prowadziły drzwi do kuchni, do składu, za którym było teraz umieszczone archiwum, i do drzwi pokoju Greta. Naprzeciwko niego znajdowało się wejście na wieżę, na którą można było zresztą także wejść z zewnątrz.

20 czerwca 1942, sobota

Ślady w korytarzyku?

Na białkowanych, tu i ówdzie przybrudzonych ścianach, mimo słabego światła wpadającego z wieży, inspektor zauważył otarcia i ślady walki, którą Greta stoczyła z napastnikiem. W świetle latarki wyjętej z walizki operacyjnej inspektor zobaczył jeszcze coś. Na jednej ze ścian znalazł niewielkie brunatne plamki o nieregularnym podłużnym kształcie. Wyglądały jak odwrócone wykrzykniki albo łezki. Stwierdził nadto, że występują na różnej wysokości.

Inspektor wiedział, że jeśli to rzeczywiście ludzka krew, jak podejrzewał, to będzie z tego mógł czytać jak z otwartej księgi. Te podłużne plamki to plamy rozpryskowe, które informują o położeniu i kierunku przemieszczania się ofiary i pozycji napastnika podczas uderzenia. Można by było z grubsza powiedzieć coś o sile i krotkości uderzeń. Inspektor wstępnie wnioskował, że prawdopodobnie ofiara stała, kiedy otrzymała ciosy, o czym świadczą rozpryski na ścianie. A fakt, że znajdują się na różnych wysokościach, informuje, że położenie ofiary zmieniało się między otrzymaniem kolejnych ciosów¹³. Kałuża na podłodze świadczyłaby o tym, że krew dalej wyciekała z rany, kiedy ofiara już leżała. Tylko że na ceramicznych wzorzystych płytkach podłogowych nie znalazł żadnego śladu. Kiedy jednak klęknął i dokładnie zlustrował podłogę, odkrył w fugach pomiędzy płytkami brązowe plamki, których jednak tymczasem nie potrafił zidentyfikować. Mogły to być zwyczajne zabrudzenia.

Poczekajmy z wnioskami. Najpierw trzeba sprawdzić, czy rzeczywiście to ślady ludzkiej krwi – powiedział sobie inspektor. Należałoby to sprawdzić luminolem.

Środek ten niedawno wprowadzono. Inspektor go jeszcze nie stosował. Buteleczkę z luminolem dostał kiedyś od szwagra. Od niego wiedział też, że po spryskaniu badanej powierzchni przygotowanym roztworem luminolu z dodatkiem wody utlenionej i naświetleniu jej ultrafioletem w ciemności ujawniają się ślady krwi. Dzięki luminescencji widać je jako niebieską poświatę.

Inspektor Hundt na miejscu w zasadzie robotę skończył. Na zewnątrz wyszedł przez drzwi w wieży. Tu w pałacu w ogóle skończył. Skierował się w stronę wejścia służbowego, aby korytarzem pomiędzy kuchnią a biurem dojść do głównej klatki schodowej. Stamtąd zamierzał udać się do pokoju po swoje rzeczy. Przechodząc pod oknami kuchni zauważył kupkę rupieci przeznaczonych do wywiezienia. To ten jego policyjny nos kazał mu się jej przyjrzeć. Spod innych odpadów wystawał kawałek podrdzewiałej rurki wodociągowej z kolankiem. Chwyciwszy ją w dwa palce, podniósł ją powoli, by dokładniej obejrzeć. Tu i ówdzie widoczny był jeszcze biały lakier. Na kolanku i na rurze widniała brązowa plama. Na widocznych pozostałościach gwintu brązowa substancja jeszcze nie zaschła, co inspektor stwierdził, lekko drapiąc paznokciem. Wygląda mi to na krew – mruknął pod nosem – a jeżeli to krew ludzka, to czyja?

Zapukał w okno kuchni. Za chwilę wyjrzała Helena Zepke.

- Frau Zepke, ma pani może gdzieś pod ręką jakąś starą gazetę?

- Gazetę? Nie, nie mam. A po co panu gazeta? – zapytała zdziwiona.

- Chciałbym coś zapakować – rzekł inspektor, podniósłszy nieco wyżej rękę, w której trzymał rurkę.

- Tę rurkę chce pan zapakować? Cha, cha – zaśmiała się Helena. – To jest kawałek wymienionej rurki z kuchni. Po co panu ona?

Inspektor popatrzył na nią poważnie. Zrozumiała.

- No dobrze już, dobrze. Gazety nie mam, ale zaraz przyniosę panu arkusz papieru pakowego. Mamy tu taki, bo pakujemy w niego prowiant dla państwa, kiedy idą nad Odrę. - Cały czas opowiadając, podała inspektorowi spory arkusz szarego papieru.

- Proszę to wszystko zachować dla siebie - rzekł urzędowym tonem, spojrzawszy ostro na Helenę. Zapakował rurkę, starając się jej jak najmniej dotykać i zabrał ją ze sobą do pokoju.

Przed opuszczeniem pałacu zaszedł do biura. Siedzący nad jakimiś papierami zarządca poderwał się zza biurka.

- Witam pana inspektora. Opuszcza nas pan już - powiedział jakby z ulgą. - Posunął się pan do przodu z pańskim dochodzeniem?

- Tak. Tu, w Klenicy, tymczasem skończyłem. Zebrałem wiele informacji. Tymczasem jednak nie wiem, co się stało z panem Burchelem. Najpierw trzeba będzie dać urzędowe ogłoszenie do gazety o jego zaginięciu. Na podstawie zdjęć rysopis jest mi wprowadzie znany, ale nie wiem, jakiego wzrostu był zaginiony.

- Ja mierzę sobie metr osiemdziesiąt - odparł Zander - on był ociupinkę mniejszy. Myślę, że miał gdzieś około metra siedemdziesiąt pięć. Ale, panie inspektorze, proszę mi powiedzieć, co pan sądzi? Panu Burchelowi coś się stało? Mam nadzieję, że żyje?

- Wie pan, jest wiele wskazań, które każą mi wątpić. Ale tak naprawdę jeszcze niczego nie wiem do końca. Tymczasem brak zwłok, nie ma motywu, sprawca nieznany - oznacza to, że nie było zbrodni.

- Miejmy nadzieję, że tak pozostanie i Albert Burchel się odnajdzie.

- Pożegniam się tylko z państwem Richtbergami i udam się na dworzec.

- Ich nie ma w pałacu. Urządzili sobie przejażdżkę nad starą Odrę. Pojechali tam bryczką.

- Sami?

- Nie. Powozi ten chłopak, młody Konetzke. Ale o ile wiem, powinni już wrócić. Proszę jeszcze chwilę poczekać, to młody podrzuci pana na dworzec. Przecież pociąg ma pan dopiero o wpół do czwartej.

Za chwilę zajechała przed ganek bryczka z Richtbergami. Inspektor nie miał już ochoty na dłuższą rozmowę, przeto grzecznie się pożegnał i pozwolił zawieźć się na dworzec.

21 czerwca 1942, niedziela

O czym myśli inspektor Hundt?

Niedziela jest po to, by chwalić Boga i wypoczywać. Inspektorowi w tę niedzielę nie wychodziło ani jedno, ani drugie. Co się stało z Albertem Burchelem? Gdyby dobrowolnie opuścił pałac, to w jego mieszkaniu nie byłoby tego bałaganu, a on zabrałby przynajmniej bieliznę, skarpetki i koszule na zmianę. Jednak walizki pozostały. Z jego garderoby z pewnością brakowało tej jego charakterystycznej czapki, kaszkietu w kratkę, w którym w poniedziałek podobno widział go ogrodnik. Ale czy on na pewno widział Burchela? Czy Greta ma z tym wszystkim coś wspólnego? Chyba nie. Ona nie mogła napastnika zdzielić rurką. To raczej musiał być ktoś wyższy. A poza tym, skąd nagle miałyby mieć tę rurkę? Rurkę koniecznie trzeba dokładnie zbadać. Po pierwsze, należy odpowiedzieć na pytanie, czy to ludzka krew? A po drugie, poszukać odcisków. Może akurat któryś będzie się pokrywał z odciskami palców, jakie pobrałem w mieszkaniu zaginionego. Daktyloskopię stosujemy w policji już od czterdziestu lat. Mamy nawet naszą własną kartotekę powiatową. Ale w tej naszej odcisków sprawcy może nie być. Ogólnoniemiecka kartoteka daktyloskopijna znajduje się w Berlinie, w *Reichssicherheitshauptamt*¹⁴. Nawet jak im wyślemy te pobrane odciski palców, to nie wiadomo, kiedy będą wyniki. Oni tam obecnie zajmują się zupełnie czym innym. Jeśli nic nie wywnioskujemy z odcisków, to i tak koniecznie trzeba sprawdzić te brunatne ślady na rurce i w korytarzyku. Zacząć jednak trzeba od ogłoszenia o zaginięciu Alberta Burchela. Gdyby przyjąć, że zginął od uderzenia rurką, to tymczasem wykluczyć nie można nikogo. I co najważniejsze, należałoby znaleźć ciało ofiary. Ważne byłoby też odpowiedzieć na pytanie, dlaczego go

zamordowano? Na razie nie ma morderstwa, bo nie ma ciała ofiary. Choćbyśmy wiedzieli, jak zginął, i znali narzędzie zbrodni, to i tak nic z tego.

22 czerwca 1942, poniedziałek

Czego chce *SS-Hauptsturmführer*¹⁵ Rudolf Seppel?

Pierwszą rzeczą, jaką inspektor wykonał po przyjeździe do komisariatu, było przekazanie próbek daktyloskopijnych i rurki koledze Wernerowi Brachbursterowi, który zajmował się u nich techniką dochodzeniową.

- Zrób mi, proszę, stosowne zdjęcia i sprawdź, czy znajdziesz cokolwiek w naszej kartotece. I uważaj z tą rurką. Nie замаż mi tych brązowych plam.

- Dobrze, Leo. Dla ciebie wszystko. - Werner ściszył głos i kontynuował: - Musisz tylko trochę poczekać, szef nakazał mi ekspresowo sporządzić dokumentację fotograficzną związaną z tymi ulotkami rozrzuconymi w nocy na mieście.

Z Wernerem znali się od wielu lat. Ten, tak jak i on, nie awansował. Nadal był podinspektorem, a w 1939 przemianowali go na *Revierleutnanta*. Kiedy Werner w dwudziestym dziewiątym przyszedł do nich do pracy, to właśnie on Leo wprowadzał go do policyjnej codzienności. Potem nawet się zaprzyjaźnili.

- Możesz mi coś o tym powiedzieć? - zapytał Hundt także ściszonego głosem.

- Szef podejrzewa, że zrobili to jacyś przyjezdni antyfaszyści, albo komuniści, jak mówi. Treść typowa, chociaż nowe jest to, że jej autorzy twierdzą, że wojnę przegramy.

Popatrzyli na siebie ze zrozumieniem i każdy poszedł do własnej roboty. Hundt zasiadł do sprawozdania z ostatnich dwóch dni. Ledwo zaczął i już pojawił się szef.

- Co to było, Hundt? Dlaczegoż to w tej Klenicy był pan aż dwa dni? Przecież miał pan tylko sprawdzić, co to było z tym zaginionym staruszkiem.

- Dzień dobry, szefie. Sprawa się trochę skomplikowała. Podejrzewam mianowicie morderstwo, co naturalnie trzeba

jeszcze dokładniej przebadać. Nadto do jakiegoś stawu wpadł folwarczny zaprzęg, razem z woźnicą. Chciałbym znaleźć lub wykluczyć związki pomiędzy tym zdarzeniami.

- O tym wozie coś słyszałem. Był tam w ubiegłym tygodniu Wuttke, by sprawdzić meldunek z posterunku w Bojadłach. Jego sprawozdania jeszcze nie czytałem. No dobrze, Hundt. Czekam na pańską relację. Proszę się pospieszyć. Trzeba nam pomóc przy tych cholernych ulotkach. Wysłałem już informację do Wrocławia. Lada chwila będziemy tu mieli piekło.

- Prosiłbym o protokół kolegi Wuttke.

- Dostanie pan kopię maszynopisu do wglądu. Ale czekam na pana raport.

Leo Hundt zastanawiał się, czego w swoim sprawozdaniu nie napisać? Oficjalnie chodziło przecież o dane i fakty ustalone w wyniku wstępnego dochodzenia, a nie o domniemania i informacje peryferyjne. W końcu wystukał na maszynie - w trzech kopiach:

Raport z wstępnego dochodzenia

Data: 19 - 20.VI.1942

Sprawa: Zaginiony Albert Burchel, wiek: ok. 65 lat, dokumentów osobistych w mieszkaniu nie znaleziono. Rysopis - patrz załączniki (opis, zdjęcie).

Miejsce dochodzenia: Kleinitz, krs. Grünberg, Pałac myśliwski - właściciel Karl Richtberg - przedsiębiorca z Berlina.

Osoby przesłuchane: Karl Richtberg, lat 61 - właściciel, Alfred Zander, lat 54 - zarządca obiektu, Helena Zepke, lat 58 - kucharka, Margareta Brückner, lat 22 - służąca - kelnerka, August Radam, lat 41 - podleśniczy.

Dodatkowe źródła miejscowy ogrodnik.

informacji:

Uwagi: *Stwierdzam nadto, że na około tydzień przed zniknięciem Alberta Burchela w pałacu przebywał archiwista z zakładów Richtberga Herman Winkler, w celu zinwentaryzowania i przeniesienia archiwum. Winklera nie przesłuchano.*

Tymczasowe wnioski:

W poniedziałek 15 czerwca 1942 właściciel pałacu myśliwskiego w Klenicy chciał skontaktować się z żyjącym tam (dożywocie) panem Albertem Burchelem. W tym celu udał się do jego mieszkania. Zaginionego tam nie zastał. Na pukanie do drzwi, odpowiedzi nie było.

Jak się okazało w wyniku dochodzenia, w sobotę 13 czerwca usiłowano dokonać gwałtu na służącej Grecie Brückner. Pokrzywdzona pokazała otarcie na przedramieniu lewej ręki i siniaki na obydwu ramionach (co moim zdaniem niekoniecznie świadczy o próbie gwałtu). Jako miejsce napastowania podała: korytarzyk przed jej pokojem. Podczas przesłuchania Greta stwierdziła, że wprawdzie sprawcy nie rozpoznała, ale podejrzewa Alberta Burchela. Będąca obecna przy przesłuchaniu Helena Zepke zdecydowanie wyraziła wątpliwość twierdząc, że Burchel, to starszy nobliwy osobnik, który w żadnym razie nie mógłby być sprawcą tego czynu. Greta stwierdziła, że ostatecznie do gwałtu nie doszło, gdyż zaczęła krzyczeć, co przstraszyło sprawcę, który uciekł schodami „na górę”, co jej umożliwiło ucieczkę na zewnątrz. Sprawy nie zgłosiła, ponieważ bała się. W poniedziałek 15 czerwca ogrodnikowi wydawało się, że widział pana Burchela na spacerze po pałacowym parku.

W dniu 16 czerwca folwarczny wóz wraz zaprzęgiem i woźnicą Schuldnerem topi się w stawie nazywanym przez miejscowych „Bańczykowym” (patrz protokół K. Wuttke).

Podleśniczy Radam potwierdza, że do wypadku doszło z powodu spłoszenia koni.

18 czerwca zarządca znowu puka do drzwi Burchela. W związku z brakiem reakcji zagląda do mieszkania, stwierdzając że nie było zamknięte na klucz. W mieszkaniu Alberta Burchela panuje nieporządek wskazujący, że ktoś mieszkanie przeszukiwał (patrz meldunek wachmistrza Paula Grünwalda z posterunku w Bojadłach).

Po przeprowadzeniu czynności z zakresu techniki kryminalistycznej (szczegółowe oględziny mieszkania, dokumentowanie fotograficzne i pobranie śladów daktyloskopijnych), w obecności Heleny Zepke stwierdzono, brak kaszkietu w kratkę i codziennych elementów ubioru zaginionego. Nadto Helena Zepke stwierdziła, że Albert Burchel nigdy nie miał płaszcza przeciwdeszczowego, w jakim go rzekomo miała widzieć Greta.

Po dokładnym zbadaniu miejsca napastowania służącej Greta, stwierdzono na ścianie korytarzyka brunatne smugi mogące pochodzić z otarcia jej przedramienia. Niezależnie od tego śladu, stwierdzono na ścianie kilkumilimetrowe plamki mogące być odpryskami krwi. Na kupce rupieci przeznaczonych do wywiezienia znaleziono kawałek rurki pochodzącej z naprawy wodociągu w pałacowej kuchni, przeprowadzonej w pierwszej dekadzie czerwca. Na rurce znajdują się ślady mogące być zaschlą krwią. Ujawnione ślady powinny być zbadane laboratoryjnie.

W świetle stwierdzonych faktów nie można tymczasem wykluczyć, że zaginięcie Alberta Burchela jest wynikiem morderstwa.

Podpis i data:

Leo Hundt - Revieroberleutnant, 22.06.1942

Kilka dni później inspektor siedział w swoim pokoju i porównywał otrzymane od Wenera zdjęcia z odciskami palców pobranymi w Klenicy ze zbiorem zdjęć daktyloskopijnych. Na dworze lało jak z cebra. Wiedział już, że niektóre ślady daktyloskopijne z mieszkania Burchela

pokrywały się z pobranymi z framug drzwi w korytarzyku, przy pałacowej wieży. Kilka słabych odcisków udało się Wernerowi zdjąć z tego kawałka rurki wodociągowej. Niestety pięć minut¹⁶ to trochę za mało na dowód, ale wystarcza na domniemanie, że rurkę miała w ręku ta sama osoba, której ślady zdjęto w mieszkaniu Burchela. Tylko czyje to odciski? Mogły przecież także być śladami zaginionego, a wtedy Grety podejrzenie byłoby prawdziwe. Z drugiej strony należałoby pobrać odciski palców od wszystkich osób przebywających w owym czasie w klenickim pałacu, łącznie z Richtbergami, zarządcą, tym gościem z Berlina, który prznosił archiwum, hydraulik naprawiającego wodociąg w pałacowej kuchni i może nawet Heleny Zepke.

Z zadumy wyrwała inspektora głośna rozmowa na korytarzu i kroki zbliżające się do jego biura. Zdecydowanie otwarły się drzwi i do jego pokoju wszedł szef w obecności oficera SS.

- To jest *Hauptsturmführer*¹⁷ Rudolf Seppel z *Staatspolizeileitstelle Liegnitz*¹⁸ - powiedział służbowo szef i potrząsając trzymanym w ręku papierem, kontynuował: - Odtąd dochodzenie związane z pałacem Richtberga w Klenicy przejmuje kolega Seppel.

- Oho, to zaginęła jakaś ważna osobistość, skoro sprawę przejmuje komenda wojewódzka - rzekł nieco sarkastycznie Hundt.

- Pańskie zdanie nas nie interesuje, panie poruczniku - burknął arogancko Seppel i dodał, patrząc raz na Hundta, a raz na jego szefa: - A w ogóle, to dlaczego nie jest pan w mundurze?

- Dlatego, że przez całą moją policyjną karierę munduru nie nosiłem i zawsze byłem skuteczny, ponieważ właśnie to wzbudzało zaufanie ludzi, z którymi rozmawiałem. A w ogóle mój szaro-zielony mundur nie jest taki elegancki, jak

ten pański, czarny - odpowiedział inspektor, dwuznacznie się uśmiechając.

- Mundur, kolego, nosimy, by wzbudzać respekt i demonstrować naszą przynależność do aparatu bezpieczeństwa Rzeszy - odparł Seppel.

- Panie Hundt, proszę formalnie przekazać sprawę *Hauptsturmbahnführerowi* - powiedział szef i zostawił ich samych.

- Czytałem pański raport, Hundt - zaczął Seppel - i muszę panu niestety powiedzieć, że z zawartym tam wnioskiem nie zgadzam się.

- Dlaczego? Przecież wykluczyć morderstwa Alberta Burchela nie można. Nawet tu, przed sobą mam daktyloskopijny dowód. - Inspektor podsunął gościowi w czarnym mundurze zdjęcia linii papilarnych z opisami.

Seppel przyjrzał się im dokładnie i rzekł:

- Niczego to nie dowodzi. Przecież równie dobrze, a raczej z dużą pewnością mogą to być odciski tego Burchela.

- Skąd pan ma taką pewność? - zapytał Hundt.

- Stuprocentowej pewności nie mam. Ale my zakładamy, że to właśnie Burchel napastował tę Gretel, a potem uciekł. Najpierw do swego mieszkania. Tam siedział cicho. W poniedziałek nie otworzył panu Richtbergowi, a potem zwiął. Zwyczajnie uciekł i ogrodnik go widział.

- A te ślady krwi? - nie ustępował inspektor.

- Skąd pan wie, że to krew? Rdza albo farba, i tyle. A myśmy zdążyli się już coś niecoś dowiedzieć o tym Burchelu.

Inspektor popatrzył na esesmana z zaciekawieniem, a ten kontynuował:

- Burchel urodził się w 1877 roku w Kaliszu. W starych dokumentach znaleźliśmy, że jego pełne nazwisko brzmiało Burchelski. To „ski” ktoś innym atramentem później skreślił. Doszliśmy również do tego, że to nazwisko powiązane było z Radziwiłłami. Ale najciekawszy jest fakt,

że babcia pańskiego Burchela była Żydówką. Podejrzewamy przeto, że znając swoją przeszłość, po prostu zwiął. Nie wykluczamy także powiązań Alberta Burchela z obcym wywiadem.

- Ależ ten człowiek służył od lat pruskiemu generałowi, a po jego śmierci jego żonie księżnej Marii Radziwiłłowej.

- Tak? A ona nawet dobrze po niemiecku nie mówiła. Zaś jej młodszy syn był adiutantem Piłsudskiego.

Leo Hundt przypomniał sobie zdjęcie młodego Burchela z księciem Stanisławem. Zadumał się i zamilkł.

Człowiek w czarnym mundurze mówił dalej:

- Z tego wszystkiego jasno wynika, jak dalej będziemy postępować. Formalnie będzie pan jeszcze dochodzeniem kierował, ale w rzeczywistości trzymał się od niego z daleka. Chodzi o to, że nadane przez was ogłoszenie o zaginięciu, ukaże się w sobotę, a jego wyniki mogą nas naprowadzić na ślad tego Burchela. Potem w ogóle zaniecha pan wszystkiego. Pana Richtberga nie należy niepokoić. Jest on dla Niemiec osobą ważną, bo jego zakłady produkują tak potrzebne nam podkłady kolejowe i słupy dla zniszczonych sieci telefonicznych i elektrycznych.

- *Jawohl, Herr Hauptsturmführer* - odpowiedział Hundt i zamilkł.

Tamten wziął teczkę z napisem „Albert Burchel” i wyszedł.

Dobrze, że nie zabrał rurki, która zawinięta ciągle w ten sam papier, leżała na biurku. Trzeba będzie wieczorem pobawić się luminolem - pomyślał Hundt. Podszedł do okna. Przeciągnął się i wyjrzał na deszczowy dzień. Kiedy ten „czarny” wsiadł do swojej ciemnozielonej dekawki¹⁹ i odjechał, usiadł z powrotem przy biurku i zapisał coś w notatniku, po czym schował go do kieszeni marynarki.

Gdy się ściemniło, wrócił na komendę. Z Wernerem spotkali się w jego pokoju. Hundt zaciągnął rolety

zaciemniające i z szafy panczernej wyjął zawinięty w papierów kawałek rury wodociągowej. W tym samym czasie Werner ustawiał stojak z lampą UV. Pokryte luminolem brązowe plamy na złączu rury z kolankiem, w świetle lampy UV zajarzyły się niebieską poświatą.

- Ślady na rurce to krew - mruknął podinspektor Werner.

- Zgadza się, moje podejrzenie się sprawdza. Pytanie tylko, czyja to krew? - dodał inspektor Hundt.

- No i warto by jeszcze sprawdzić te odpryski na ścianie, o których mi wspominałeś.

- Z tym to chyba będziemy musieli poczekać do lepszych czasów - powiedział filozoficznie Leo Hundt, po czym wyjął swój nieodłączny notes i dokonał kolejnego wpisu.

Część II

8 czerwca 1914, środa

Księżna powraca do Klenicy

Księżna Maria Dorota Radziwiłłowa po śmierci męża w 1904 roku coraz chętniej przebywała w Klenicy. Z początkiem czerwca 1914 ostatecznie wyjechała z Berlina i zamieszkała tam na stałe. Zwłaszcza po stracie syna Jerzego²⁰ właśnie tu, w pałacu myśliwskim, poszukiwała spokoju i ukojenia. Swój słynny międzynarodowy salon w Berlinie na Pariser Platz 3²¹, po prostu zamknęła. Tam życie towarzyskie i tak prawie zanikło. Z uwagi na francuskie pochodzenie i głupie pomówienia o szpiegostwo księżna czuła się w stolicy Niemiec podle. Nie pomogły zażyłe znajomości z Wilhelmem II i jego rodziną. A do tego jeszcze rosnące napięcie międzynarodowe. Już w 1912 roku wyrażała niepokój z powodu polityki Austrii. Pisała wtedy: „Prowadząc taką politykę, Austria postradała chyba zmysły. W końcu całą Europę podpala”. I miała rację. 28 lipca 1914 roku wybuchła pierwsza wojna. „Dobrze, że przynajmniej mamy Nieśwież”, mawiała. Zdążyła jeszcze to i owo zrobić w rodzinnym gnieździe Radziwiłłów. Tu, w Klenicy, kłopotów nie miała. Albert Burchel nadal wszystkim się zajmował, a prace budowlane przy pałacu były już od kilku lat zakończone.

Mąż sporo opowiadał jej o tym człowieku. Jego przodek Albert Burchelski był ongiś burgrabią w Nieświeżu i wielce się rodzinie zasłużył. Józef Burchelski – wnuk starego Alberta, wbrew woli dziadka ożenił się z córką przemysłowca żydowskiego i zamieszkał z rodziną żony w Kaliszu. Urodzony z tego związku w 1877 Albert nie mógł nosić rodowego nazwiska, ponieważ jego pradziad, stary Burchelski zastrzegł testamentarnie, że dzieci urodzone z tego związku nie mogą używać pełnego chwały nazwiska Burchelski. Odpowiedzialnym za spełnienie woli seniora był

dziadek młodego Alberta. Dopilnował on dokonania zmiany (skreślenie końcówki „ski”) nazwiska. Równocześnie jednak wysłał wnuka do sulechowskiego Pedagogium, finansując jego naukę. Tam młody Albert Burchel poznał trochę młodszego od siebie Stanisława Wilhelma księcia Radziwiłła i opanował język niemiecki i francuski.

Księżna siedząc wieczorami w bujanym fotelu, na ganku w klenickim pałacu, wpatrywała się w równinę łąk i pól ciągnących się aż do ciemnej kreski odległych lasów. Tęskniła do swoich dzieci, a najbardziej do najmłodszego syna Stanisława Wilhelma. O córki była spokojna, ale Stanisław to wojskowy. O niego się bała. Na wojnę rosyjsko-japońską też poszedł na ochotnika. A czasy takie niepewne. Wydaje się, że tak niedawno jeszcze pobierał nauki w pobliskim Pedagogium, a to minęło już dwadzieścia lat.

26 czerwca 1914, niedziela

List księżnej do syna

List od matki księżę Stanisław dostał, akurat kiedy przebywał na krótkim urlopie w Nieświeżu. Siedmioletnia córka, księżniczka Ania nie schodziła mu z kolan. Przecież tatuś tak rzadko bywał w domu.

- Od kogo ten list, tatusiu? - zapytała mała.

- Od babci Marii, kochanie. Daleką drogę przebył. - Pokazał córce stempel pocztowy: - Widzisz, „Kleinitz 20.6.14”. To jest w Śląskich Prusach.

- A co babcia pisze? - zapytała dziewczynka.

- Bardzo za nami tęskni. Chciałaby, żebyśmy przyjechali.

- Czy pojedziemy do babci, tatusiu?

- Teraz czasy są niespokojne. Chyba najpierw sam pojedę, córeczko - odparł księżę.

Gdzieś w połowie lipca 1914 roku Stanisław Wilhelm Radziwiłł niespodzianie pojawił się w Klenicy. Księżna akurat była po śniadaniu i właśnie zamierzała pójść na krótką przechadzkę po parku, kiedy nagle stanął przed nią jej ukochany syn.

- Skąd się tu wzięłeś? - wykrzyknęła prawie. Wzruszenie ją dławiło, a do oczu napłynęły łzy szczęścia. - Czemu nie dałeś znać? Jak się tu dostałeś?

Stanisław podszedł do matki z otwartymi ramionami, zupełnie nie dbając o konwenanse. Nie obchodziło go to, czy ktoś ich widzi. Po prostu serdecznie matkę przytulił, a potem z szacunkiem pocałował ją w rękę.

- Nie jestem tutaj oficjalnie, matko. Szykuje się wojna. Uprosiłem dowódcę o kilka dni urlopu. Wkrótce mogłoby to być niemożliwe, a przecież takie było twoje życzenie. Przyjechałem porannym pociągami z Leszna. Z dworca przyszedłem piechotą, przecież to niedaleko. Chyba nikt mnie nie rozpoznał.

- Na granicy nie miałeś trudności? Przecież jesteś teraz Rosjaninem, a nie Niemcem.

- Ale nadal znam niemiecki i pamiętam jeszcze, jak zachowuje się oficer jego cesarskiej mości Wilhelma II, a to nawet na granicy funkcjonuje. Także kiedy legitymujesz się starym dokumentem.

- O Boże! Przecież to niebezpieczne. No, ale teraz jesteś i cieszę się. Powiem służbie, żeby przygotowali ci pokój.

- Pozwól, mamó, że przywitam się z Albertem. Chyba jest w pałacu? - odparł Stanisław.

- Dzisiaj go jeszcze nie widziałam. Śniadanie jedliśmy oddzielnie. Pewnie jest w biurze albo u siebie.

Albert Burchel był równie zaskoczony niespodzianą wizytą księcia Stanisława. Chociaż był starszy i książę Stanisław zwracał się do niego po imieniu, to on pozostawał przy pełnym szacunku „wasza wysokość”.

- Jakże się cieszę, Albercie, z twojego widoku.

- I ja się cieszę, wasza wysokość. Idą ciężkie czasy i nie wiadomo, kiedy się znowu zobaczymy. Od naszego ostatniego spotkania minęły dwa lata.

- Rzeczywiście. Byłeś wtedy z moją matką w Nieświeżu. A jak ci tu w Klenicy? - zapytał książę. - Przywykłeś już do wiejskich warunków? Dajesz sobie radę z tym wszystkim?

- Myślę, że księżna jest ze mnie zadowolona. Staram się - odpowiedział Burchel skromnie.

- Zawsze ciebie chwali. Dziękuję ci za oddanie naszej rodzinie. Jestem zmęczony podróżą. Dwa dni byłem w drodze. Chciałbym teraz wypocząć. Już przygotowano mi pokój. Zobaczymy się później i pogadamy.

Do obiadu zasiedli razem księżna Maria, książę Stanisław i Burchel. Po kawie Burchel zajął się swoimi obowiązkami, a księżna z synem udali się do biura, urządzonego w pomieszczeniach leśnictwa, które przeniesiono teraz do nowego budynku przy lesie, na wschodnim skraju wsi.

- Mam tu przygotowany notarialny testament, w którym po mojej śmierci jesteś ustanowiony na spadkobiercę naszej posiadłości w Klenicy - mówiła powoli księżna do syna.

- Rozumiem. Ale tymczasem z pomocą Alberta świetnie sobie radzisz, *chère mère*. Mam nadzieję, że jeszcze długo.

- Nie wiadomo, synu. Mam siedemdziesiąt cztery lata. Wszystko może się zdarzyć. Ale mam jeszcze coś. Pan Burchel mówił mi, że spada wartość marki, a papiery wartościowe w obecnej sytuacji politycznej stały się niepewne. Zdecydowałam zatem część naszego kapitału ulokować w złocie. Mam to wszystko tu, w kasie pancерnej. Są tam złote monety dziesięcio- i dwudziestomarkowe oraz franki z portretem Napoleona III. Te złote dwudziestomarkówki z Wilhelmem II są całkiem nowe, bo z ubiegłego roku. Chciałabym ci to przekazać. Wydaje się, że w Nieświeżu złoto będzie bezpieczniejsze aniżeli tu, w Klenicy.

- To dodam jeszcze moje złote monety z Batuszką Mikołajem II. Wprawdzie niewiele tego, ale przynajmniej monarchowie nie będą się nudzić. A tak serio, to dobrze zrobiłaś, kupując złote monety. Nie wiem tylko, jak ja to mam przewieźć do skarbcza w Nieświeżu.

- Może poprosimy Alberta Burchela. On ma całkiem legalne dokumenty, a bagaży na granicach raczej nie sprawdzają - rzuciła księżna.

- A może dałoby się Albertowi załatwić w Berlinie jednorazowy status kuriera cesarskiego? - zastanawiał się Stanisław. - Przecież masz jeszcze dobre układy z dworem cesarskim.

- Masz rację, jeszcze dzisiaj napiszę do cesarzowej Augusty, może to się da tak załatwić. Ale najpierw porozmawiaj z panem Burchelem.

Siedzieli ze sobą do późna w nocy. Wspierała ich butelka hennessy, koniaku starego jak ich przyjaźń. Wspomnienia, wspomnienia. Najpierw wspólne lata w sulechowskim

Pedagogium, a później spotkania w Kaliszu i w Nieświeżu. W końcu księżę nieśmiało zapytał:

- Albercie, sam doradzałeś księżnej, to znaczy mojej matce, zainwestować w złoto. Teraz mamy w związku z tym prośbę. Czy byłbyś skłonny pomóc nam w zawiezieniu tego do Nieświeża?

- Wasza wysokość, ja nie doradzałem zakupu złota. Ja tylko zwróciłem księżnej uwagę na to, że akcje spadają, a w obecnej sytuacji politycznej wzrostu inflacji wykluczyć nie można. Myślę, że dobrze zrobiła. Wasza wysokość przecież wie, że pomocy jeszcze nigdy nie odmówiłem. Zatem i teraz pomogę. Pytanie tylko, jak to zrobić?

- Być może na dniach uda się nam otrzymać cesarski dokument, poświadczający, że Albert Burchel na polecenie Cesarza Niemiec Wilhelma II przewozi do Rosji ważną przesyłkę dyplomatyczną.

- Gdyby to się rzeczywiście udało, to nie widzę problemu. Chętnie znowu odwiedzę Nieśwież.

10 lipca 1915, niedziela

Umiera księżna Maria Dorota

Księżna Maria Dorota Radziwiłłowa zmarła rok później – w niedzielę dziesiątego lipca. Pochowano ją na klenickim cmentarzu. Wieniec przy jej trumnie złożył w imieniu cesarza hrabia Rödern. Spoczęła w prostym grobie, bez nagrobka-pomnika pod zielonym pagórkiem, w pobliżu rodzinnego grobowca rodziny Eulendorfów. Obcy nie rozpoznaliby grobu właścicielki Klenicy, kobiety mającej za życia tak liczne powiązania rodzinne i przyjacielskie z domem panującym. Kobiety odgrywającej dawniej tak znaczącą rolę w Berlinie.

Zgodnie z ostatnią wolą księżnej Marii, dobra klenickie otrzymał książę Stanisław Wilhelm Radziwiłł. Niestety była wojna i jako obywatel rosyjski nie mógł prawnie wejść w posiadanie spadku. Rząd niemiecki nałożył na majątek sekwestr i wyznaczył zarządcę. Formalnie to ten miał teraz o wszystkim decydować. Ale faktycznie opiekę nad majątkiem i pałacem sprawował Albert Burchel.

23 listopada 1918, sobota

Spotkanie księcia i Burchela

Minęło kilka lat. Wojna dobiegła końca. Poszła w górę inflacja i cena kruszców. Lokowanie w 1914 kapitału w złocie okazało się słuszne. Wartość Radziwiłłowych złotych monet wzrosła o kilkaset procent²². Na szczęście rodowego skarbcza dotychczas nikt nie ruszał. Nieśwież był wszak własnością rosyjskiego oficera. Niemieckie wojska rodowe gniazdo Radziwiłłów także uszanowały. Kiedy jednak rodziła się Polska, a bolszewicy zaczęli realnie zagrażać nieświeskiemu skarbcowi, książę Stanisław znowu zwrócił się do Alberta Burchela. W jednym z listów napisał: *Albercie, na Polskę ciągną bolszewicy. W wiadomej sprawie znowu potrzebuję Twojej pomocy.*

Na Burchela, jak zawsze, można było liczyć. Przybył na wezwanie. Spotkali się w sobotę 23 listopada 1918. Cieszyli się jak starzy druhowie, którymi w istocie byli. W przeddzień Piłsudski został Tymczasowym Naczelnikiem Państwa, a książę Stanisław Radziwiłł objął dowództwo szwadronu ułanów Ziemi Mazowieckiej.

- Wasza wysokość świetnie wygląda w mundurze polskiego rotmistrza - zachwalał księcia Burchel.

- Tak, Albercie, wreszcie wróciłem do Polski, a ze mną Nieśwież.

- Oby na dłużej - mruknął Burchel.

Spojrzeli na siebie wymownie, a książę rzekł:

- Siła ich idzie, Albercie. Będzie trudno ich powstrzymać. Nieśwież jeszcze jest polski, ale boję się, że niedługo. Zaraz będą mieli Mińsk. Do Warszawy ich nie dopuścimy, ale zagrożenie jest wielkie. Przecież czerwoni komisarze wiedzą, że Nieśwież to własność arystokraty i „białego” oficera. Dlatego proszę ciebie o pomoc

w wywiezieniu tych „złotych krążków” z powrotem do Klenicy. Teraz tam byłyby bezpieczniejsze.

- A co z innymi rzeczami, przecież zgromadziliście tam masę innego dobra? - zapytał z troską Burchel.

- Poczyłem pewne kroki. Rodzinę i co cenniejsze rzeczy już zabezpieczyłem. Kłopot mam dalej z tym naszym „skarbem”. Jest tego około dziewięciu kilogramów. Niewielka blaszana wojskowa skrzyneczka sanitarna, z czerwonym krzyżem na wieczku. Mam ją tu - dobrze schowaną. Trochę cięższa od tej, którą przywiozłeś wtedy z Klenicy. Doszły jeszcze moje rubłówki z Mikołajem II. Jakies półtora kilo.

- I znowu mamy ten sam problem. Jak to przewieźć. Wprawdzie granice są „półprzepuszczalne”, ale jednak.

- Pomyślałem, że może także z pomocą glejtu, jak wtedy w 1914. Tyle że może przewiozłbyś ważną przesyłkę do Poznania, a przy okazji też tę skrzyneczkę sanitarną. Tam szykuje się powstanie. Być może dostałbym jakiś dobry dokument podróży z podpisem naczelnika. Z Poznania dalej do Wolsztyna, a stamtąd do Klenicy już niedaleko, znam też kilku naszych, którzy przeprowadziliby cię na niemiecką stronę.

- Brzmi logicznie i wydaje się możliwe. Ale mam inne pytanie - odparł Albert Burchel. - Przecież ten skarb to majątek, a wasza wysokość teraz jest Polakiem. Nawet do dóbr klenickich książe nie ma dostępu. A po te monety trzeba będzie kiedyś chyba sięgnąć. Wasza wysokość dużo ryzykuje, powierzając mi opiekę nad tym złotem.

- Ależ drogi Albercie. Już twój pradziad zabezpieczał nasze mienie. Burchelskim ufamy od stu lat. A i my już się od lat znamy. Byłeś długo przy mojej matce. Troszczysz się o nasze dobra na Śląsku. Komu mielibyśmy zaufać? A wierzę, że wkrótce przyjdą czasy, kiedy formalnie znowu będę mógł być właścicielem klenickich dóbr. Wojna z Niemcami się skończyła, a ja przecież znam tam tyle wpływowych

osobistości. Któregoś dnia sięgniemy razem do skarbu i zainwestujemy w coś dobrego i pięknego.

- Tym razem będę jednak nalegał na to, by sprawę sformalizować. I mnie mogą się różne rzeczy przytrafić, przecież wasza wysokość musi mieć jakiś dokument, na podstawie którego będzie można ustalić właściciela tej „skrzynki sanitarnej”.

- Masz rację, Albercie, i ja już o tym pomyślałem. Nic tymczasem ci nie mówiłem, gdyż nie chciałem ci okazywać nieufności. Mam tu przygotowane pokwitowanie. W poniedziałek pójdziemy do notariusza Męciły i załatwimy to formalnie.

Książę wyjął z wewnętrznej kieszeni dwie złożone w czworo kartki. Jedną z nich podał Albertowi. Ten wziął ją i powoli zaczął czytać:

Ja, niżej podpisany książę Stanisław Wilhelm Radziwiłł herbu trzy trąby, ordynat nieświeski i dawigródecki, powierzam niniejszym nasz skarb rodowy, składający się ze złotych monet według poniższego zestawienia:

- *Monety złote z wizerunkiem Wilhelma I z roku 1873 o nominale 10 marek - sztuk 1130.*

- *Monety złote z wizerunkiem Wilhelma II z roku 1913 o nominale 20 marek - sztuk 312.*

- *Monety złote z wizerunkiem Napoleona III z roku 1857 o nominale 10 franków franc. - sztuk 220.*

- *Monety złote z wizerunkiem Mikołaja II z roku 1899 o nominale 10 rubli ros. - sztuk 174.*

panu Albertowi Burchelowi w celu ich zdeponowania w naszym pałacu myśliwskim w Kleinitz, na Śląsku. Odbioru ww. monet dokonam osobiście lub dokona tego upoważniona przeze mnie osoba. W razie mojej śmierci i w przypadku braku osoby upoważnionej niniejszy „skarb” odebrać może jedynie testamentarnie ustalony członek mojej rodziny.

Wolą mojej ś.p. matki księżnej Marii Doroty Radziwiłł i moją pan Albert Burchel, urodzony 15 czerwca 1877

w Kaliszu, s. Józefa Burchelskiego: może zatrzymać dla siebie 20 szt. monet z wizerunkiem Napoleona III jako wyraz wdzięczności za pełną poświęcenia długoletnią służbę dla naszej rodziny.

Niniejszy dokument wykonano w dwóch równobrzmiących egzemplarzach.

Podpisy:

Ks. Stanisław Wilhelm Radziwiłł

Potwierdzam przejęcie ww. zestawu złotych monet

Albert Burchel

Potwierdzam prawdziwość podpisów i ich zgodność z tymi osobami.

Paweł Męciłło - Notariusz

Warszawa, 25 listopada 1918 roku.

Notariusz Paweł Męciłło, zażywny pan w wieku przedemerytalnym, z monoklem na lewym oku, co chwilę nerwowo szarpał nieco już wysłużoną muszkę.

- Kto napisał ten dokument, wasza wysokość? - zapytał księcia z miną, jakby dopiero co pożył kiszzonego ogórka.

- Sam to ułożyłem i... wystukałem na maszynie do pisania. To bardzo poufny dokument, więc zrobiłem to osobiście.

- Gdybym notarialnie od lat nie obsługiwał pana, mości księżę, to bym tego dyletanckiego dokumentu nie zaakceptował. Ale czasy takie i pilno wam pewnie, więc potwierdzę ten, pożał się Boże, dokument. Proszę przeto złożyć podpisy.

Notariusz dokumenty sam także zamasyście podpisał, wpisał datę i przyłożył okrągłą pieczęć z orłem w koronie. Wyszli z kancelarii i poszli do Cukierni Szwajcarskiej na rogu Szpitalnej. Tu księżę wyjął podpisane właśnie kartki i zamierzał jedną z nich wręczyć Burchelowi. Ten jednak powstrzymał księcia ruchem ręki.

- Nie sądzę, żeby to było dobre, abym to ja miał razem ten papier i skrzyneczkę z monetami. Skrzyneczka będzie w przesyłce wojskowej, a dokumenty miałbym przy sobie.

W czasie jakiejś, byle jakiej rewizji natychmiast będzie wiadomo, czego w moim bagażu szukać. Proszę, niech wasza wysokość złoży ten mój dokument w jakiejś zaufanej kancelarii adwokackiej.

- Dotychczas korzystałem z kancelarii Bolesława Podhoreckiego. Myślę, że tam można ten dokument zdeponować. Swój egzemplarz będę miał przy sobie.

Do cukierni wszedł jakiś oficer. Księżę Stanisław zobaczywszy go, wstał i radośnie się uśmiechając, krzyknął:

- Witaj, Józefie! Co za przypadek. Przysiadź się, proszę, do nas. - Wskazując na Alberta, rzekł: - to najlepszy przyjaciel naszej rodziny i mój druh, pan Albert Burchel. - Po czym przedstawił gościa w mundurze: - To jest mój kompan i towarzysz broni, rotmistrz Józef Lubicz-Stasiński.

Stasiński trzepnął obcasami i zasalutował. Burchelowi uściśnął dłoń, silnie i po żołniersku, a z księciem przywitani się „na misia”.

- Co cię do Warszawy sprowadziło, Józefie? - zapytał Radziwiłł.

Stasiński popatrzył na Burchela i zdawkowo odpowiedział:

- Sprawy wojskowe.

- Rozumiem. Chciałem ci tylko powiedzieć, że Albert to pewny człowiek i ja mu ufam - zareagował na to księżę.

- Między innymi z mojego szwadronu szykują oficera i paru żołnierzy jako załogę „Poznańczyka”.

- Rozumiem. O ile mi wiadomo, pociąg też ma lada dzień być gotowy - dodał Stanisław.

- Z tego, co słyszałem, Stanisławie, wkrótce będziesz adiutantem Marszałka. Pewnie w tej sprawie więcej wiesz niż ja.

- No tak, oczywiście coś tam wiem o „Poznańczyku”, a jeśli chodzi o stanowisko adiutanta, to na razie nic nie wiadomo. Ciekawe, czy pociągi w kierunku Poznania w ogóle jeżdżą?

- Wojskowe pewnie jeżdżą. Pasażerskie chyba jeszcze nie - odparł Stasiński.

- Wiesz, mamy mały problem. Albert musi dotrzeć z pewną przesyłką do mojego pałacu myśliwskiego w Klenicy.

- A, to ten pałac, o którym mi tyle opowiadałeś.

- Tak. Albert Burchel pilnuje tam wszystkiego. Teraz musi możliwie szybko wrócić.

- Mam pomysł, Stanisławie. Wprawdzie to nie za bardzo legalne, ale dość pewne. Do tego pociągu pancernego dołączony będzie wagon osobowy dla załogi. Pogadam z moim porucznikiem Zubowiczem, który będzie tam dowodził. Może pan Burchel dotrze w ten sposób do Kalisza, który jest już w granicach Polski. Stamtąd do Poznania nie jest daleko. Zawsze znajdzie się jakaś okazja.

- Myślę, że będzie to bardziej legalne, jeśli Albert Burchel wyposażony zostanie w stosowne pismo z dobrym podpisem - podchwycił książkę Stanisław.

27 grudnia 1918, piątek

Specjalny kurier Naczelnika

Wieczorem, w piątek dwudziestego siódmego grudnia, „pociąg pancerny nr 11” wyruszył z Warszawy na zachód. Jego dowódca bardzo uważnie przyglądał się papierowi, który mu przedłożył Albert Burchel, zanim ten wsiadł do przedziału pierwszej klasy, w doczepionym do „jedenastki” wagonie osobowym. Uśmiechnął się znacząco i przywołał żołnierza, by pomógł panu Burchelowi – „specjalnemu kurierowi Naczelnika”, wnieść do przedziału bardzo ciężką walizkę.

Pociąg poruszał się powoli. Zdezelowane i pobieżnie naprawione tory, wyeksploatowany parowóz i kulejąca infrastruktura kolejowa na więcej nie pozwalały. Nad ranem krótki postój w Skierniewicach. Tu zastała ich wiadomość o powstaniu. Ruszyli do Łodzi najszybciej, jak się dało. I znowu czekanie na wolną drogę. Żołnierze mieli czas na posiłek i piwo w dworcowej restauracji. Ale nie Albert Burchel. On pozostał w przedziale, spoglądając raz po raz dyskretnie na swoją walizkę. To w niej, w drugi dzień Bożego Narodzenia, razem z księciem umieścili wojskowy pojemnik z czerwonym krzyżem, wypełniony złotymi monetami. Niewielka skrzyneczka wielkości pudełka na buty, owinięta w worek jutowy nie zabierała wiele miejsca, ale swoje ważyła. Od czasu do czasu Albert Burchel niezauważenie także dotykał zalakowanej szarej koperty w wewnętrznej kieszeni płaszcza. Miał ją niezwłocznie oddać dowódcy Komendy Straży Obywatelskiej w poznańskim hotelu Bazar.

Późnym popołudniem „jedenastka” wreszcie wyruszyła do Pabianic i dalej do Sieradza. I znowu czekanie na otwarty semafor. Daleko po północy, a właściwie to już nad

ranem, w niedzielę dwudziestego dziewiątego grudnia pociąg pancerny „Poznańczyk” dotarł do Kalisza.

- No, to do widzenia, panie Burchel, życzę panu szczęśliwego dotarcia do Poznania - powiedział uprzejmie porucznik.

- Do widzenia! Dziękuję za „podwiezienie”. Miło było z wami. Szkoda, panie poruczniku, że dalej nie jedziemy razem - odparł Burchel.

- Mam inne rozkazy, panie Burchel - rzekł porucznik, a widząc, jak ten mocije się z walizką, kazał ordynansowi pomóc Burchelowi.

Z dużym wysiłkiem chłopak wystawił walizkę na peron, a obserwujący to porucznik z lekka ironicznie zapytał:

- Co to, złoto pan tam ma, czy co, że taka ciężka ta pańska walizka?

- Cha, cha - zareagował Burchel śmiechem. - Dobrze. Nie, panie poruczniku, to kilkanaście starych książek, które mam przechować księciu Radziwiłłowi.

29 grudnia 1918, niedziela

Burchel znowu w Kaliszu

Albert Burchel strzelił kilka razy palcami. Pojawił się bagażowy z tą swoją dwukołową taczka. Sprawnie na nią załadował walizkę i zapytał:

- Do przechowalni bagaży, szanowny panie, czy na postój dorożek?

- Proszę do poczekalni. Rozejrzę się i zdecyduję, co dalej.

- Tak jest! - odpalił bagażowy po wojskowemu, przykładając dwa palce do daszka nieco już sfatygowanej kolejarzkiej czapki.

Burchel popatrzył na niego badawczo, a tamten z tajemniczą miną odparł przytłumionym głosem:

- Przecie widziałem, z kim pan przyjechał i z jakimi honorami wojsko pana pożegnało. Nie każdemu ordynans nosi walizki i nie każdemu salutuje oficer. Jakby co, to może pan na mnie liczyć.

- Co chcecie mi, człowieku, przez to powiedzieć? - zapytał Burchel.

- Nic, proszę pana. Nic. Tylko że my tu już wiemy o powstaniu wielkopolskim. I nas o pomoc długo prosić nie trzeba.

Burchel przemilczał tę uwagę, a po chwili zapytał:

- Może wiecie, kiedy odchodzi jakiś pociąg do Poznania?

- Pociąg do Poznania? Tam jadą tylko wojskowe pociągi. Ostatni osobowy odjechał do Poznania w drugi dzień świąt wieczorem.

- Hm - zafrasował się Burchel. - To jak dostać się do Poznania?

- Dzisiaj pewnie nic z tego nie będzie - odezwał się bagażowy - ale jutro może uda się coś załatwić.

- Załatwić? - zapytał zdziwiony Burchel.

Bagażowy podszedł bliżej do Burchela z wyciągniętą ręką.

- Jan Mencil jestem. Rodowity Kaliszanin. Ruskich przeżyłem, Niemców przeżyłem, a teraz chcę dożyć Wielkopolski, wielkiej, jaką bywała w historii. Wie pan, Kalisz też był kiedyś stolicą Wielkopolski.

- Panie Mencil, ja też jestem rodowitym kaliszaninem. Urodziłem się tutaj i do dwunastego roku życia tu mieszkałem.

- Przepraszam, a jak się pan nazywa? - chciał wiedzieć Mencil.

- Jestem Albert Burchel.

- Burchel, Burchel? Nie, nie znam takiego nazwiska. Tu był kiedyś skład towarów kolonialnych, ale właścicielem był Burchelski.

- No właśnie, to mój ojciec. Niestety już nie żyje. Matka zresztą też nie.

- Muszę pana zmartwić, magazynów Burchelskiego też już nie ma. Rusczy zlikwidowali - poinformował Jan Mencil.

Bagażowy Jan Mencil z szacunkiem patrzył na Alberta Burchela i było widać, że coś mu chodzi po głowie. Wreszcie odezwał się:

- Mój szwagier ma spedycję. Została mu taka trochę zdezelowana ciężarówka, którą jeździ do Pleszewa, a nawet do Jarocina. Wie pan, on miał dwa prawie nowe ciężarowe daimlery, ale poszły do wojska. Został mu się tylko taki stary saurer²³. Ale jeszcze chodzi. Wie pan, taki z kołami z pełnej gumy. Teraz w zimie trochę gorzej się nim jeździ. Ale na razie śniegu nie ma. Może szwagier będzie miał kurs do Jarocina.

- To nie byłoby takie złe. Może mógłbym się z nim zabrać. Oczywiście zapłacę - powiedział Burchel. - Z Jarocina, miasta kolejarzy, może nawet jakiś pociąg do Poznania się trafi - dodał z nadzieją w głosie.

Albert Burchel wyszedł na plac przed dworcem. Tuż za nim bagażowy Mencel wioził jego walizkę. Burchel pamiętał jeszcze piękny kaliski dworzec kolejowy, który wzbudzał w nim, wtedy dwunastoletnim chłopaku, tęsknotę za wielkim i dalekim światem. Godzinami patrzył na buchające parą, lśniące lokomotywy. Teraz na prowizorycznie odbudowanym dworcu widoczne były jeszcze ślady pożaru, jaki na odchodnym urządzili Rosjanie.

Pomimo że właściwie osobowego ruchu kolejowego tak wczesnym rankiem prawie nie było, przed dworcem oczekiwało kilka konnych dorożek. Jedna z nich natychmiast podjechała.

- Poczekasz chwilę, Franciszku - rzucił Mencel do dorożkarza. - Zaraz pojedziemy z panem dyrektorem do mnie do domu.

Zaskoczony Burchel zdziwiony popatrzył na Jana Mencla.

- Jak to do was do domu, panie Mencel? Myślałem raczej o jakimś hotelu.

- Do hotelu? Panie, obydwa hotele teraz zajęło wojsko. A ja i moja żona będziemy radzi ugościć takiego zacnego i ważnego pana. Poza tym na wieczór zaprosimy szwagra, żeby pogadać na temat jazdy do Jarocina.

Jan Mencel umieściwszy najpierw walizkę Burchela w dorożce, na chwilę zniknął. Zaraz jednak wrócił.

- Dzisiaj już się nic nie będzie działo. Nie spodziewają się tu już żadnych pociągów. Mimo wczesnej pory jestem już po robocie - rzekł do Burchela, a do woźnicy krzyknął: - Jedź już, Franciszku.

Wiał zimny grudniowy wiatr. Zachmurzone niebo odgrażało się opadami. Gawrony obsiadające bezlistne drzewa z zaciekawieniem przyglądały się dorożce. Burchel poprawił szalik, opatulił się płaszczem, a ręce w rękawicach włożył do kieszeni. Jan Mencel mocniej naciągnął swoją kolejarzką czapkę i postawił kołnierz płaszcza.

- Podjedź jeszcze trzy domy dalej - powiedział Mencil do dorożkarza. - O tu. Tu się zatrzymaj.

Stanęli przed typowym małym kolejarskim domkiem. Mikruśki ogródeczek, ceglany chodnik i mały budynek gospodarski. W chlewiku zabeczła koza. Pewnie wyczuła, że właściciel wrócił. Obok chlewika znajdował się wiadomy przybytek z serduszkim. Trochę dalej w głębi niewielkiego podwórka stała owinięta w słomę pompa.

Zaniepokojona hałasem pani Mencilowa otworzyła drzwi i zobaczywszy obcego jej Burchela, zaraz je odruchowo zamknęła. Jan, jej mąż, podszedł do drzwi i pukając, zawołał:

- Otwieraj, Luśka! Gościa mamy, no, otwieraj.

Drzwi z wolna się otworzyły. Stojąca w nich korpulentna kobieta, przykładając rękę do ust, rzekła:

- Panienko Przenajświętsza, a ty skąd takiego wytwornego pana tu przywiodłeś? - powiedziała, poprawiając fartuch. - Zrobiła przyjazny gest i odezwała się do Burchela: - Proszę, niech wejdzie.

- Przepraszam za najście. Pani mąż nalegał. Proszę nie robić sobie kłopotów - tłumaczył się nie mniej zażenowany Albert. - Zapłacę państwu za wszystko, bo widzi pani, w kaliskich hotelach miejsc nie ma.

- Zapraszamy, zapraszamy - powtarzała Mencilowa z ledwie zauważalnym wyrazem niepokoju. - Herbatkę nastawię. Zimnica na dworze.

Jan Mencil wtargał do mieszkania walizkę Burchela. Jasne, i jego ciekawiło, dlaczego akurat ta waliza jest cięższa niż wiele innych, jakie przyszło mu transportować. Był jednak przekonany, że Burchel ma coś wspólnego z wojskiem. Może to jaka broń albo granaty - dumiał. Przecież granaty w domu to jest raczej niebezpieczne. W końcu zdecydował swojego gościa o to zapytać.

- Wiem, panie Burchel, że pytać nie należy. Tajemnica to tajemnica, ale powiedz nam pan proszę tylko, czy w tej walizce nie ma nic niebezpiecznego.

- Ależ nie. Proszę się uspokoić. W walizce są książki. To, co jest ważne i co mam dostarczyć do Poznania, to to. - Wskazał na szarą zalakowaną kopertę, którą wyjął z kieszeni płaszcza.

- Dzięki Bogu - odezwała się Mencilowa, stawiając na stole dwie szklanki herbaty w pięknych podstakannikach. - Postaw, Jasiu, tę walizkę w pokoju przy kanapie.

- Książki? To pewnie jakieś lepsze - mruknął Mencil, starając się ostrożnie obchodzić z walizką.

Albert Burchel zdawał sobie sprawę z sytuacji tej rodziny, do której „wtargnął” poprzez emocjonalną decyzję Jana Mencela. W pewnej chwili położył na stole dwa banknoty o nominale pięćdziesięciu marek polskich i oświadczył:

- Proszę to przyjąć jako zaliczkę. Te marki to teraz całkiem legalne pieniądze polskie. Za każdą markę polską można dostać *Reichsmarkę*.

- Ależ to zbędne - powiedzieli Mencilowie prawie jednocześnie, nie odrywając wzroku od banknotów z białym orłem.

- Przecież jest pan naszym gościem - dodał Jan Mencil i znowu kierując wzrok na banknoty, kontynuował: - W gazecie pisali o tych nowych pieniądzech, aleśmy ich jeszcze nie widzieli. My tu płacimy, czym się da, głównie *Reichsmarkami*, ale i ruble jeszcze chodzą.

- Pani Mencilowa - zwrócił się Burchel do kobiety - proszę wziąć te pieniądze i zrobić zakupy. Przecież nie wiedziała pani, że będziecie mieli gości.

Lusia Mencilowa popatrzyła bezradnie na męża, jakby oczekując wsparcia. Jan Mencil skinął głową i rzekł:

- Tak, kup coś porządnego na obiad i kolację. Przy okazji zajdź do Władka i powiedz mu, że mamy do niego interes.

- Ale gdzież ja w niedzielę coś kupię? - mruknęła Mencilowa.

- Może u Dymkiewicza coś dostaniesz, przecież rolnik zawsze ma otwarte, bo zwierzęta nie znają niedzieli,

a pieniądz dobry - zarechotał wesoło.

Kiedy żona założywszy wielką brązową chustę z frędzlami wyszła po zakupy, Jan Mencil tłumaczył się:

- Ona rzeczywiście wpadła w popłoch. Na dzisiejszy obiad miały być placki kartoflane. Ale takiego gościa podejmować tak prostym jadłem? To i spanikowała.

- Ależ z przyjemnością zjadłbym takie naprawdę domowe placki kartoflane ze śmietaną - powiedział na to Burchel, popijając herbatę.

- Śmietany też nie mamy. Została nam jedna koza, co i owszem, mleko daje, ale potrzebne ono na ser. Wie pan, teraz nie najlepiej nam się wiedzie. Przed wojną to ja kolejarzem byłem. Prawdziwym. I nieźle się żyło. Teraz już mnie tam nie chcą. Za stary jestem. Na tragarza się tylko nadaję. Jak dobry dzień, to nawet można coś zarobić. Czasem szwagier nam pomaga. Kiedy jesienią trochę się u gospodarzy w Szczypiornie przy zbiorach pomagało, to w naturze nam płacili. Tak i nieco zapasów my porobili. No i tak jakoś ciągniemy. Z głodu nie pomrzemy, a i ugościć jest czym. - To powiedziawszy, ruszył do kredensu. Wrócił z butelką i dwoma kieliszkami. - Swojska, ale dobra. Wypije pan ze mną kielicha?

- Jednego wypiję - odparł Burchel i chwycił za kieliszek w międzyczasie napełniony przez Mencila. Wychylił. Wstrząsnęło nim. - Ależ to mocne - mruknął, prawie bez tchu.

- Ano mocne. Przynajmniej rozgrzewa - stwierdził Mencil.

Akurat gdy gospodarz zabierał się za nalewanie kolejnej pięćdziesiątki, wróciła Lusia. Postawiła w kuchni koszyk ze sprawunkami, po czym podeszła do mężczyzn zajętych butelką i zdecydowanym ruchem zabrała ją ze stołu.

- Wieczorem, jak Władek przyjdzie, wypijecie, a teraz zrobię jajecznicę na boczku.

Kieliszek samogonu i spory talerz jajecznicy na boczku nasyciły Burchela, ale napadła go senność taka, że mógłby

spać na stojąco. Mimo orzeźwienia w zewnętrznej toalecie nie mógł się oprzeć kanapie z kocem. Gospodarze wyszli do kuchni. Obudziły go jakieś głośne odgłosy. Drzwi się lekko uchyliły.

- Śpi pan jeszcze, panie Burchel? - zapytał gospodarz półgłosem.

- Nie, już nie - odparł, a pomyślał: przecież żeście mnie obudzili.

- Szwagier przyszedł, zapraszamy.

Wstał. Z emaliowanego dzbanka nalał do miski wody. Obmył twarz, wytarł się w lniany ręcznik wiszący na poręczy krzesła, przygładził włosy i poszedł do kuchni. Za suto zastawionym stołem siedział dobrze zbudowany mężczyzna w średnim wieku. Wyrazista twarz, z której spod prostych, ciemnych brwi zuchwało spoglądały ciemne oczy, o kwadratowej żuchwie z dołkiem na środku, mówiła, że ten facet wie, czego chce. Kiedy Burchel wszedł do kuchni, poderwał się i z szerokim uśmiechem odezwał się:

- Władysław Zieja jestem. - Wyciągnął rękę do Burchela.

- Zieja Spedition to moja firma.

Uścisnęli sobie ręce. Zanim zdążyli cokolwiek powiedzieć, Jan Mencil wstał z kieliszkiem w ręku i rzekł:

- Wypijmy najprzód, to potem łatwiej będzie o interesach pogadać.

Wypili. Zieja wytrzepał kieliszek i sięgnął po kiszzonego ogórka. Burchel odetchnął głęboko, trzymając rękę przed ustami, i odstawił kieliszek. Ledwo to zrobił, Jan Mencil zabierał się znowu do nalewania, ale Lusja surowym spojrzeniem „opuściła” jego rękę z butelką. Jedzenie było proste, ale smaczne i pożywne. Na stole stała lampa naftowa z szerokim zielonym kloszem. Kalisz prąd miał już dawno, ale tu do nich jeszcze nie dotarł.

- No właśnie, pewnie pan Jan już panu wspominał. Muszę się dostać do Poznania. Może mógłbym się jakoś z panem zabrać - powiedział Burchel.

- Do Poznania jest ponad sto dwadzieścia kilometrów. Gdybym dysponował którymś z moich daimlerów, to byłoby to możliwe. Niestety pozostał mi tylko ten rupieć saurer. Tym samochodem jazda do Poznania to ryzyko - zareagował Zieja.

- Czy w ogóle chciałby mnie pan zabrać dokądkolwiek w kierunku Poznania? Zapłacę, ile trzeba.

- Tak naprawdę chwilowo nie mam potrzeby gdziekolwiek jechać, ale jeśli potraktuję pana prośbę jak każde inne zlecenie, to jestem gotowy jutro z panem pojechać. Ma się rozumieć, jeśli nas śniegiem nie zasypie - powiedział Zieja.

- A za ile zawiózłby mnie pan do Jarocina? - zapytał Burchel

- Powiem panu uczciwie, tanio to być nie może. Czasy ciężkie. Benzynę teraz trudno zdobyć, a jej cena ciągle rośnie. Dzisiaj jeszcze musiałbym przejrzeć auto. Jakieś ryzyko też jest. Powiem tak, jeśli uda się pana zawieźć na dworzec w Jarocinie, to policzyłbym dwa tysiące marek. Jeśli tylko do Pleszewa, to połowę z tego.

Chociaż Burchel zaskoczony kwotą, tak naprawdę tym się nie przejmował. Z dziesięciu tysięcy polskich marek, jakie mu książę wypłacił tytułem zwrotu kosztów, dotychczas wydał sto dwadzieścia. Przewrotność i reguły kupieckie nakazywały jednak podaną cenę zakwestionować.

- Oj, panie Zieja! Dużo pan żąda. Ja wiem, że czasy ciężkie i benzyna droga. Ale pewnie pan także wie, że dobry fachowiec za dzień pracy nie weźmie więcej niż sto marek.

- No dobrze. Widać pan się zna na interesach. Spuszczę dwieście. Za tysiąc osiemset marek pojedę do Jarocina. Za połowę tylko do Pleszewa - odparł uśmiechający się ciągle Zieja, wyciągając rękę w kierunku Burchela.

Ten wyciągniętą rękę uściskał i pytająco spojrział na Zieję.

- To kiedy wyruszamy?

- Pojadę tu około szóstej. Chyba że napada śniegu.

Mencel podlewał tę swoją „mocną”. Kawałki pieczonego królika z gospodarskim chlebem rozpływały się w ustach. Posiedzieli z godzinkę, a pytaniom do gościa nie było końca: czy widział Piłsudskiego, jakie Warszawa ma zaopatrzenie, czy dużo wojska na mieście, czy boją się bolszewickiej nawały – podobno podchodzą pod Warszawę? Odpowiedzi na wszystko Burchel także nie miał.

30 grudnia 1918, poniedziałek

Burchel w Poznaniu

Śniegu nie napadało. Grudniowy wiaterek zdmuchiwał biały pyłek, usiłujący pokryć świat. Zieja słowa dotrzymał. Jego przybycie oznajmiał głośny terkot starego saurera. Burchel położył na stole dwudziestkę, podziękował za gościnę i opuścił kolejarski dom. Mencil wtargał jego walizkę na pakę ciężarówki i przykrył ją brezentową płachtą. Zieja gestem ręki zapraszał do zajęcia miejsca obok niego, w otwartej kabinie.

- Niech pan to założy, bo trochę wieje - rzekł, śmiejąc się, i wskazał na baranicę, leżącą na siedzisku.

Burchel opatulił się kozuchem, którego zapewne nie przechowywano w perfumerii. Nie ma co wybrzydzać, wszak to auto nie ma drzwi - mruknął po nosem. Zieja zresztą także był opatulony od stóp po głowę. Ruszyli. Burchel nie spodziewał się komfortu, ale zimny powiew, hałas silnika i telepanie słabo resorowanego pojazdu skłaniały go do refleksji: i to wszystko mam za tysiąc osiemset marek. Ale poruszali się zadziwiająco sprawnie. Pan Władek Zieja od czasu do czasu manipulował dźwignią biegów i dodawał gazu, co objawiało się jakimś głuchym zgrzytem. Dopóki byli w mieście, gazowe latarnie oświetlały drogę. Dobrze, że dniało, bo za miastem samochodowe karbidówki²⁴ drogi by dostatecznie nie oświetliły. Czasami wyprzedzały ich pojazdy wojskowe.

W Gołuchowie z daleka już zobaczyli stojącego na szosie żołnierza, wymachującego rękami. Zieja zwolnił i zatrzymał się obok budki wartowniczej, w której siedział drugi żołnierz.

- Skąd i dokąd jedziecie? - zapytał ten stojący na szosie.

- Z Kalisza do Pleszewa, albo i dalej - odparł niefrasobliwie Zieja.

- Dokumenty! - rozkazał żołnierz.

- Aha - mruknął, oglądając papiery Zieji - Spedition Zieja, znaczy się Spedycja Zieja. A czegoż to po niemiecku, a nie po polsku?

- Bo to stary samochód. Za Niemca nim jeździłem. Miałem nowe z polskimi napisami. Zarekwirowało mi je wojsko. Muszę tym gratem jeździć, a napisów nie zdążyłem jeszcze przemałować.

- Pana dokumenty proszę - zwrócił się żołnierz nieco grzeczniej do Burchela.

Ten podał mu swój niemiecki paszport. Żołnierz obracał go na wszystkie strony i wreszcie krzyknął do kolegi:

- Stefan! Niemieckiego szpiega mamy.

- Jaki on tam szpieg, panie żołnierzu, to swój rodowity Kaliszanin.

- Tak? Ciekawe? *Herr Albert Burchel aus Kleinitz*. Wysiadał - zwrócił się do Burchela już nie tak grzecznie. - Do góry rączki, *Herr Burchel*.

Ten drugi wyszedł z budki. Karabin miał skierowany w podróżnych.

- Zrewiduj go - rzekł do kolegi, a sam zapytał Zieję: - A na pace pod płachtą to co wieziecie?

- Walizkę tego pana - odpowiedział Zieja.

Tymczasem rewidujący wyciągnął szarą zalakowaną kopertę i portfel z kieszeni płaszcza i marynarki Burchela. Większe zainteresowanie wzbudził portfel.

- Stefan, to naprawdę szpieg. Zobacz, ile ma pieniędzy - meldował, przeliczając banknoty tysiąc-, sto- i pięćdziesiąt-markowe.

- Ten papier w portfelu przeczytaj - warknął wściekły Burchel na żołnierza.

- Co? Patrz, Stefan, jeszcze się stawia - powiedział do kolegi pilnującego Ziei, który właśnie odchyłał płachtę. - Zaraz go zdziele kolbą, to spokornieje.

- Ale najpierw przeczytaj ten świstek - odparł ten drugi.

Żołnierz wziął do ręki złożoną we czworo kartkę, rozchylił ją i zaczął czytać. Po chwili zamarł. Nie mógł wydusić słowa, a ten drugi zapytał niecierpliwie:

- I co? Co tam jest na tej kartce?

Ale zamiast koledze odpowiedzieć, żołnierz stanął przed Burchelem na baczność i jął przeproszać.

- Bardzo przepraszam jaśnie pana. Skąd mogłem wiedzieć? Nic pan nie mówił. - Zwrócił się do kolegi: - Stefan, ten pan to specjalny kurier Naczelnika. Zostaw tę walizkę.

- Nic nie mówiłem, boście mi nie dali nic powiedzieć. Niech to będzie nauczka. Najpierw grzecznie sprawdzić, a potem wyciągać konsekwencje - pouczył Burchel.

- Przepraszam jeszcze raz, ale myśmy tego... tych konfencji przecież nie wyciągali. Tylko portfel i tę kopertę wyciągnąłem. Już to oddaję. Nic nie zginęło. Przepraszam jeszcze raz. - Żołnierz wręczył Burchelowi paszport, portfel i szarą zalakowaną kopertę. Stanął na baczność i zasalutował.

Obaj pomogli Burchelowi zająć miejsce i opatulili go kożuchem, a Ziei pytającemu o cofających się Niemców, odpowiedzieli, że droga do Jarocina jest bezpieczna. Faktycznie, wkrótce przejeżdżali przez Pleszew. Przed Jarocinem był jeszcze jeden posterunek kontrolny. Tu potraktowano ich bardzo grzecznie. Albert Burchel trzymał w pogotowiu ten swój glejt podróżny, ale nikt go więcej o to nie pytał. Jakby wiedzieli, że się tutaj pojawią. Wartownicy ostrzegali też, że nie cały Jarocin jest w ręku powstańców, ale dworzec jest opanowany i pociągi jeżdżą. Zwłaszcza wojskowe.

Zieja odprowadził Burchela na sam peron. Pociąg do Poznania, załadowany młodzieńcami rwącymi się do powstania, miał odjechać lada chwila. Burchel wręczył Zieji dwa czerwone banknoty i uściśnął mu rękę ze słowami:

- Panie Władku, dziękuję panu. Zrobił pan coś wspaniałego. Dziękuję!

- Oj, nie mogę wydać reszty - rzekł Zieja. - Umowa jest umową. Szczerze mówiąc nie wiedziałem, że wiozłem taką szycę.

- Nie taką znowu szycę. Każdy robi, co może.

Pociąg kilka razy się zatrzymywał. Słysząc było strzelaninę. Młodzi rwali się do walki. Któryś strzelał z dubeltówki do niewidocznego wroga przez otwarte okno. Stary wiarus, śpiący w kącie pod płaszczem, obudzony strzałami, burknął:

- Przestań hałasować, chłopcze. Z tą pukawką to najwyżej na zające możesz zapolować, ale nie tutaj. Zamknij okno - rozkazał.

- Dlaczego, przecież jest powstanie - odezwał się młodzian, a siedzący obok niego koledzy z uznaniem mu potakiwali.

- Jeszcze się nastrzelacie. Tutaj to pozostawcie żołnierzom. W tym pociągu jest ich dosyć i są uzbrojeni. O ile wiem, jedzie tym pociągiem także oddział powstańczy z Jarocina.

Na poznańskim dworcu przeważnie żołnierze. Cywili niewielu. Bagażowy zawiózł walizkę Burchela do taksówek. Na postoju stało ich kilka.

- Do hotelu Bazar proszę - rzucił Burchel taksówkarzowi.

- Dzisiaj może tam zabraknąć miejsc - zauważył szofer. - Wie pan, co się tu dzieje. Paderewski i promienność.

- Wiem - odparł krótko Burchel.

Jechali w milczeniu przez pokryty śniegiem Poznań. Miasto biało-czerwone, udekorowane jakby na jakieś święto. Flagi, wszędzie flagi. Na niektórych balkonach girlandy w narodowych barwach.

- To oflagowanie i te girlandy to z okazji Paderewskiego?
- odezwał się Burchel.

- Panie szanowny, co tu się działo, kiedy on tu w ubiegły czwartek dotarł. Flagi i tłumy z pochodniami na ulicach.

Ludzi dzisiaj mało, bo to zimno i niespokojnie jeszcze. Ale dekoracje zostały.

Hotel Bazar także tonął we flagach. Tu obok narodowych było sporo alianckich: francuskie, angielskie i amerykańskie. Hotelowy boy podjechał wózkiem. Taksówka odjechała. Wartownicy przed wejściem sprawdzali dokumenty. Niemiecki paszport z „wkładką” od Naczelnika działały niczym czarodziejski klucz. W recepcji wprawdzie z żalem oznajmiono mu, że pokoi brak. Ale sto marek włożonych do paszportu spowodowało, że jeszcze się coś na poddaszu znalazło. Otrzymał też potwierdzenie zamieszkania, będące też przepustką.

- Muszę dotrzeć do Komendy Straży Obywatelskiej - powiedział Burchel do recepcjonisty.

Ten w pierwszym momencie się skonsternował. Później wysłał dokądś boya. Wkrótce pojawił się oficer, który najpierw zwrócił się do portiera. Ten wskazał na Burchela. Oficer podszedł do niego i przedstawił się:

- Podporucznik Paluch, Służba Straży i Bezpieczeństwa. Pan chce do Straży Obywatelskiej?

- Tak mam niezwłocznie przekazać tę oto przesyłkę odpowiedzialnej osobie. - Popatrzył na oficera, wręczając mu pismo z podpisem Naczelnika.

- Pan chyba ma to przekazać dowództwu powstania. Proszę przeto udać się do hotelu „Royal” - poinformował podporucznik. Jeśli pan sobie życzy, dam panu żołnierza przewodnika do ochrony.

- Dobrze, dziękuję. Czy to daleko stąd?

- Nie. Dziesięć minut pieszo - poinformował oficer.

Burchel wolałby wprawdzie, żeby żołnierza postawiono przy jego walizce, którą boy, stękając, odstawił do numeru, za co dostał sowity napiwek.

- Nieczęsto musisz targać walizy z książkami, to i lepszy napiwek się należy - poinformował go Burchel.

- Dziękuję bardzo, szanowny panie. Niedawno także przenosiłem ciężkie paczki, ale napiwku nie dostałem. Ten

gość powiedział mi, że to ulotki dotyczące powstania, i że to ku chwale ojczyzny – odparł boy.

Burchel uśmiechnął się i mrugnął porozumiewawczo, podnosząc rękę z zaciśniętą pięścią. Chłopak odszedł ze świadomością patriotycznego czynu.

Lewo się obmył i zmienił koszulę, już do drzwi zapukał żołnierz.

Do ulicy Święty Marcin rzeczywiście daleko nie było. Po dziesięciu minutach byli na miejscu. Także i tutaj sprawdzano dokumenty. Towarzyszący mu żołnierz zapytał, czy ma czekać. Ale było to zbędne. Burchela skierowano do stojącego w głębi holu stołu, za którym siedział powstańczy sierżant.

- Szanowny pan to w jakiej sprawie? – chciał wiedzieć.

- Mam tu ważny list, do kierownictwa powstania. – Burchel pokazał list i pismo z podpisem Naczelnika.

- Zaraz wracam – powiedział sierżant i zniknął. Za chwilę wrócił i zameldował: – Major zaraz pana przyjmie. Proszę pójść do pokoju sto dwa i czekać.

Dzwoniące telefony, rejwach i szybko poruszający się żołnierze. Pokrzykiwania, brzmiące jak rozkazy. To po polsku, to po niemiecku. Dyżurny w sto dwa, przed gabinetem szefa, spokojnie stukał na maszynie do pisania. Po kolejnym telefonie kapral oderwał się od maszyny do pisania i skierował wzrok na Burchela.

- Major²⁵ oczekuje pana.

Burchel wszedł do skromnego pokoju. Na jednej ze ścian wisiała wielka niemiecka mapa „Provinz Posen 1849”. Za dużym biurkiem z kilkoma telefonami siedział czterdziestokilkuletni oficer, brunet z wąsikami o zdecydowanej aparycji. Podniósł się zza biurka z ręką wyciągniętą w kierunku Burchela.

- Taczak jestem. Proszę usiąść.

Burchel uściśnął wyciągniętą do niego dłoń i rzekł:

- Albert Burchel. Mam tu, jak myślę przeznaczoną dla pana majora, przesyłkę od Naczelnika Państwa. - Wręczył Taczakowi tę nieco już wymiętą szarą kopertę z pieczęcią.

Major złamał pieczęć, otworzył kopertę i zaczął czytać pismo. Twarz mu się rozjaśniła, a z ust wyrwało się ciche „nareszcie”. Zadowolony znowu usiadł za biurkiem. Otworzył skrzyneczkę z cygarami i poczęstował Burchela. Kiedy już siedzieli z cygarami w ręku, major rzekł:

- Osobiście Naczelnik przekazał panu ten list? Zna pan jego treść?

- Treści, panie majorze, nie znam, a list przekazano mi za pośrednictwem rotmistrza Radziwiłła.

- O, to księcia Stanisława pan zna.

- Tak, oczywiście. Posłańcem stałem się poniekąd przypadkowo. Zarządzam jego majątkiem w Kleinitz i tam właśnie wracam. Ponieważ droga wiodła przez Wielkopolskę, stałem się „specjalnym posłańcem” Naczelnika. I mam nadzieję, że dostarczyłem ważną wiadomość.

- O tak. Wiadomość jest ważna. Chodzi o sprawę wojskowo-polityczną, więc pozwoli pan, że nie będę na ten temat rozmawiał. Ale proszę mi pokrótce opowiedzieć, jak pan tutaj dotarł.

- Mając glejt z tak ważnym podpisem, to nie było takie trudne - odparł Burchel, pokazując dokument majorowi.

- To pan chce jechać dalej, w kierunku Niemiec? Proszę mi pokazać, dokąd pan zmierza.

Podeszli do mapy. Kleinitz na niej nie było, ale było Boyadel. Pokazał palcem.

- O, tutaj powyżej Boyadel.

- To rzeczywiście już Niemcy. Wprawdzie tuż przy granicy Wielkopolski, ale trudno będzie. Tam także chcemy dojść, ale na razie nic z tego. Może obiecane posiłki i dodatkowe pieniądze nam pomogą. W każdym razie nie radziłbym panu obecnie się udawać w tamte strony. Proszę poczekać kilka dni. Ma pan kwaterę i środki na życie?

- Mam. Mieszkam w Bazarze. Na poddaszu wprowadzie, ale mam dach nad głową.

- W Bazarze?! No to pewnie i Paderewskiego pan spotkasz. To wielki patriota i... wspaniały artysta. Proszę się informować. Niemieckie oddziały objęte są rewolucją, a *Heimatschutz*²⁶ słaby. Może i na zachodzie Wielkopolski niedługo będziemy.

„Paderewskiego pan spotkasz...”, powiedział mu major Taczak. I spotykał wielokrotnie, ale Mistrz był zawsze w towarzystwie. Najczęściej jakby „zaganiany”. Tajemnicą nie było także, że pierwszego stycznia Paderewski wyjeżdża do Warszawy. Uprosil go jednak przyjaciele, żeby przedtem zagrał koncert. Przynajmniej niewielki. Burchelowi udało się zdobyć miejsce na wieczór w Sali Białej na 31 grudnia 1918 roku. Mistrz zagrał Szopena. Wspaniale zagrał, a potem zabrane towarzystwo obchodziło Sylwestra i witało nowy rok. Wiwaty i strzelanina. Szampan czy powstańcy? Parę głośnych życzeń na powodzenie powstania, uniesione nastroje... i hymn.

Nowego Roku całkiem beztrąsko Burchel jednak nie mógł witać. Pozostawiona w pokoju walizka, z jej cenną zawartością, odprężeniu nie sprzyjała. Pełen niepokoju tego wieczoru zachodził do siebie parę razy, wszak sylwestrowe zamieszanie i hałas sprzyjają złoczyńcom - myślał. Widać „walizka z książkami” zainteresowania ewentualnych złodziei jednak nie wzbudzała. Leżała spokojnie na niskim stoliku i nie wyglądało na to, by ją ktokolwiek ruszał.

7 stycznia 1919, wtorek

Z Wolsztyna do Klenicy

W dowództwie powstania ciągle dopytywał się o Wolsztyn. Wreszcie piątego stycznia nadeszła do majora depesza: „Wolsztyn w naszych rękach”. Następnego dnia Burchel, za wsparciem Taczaka znalazł się w wojskowym pociągu do Wolsztyna. I znowu żołnierz pomógł mu ciężką walizkę umieścić w przedziale. Był niespokojny, wszak front się stale zmieniał. Jadący z nim powstańcy uspokajali go jednak. I mieli rację. Tym razem pociąg dojechał do celu bez przeszkód.

Dziwny był ten Wolsztyn w owym czasie. Już nie niemiecki, ale jeszcze nie polski. Na dworcu, na ulicach i na poczcie ludzie mówili po polsku i po niemiecku. W hotelowej restauracji zamawiało się po niemiecku. Po podaniu zamówienia Burchel zagadnął kelnera.

- Pan tutejszy?

- Nie, ja jestem z Züllichau. Tutaj przybyłem za pracą, ale teraz najchętniej wróciłbym do domu. Tu się dla nas robi niebezpiecznie.

- Dlaczego? Przecież strzelanina się już skończyła.

- Tymczasem, ale spokoju tu tak szybko nie będzie. Starosta uciekł, wie pewnie, co będzie. Znam rodziny niemieckie, które są już spakowane. Na dniach chcą wyjechać. Polacy się organizują i lada dzień wyruszą na zachód. A tutejsi Niemcy nie wierzą w siłę *Heimatschutzu* i wiedzą, że armia jest słaba, bo zarażona rewolucją.

- Może mają rację. Także bym chętnie wyjechał.

- To czemu pan tego nie robi? - zapytał kelner.

- Pociągi nie jeżdżą, bo powstańcy rozkręcili szyny. Nie mam auta ani wozu konnego. Na pieszo z walizką w ręku przecież nigdzie nie dojdę. A poza tym zawsze lepiej w grupie - odparł Burchel.

- Pewnie - poparł go kelner. Ja na razie zostaję. Właściciel „Kaiserhofu” zapewniał mnie, że wśród Polaków ma wielu przyjaciół i dlatego nam nic nie grozi. Tak hotel, jak i restauracja potrzebne są wszystkim. Tutaj narodowość roli nie gra.

Kelner oszczędł, aby obsłużyć innych gości. Kiedy znowu podszedł do stolika, rzekł:

- Jak pan chce, mogę zapytać. Może mógłby się pan zabrać jutro na jednym z wozów. - Po chwili zapytał: - Na kolacji pan będzie?

- Tak, będę.

Kolumna sześciu konnych wozów z uchodźcami opuszczała rogatki Wolsztyna. Tam zostali zatrzymani przez powstańczy posterunek. Dwukonnymi zaprzęgami powozili starsi mężczyźni. Młodszych tu nie było. Na dużych snopach słomy siedziały opatulone postacie kobiet i dzieci, a między tymi prowizorycznymi siedziskami ułożone były walizy, kosze, skrzynie i toboły.

- Co, wyjeżdżacie do *Heimatu*? - zapytał sarkastycznie dowódca warty, zwracając się do siedzących w pierwszym wozie. A woźnica, chromy Josef Paluschke odparł:

- My właśnie opuszczamy nasz *Heimat*, panie kapralu.

- Nie będziemy was zatrzymywać, jedźcie, jedźcie. I tak już zbyt długo tu siedzieliście. - Do pozostałych wartowników zaś rzekł po polsku: - Sprawdźcie, czy nie wywożą broni czy amunicji i czy na wozach nie ukryli się jakieś *Heimschutze*.

Paluschke spojrział na kaprala smętnie i rzekł:

- Nie, panie kapralu, nie mamy ani broni, ani amunicji, a naszych młodych zaciągnęli do wojska wbrew ich woli.

Burchel siedział opatulony w koc i miał nadzieję, że wartownicy nie będą im się zbyt dokładnie przyglądać. Natychmiast zauważyliby, że on jakoś odróżnia się od pozostałych. Na szczęście nadmiaru marek polskich pozbył się jeszcze w Poznaniu. Większość oddał majorowi „na cele powstańcze”, jak to skomentował. Niewielką część

wymienił na marki niemieckie. Ostatnie u kelnera w Wolsztynie. Do tobołów i walizek powstańcy nie zaglądali, a w kontrolowanych przez nich skrzyniach były naczynia i weki. Burchel odetchnął. Gdyby znaleźli wypełnioną złotymi monetami „medyczną skrzyneczkę” w jego walizce, to pewnie sam Piłsudski by mu nie pomógł. Czasami się zastanawiał: czemu ja to robię? I odpowiadał sobie: to rodzinne, nie mógłbym chyba inaczej, a poza tym dwadzieścia krążków z Napoleonem III jest moją zapłatą.

- Jechać! - rozkazał kapral.

Pruski posterunek znajdował się na skrzyżowaniu koło Jaromierza.

- *Halt! Ihre Papiere bitte* - odezwał się podoficer.

Wszyscy przygotowali dokumenty, a wartownicy jęli przeszukiwać bagaże. Waliza Burchela i on sam tym razem nie uszli uwadze niemieckich wartowników.

- Proszę wysiąść - mruknął do Burchela podoficer, trzymając jego paszport. - To pana bagaż? Dokąd pan jedzie? - dochodził.

- Usiłuję wrócić do Klenicy, skąd jestem, jak pan widzi *Herr Unteroffizier* - odpowiedział Burchel, wskazując na trzymany przez żołnierza paszport.

- A skąd to pan wraca, Herr Burchel?

- Zaskoczyło mnie to polskie powstanie. Jestem zarządcą majątku księcia Radziwiłła w Klenicy. Byłem na jego wezwanie w Warszawie, no i teraz jestem już dziesięć dni w drodze do domu.

- A w Polsce to jak pan się poruszał? Przecież tam jest powstanie. Nikt pana nie kontrolował? Tak sobie niemieckiego obywatela przepuszczali?

Burchel nie zdążył odpowiedzieć, gdyż z boku odezwał się ktoś radośnie:

- A pan skąd się tu wziął, panie Burchel? - Jeden z wartowników, dotychczas zajęty kontrolowaniem pozostałych pasażerów taboru, odezwał się do podoficera. -

Tego pana nie ma co kontrolować, przecież ja go znam, on jest z Kleinitz. Mój szwagier u niego w pałacu pracował.

- O! Franz Eichler - ucieszył się Burchel, spoglądając na znajomego z Klenicy. - To pan nadal jest w wojsku?

- Niestety naszego oddziału nie zdemobilizowano. Od razu tutaj nas skierowali. Chciałem...

Nie dokończył, bo podoficer spojrzał na niego surowo i burknął:

- Franz! Co to kogo obchodzi? - Po chwili jednak dopytał: - Powiedz no, rzeczywiście znasz tego gościa?

- No pewnie. Pan Burchel pracował u księżnej Radziwiłłowej od samego początku.

- Można jechać! - rozkazał podoficer.

Wielkie płaty śniegu wirowały na wietrze. Wozy z uchodźcami miarowo poruszały się do przodu. Zima zmieniła koniom maść. Teraz wszystkie były białe. Ze zwieszonymi łbami, bez przekonania pokonywały niewielkie zasy, jakby także wiedziały, że opuszczają swoje ojczyście strony. Ludzie siedzieli na wozach, milcząc. Kiedy wreszcie wczesnym popołudniem na prawym skraju szosy ukazała się tablica z nazwą Uruhstadt²⁷, Burchel odetchnął z ulgą. Reszta udawała się do Züllichau. On był prawie w domu. Zatrzymali się tuż przy hotelu „Zu den drei Kronen”. Albert Burchel podziękował współpodróżnym, a Josefowi Paluschke wręczył dwieście marek. Tym razem jednak nikt mu nie mógł pomóc zdjąć z wozu walizki.

Mimo dość dużej aktywności wojska i pewnej nerwowości mieszkańców Unruhstadt, czyli Kargowy, miasto funkcjonowało w miarę normalnie. Po wynajęciu pokoju i „zabezpieczeniu” walizki Burchel udał się na pocztę, aby telefonicznie połączyć się z Klenicą.

- *Försterei Kleinitz, Stiller hier*²⁸ - odezwał się głos w słuchawce.

- Mówi Albert Burchel, dzień dobry panu - rzucił krótko Burchel. - Jestem w Kargowie i proszę, żeby pan

zechciał zorganizować kogoś, kto mógłby mnie jeszcze dzisiaj stąd odebrać.

- To chyba tylko saniami, a to we dwa konie, bo drogi są zaśnieżone. Poza tym w pobliżu Kargowy mogą już być powstańcy.

- Proszę pana, jeżeli przyjedziecie od strony Dorothenau²⁹, to z pewnością będzie to bezpieczne. To raczej od strony Karszyna należałoby się spodziewać powstańców, ale to chyba dopiero za parę dni.

- Coś zorganizuję. Gdzie pana można znaleźć, Herr Burchel?

- Zatrzymałem się tymczasem w hotelu „Zu den drei Kronen”. Aha, zabierzcie jakiś kozuch i... strzelbę. Na wszelki wypadek. Przecież będziemy w nocy wracać, a czasy są niespokojne.

Późnym wieczorem siódmego stycznia pod hotel podjechały sanie zaprzężone w dwa silne konie. August Eichler - podleśniczy z Klenicy, był wysokim, silnym mężczyzną, któremu ciężka walizka Burchela nie sprawiała kłopotów. Na saniach pod kozuchem leżała nabita dwururka.

- Cieszę się, że pana widzę, August - zwrócił się ucieszony Burchel do Eichlera, z którym bardzo dobrze się znali.

- Miło mi, Herr Burchel, i myśmy tu się już o pana zaczęli martwić, zwłaszcza że to powstanie wybuchło.

Burchel milczał. Ruszyli. Dopiero po przejechaniu mostu na Obrzycy napięcie puściło. Opatuleni w kozuchy, usiłowali wypatrywać drogi. August Eichler trzymał lejce w jednej ręce, drugą włożył do kieszeni. Podobnie Burchel wsadził ręce odziane w skórzane rękawice do kieszeni płaszcza. Wypoczęte konie jakby same rażno poruszały sanie w kierunku Dorothenau. Przysiółek już spał. Tu i ówdzie zaszczeakał pies, przypominając, że gdzieś tu śpią ich ludzie. Spokojnie minęli mostek na kanale. W oddali majaczyła

ciemna ściana klenickich lasów. Nagle na szosę wyskoczyły dwie ciemne postacie. Jedna z nich w ręku miała karabin.

- *Halt! Hände hoch*³⁰ - rzucił jeden z nich ostrym tonem.

Powstańcy - pomyślał Burchel. Ale akcent jakiś dziwny, nietutejszy.

- *Los, los! Hände hoch* - powtórzył groźnie napastnik.

- *Ja, ja, immer mit der Ruhe* - wydukał Eichler i nagle wyciągając szybko ręce z kieszeni, sypnął czymś w kierunku napastników.

Kiedy ci zdezorientowani kichając i smarkając zaczęli przecierać oczy, Burchel skierował w ich stronę strzelbę. Broń napastników nawet wypaliła - pewnie przypadkowo. Natomiast Burchel celowo strzelił stojącym głupio, obok siebie, tuż przy stopach. Obaj śmiesznie podskoczyli.

- No, a teraz odrzuć broń - krzyknął Burchel, a do Augusta rzekł: - Zwiąż ich. Do rana ich przetrzymamy w piwnicy, a jutro oddamy policji.

Rzucili ich z tyłu na sanie i żeby natychmiast nie zamarli, pozwolili im się trochę wtulić w słomę. Eichler poganiał konie. Może jeszcze jacyś tu się czają? - pomyślał, a Burchel najbliższego z tych dwóch zapytał po polsku:

- Skąd jesteście?

Popatrzyli na niego tępym wzrokiem, nic nie rozumiejąc. Spytał tedy po niemiecku. Milczeli. Ostre poszturchiwanie lufą dwururki pomogło.

- *Wir sind vom Heimatschutz Trebschen*³¹ - wybąkał jeden z nich.

- A jak się nazywa wasz komendant? - zapytał z nagłą Eichler.

- No... noo - dukał tamten w odpowiedzi.

Kiedy Burchel spojrział na drugiego, ten spłoszonym wzrokiem spojrział na towarzysza i niepewnie rzucił:

- To Hans Wagner.

- No to, bratku, żeś się sypnął - wykrzyknął tryumfująco August Eichler. - Ten komendant nazywa się Rentz.

Przypadkowo znam go z widzenia.

Wszyscy zamilki. Minęli tablicę z napisem „Kleinitz”. Burchel i Eichler odetchnęli z ulgą. Z satysfakcją przyglądali się tym dwu zbójcom.

W pałacu już ich oczekiwano. Eichler wniósł walizkę do Burchelowego mieszkania. A w jadalni czekał na nich nakryty stół i butelka przedniego czerwonego wina, ze starych zapasów.

„Jutro pomyślę, gdzie umieszczę Radziwiłłowy skarb. W każdym razie książe Stanisław będzie zadowolony”. Ale w Burchela psychice podróż ta pozostawiła ślad. Zasypiał z mieszanymi uczuciami. „Kim ja właściwie jestem? W Polsce czułem się Polakiem, a tu jestem Niemcem. Może kiedyś po prostu będę Europejczykiem”.

Kwiecień 1920

Śmierć księcia Stanisława i jej skutki

W „Berliner Tageblatt” - berlińskim dzienniku, który docierał także do Klenicy, Burchel znalazł notatkę informującą, że w kwietniu w Polsce na polu walki z bolszewizmem zginął książę Stanisław Wilhelm Radziwiłł, prawowity właściciel majątku i pałacu myśliwskiego w Klenicy na Dolnym Śląsku.

Tego wieczoru zadumany Burchel długo siedział w swoim fotelu z ową gazetą na kolanach. Wspominał Stanisława. Smutek wdzierał się w jego myśli. Tyle wspomnień, takie plany na przyszłość, no i te złote monety. A tu śmierć na polu walki. Śmierć to śmierć. Dla Stanisława to już nie ma znaczenia, ale jak to dalej będzie z pałacem, dobrami i tym skarbem? A co będzie ze mną?

Kilka dni później nadszedł oficjalny list od księcia Hermana von Hatzfeldt, urzędowego zarządcy Radziwiłłowskich dóbr w Klenicy informujący o testamentarnej spadkobierczyni. Hatzfeldt prosił w nim Burchela o przybycie do Trachenbergu³² w celu omówienia spraw związanych z przyszłością. W tym samym czasie do klenickiego pałacu nadeszła paczka. Nie było na niej imiennego odbiorcy. Adresatem był *Verwaltung*, czyli zarząd. Sekretarka po zajrzeniu do kartonu stwierdziła, że znajdują się w niej dawne odznaczenia, drobiazgi i jakieś polskie papiery, zatem w dobrej wierze wstawiła go do pałacowego archiwum, zupełnie o nim zapominając.

Na zamku w Trachenbergu Hatzfeldt poinformował go tym, że Anna, córka księcia Stanisława, jako nieletnia spadkobierczyni będzie tymczasem reprezentowana przez matkę księżną Dolores Konstancję Radziwiłł.

- W tej sytuacji wkrótce skończy się moja rola jako oficjalnego zarządcy dóbr klenickich - powiedział

Burchelowi księżę Hatzfeldt. – Tymczasem będziemy czekać na uprawomocnienie się testamentu.

Herman Hatzfeldt zamyślił się, jakby rozważając, o czym chciałby jeszcze z Burchelem porozmawiać. W końcu podjął przerwana rozmowę:

– Nie mam zwyczaju zajmować się plotkami, ale w tej konkretnej sytuacji chciałbym podzielić się z panem informacją, że księżna Dolores nie zamierza zbyt długo być osobą samotną. Doszły mnie słuchy, że kręci się koło niej Leon Konstanty Radziwiłł, a i ona mu sprzyja.

– To znaczy, że Klenica dalej pozostanie w Radziwiłłowskich rękach – oznajmił radośnie Burchel.

– Daj Boże – mruknął księżę Hatzfeldt, spojrzawszy na swojego gościa wzrokiem pełnym wątpliwości.

– Kto teraz będzie zarządzał majątkiem i pałacem? – dociekał Burchel.

– Z mojej wstępnej rozmowy z księżną Dolores wynika, że moja rola się skończyła. Odtąd to pan będzie formalnym plenipotentem Radziwiłłów na Klenicę, zwłaszcza że w testamencie jest pan wymieniony jako dożywotnik w klenickim pałacu. A ponadto pan i tak się tym przez kilka lat zajmował. Stosowne pełnomocnictwo wkrótce pan otrzyma.

Część III

12 lutego 1947, środa

Strzelanina w Klenicy

Późnym wieczorem w środę 12 lutego 1947 roku mieszkańcy wschodniej strony wsi usłyszeli strzelaninę. Wszystko wskazywało na to, że to gdzieś w lesie, tuż za nadleśnictwem. Czasy były niespokojne, a w radiu i w „Głosie Wielkopolskim” krzyczano o bandach podziemnego oporu i możliwych akcjach *Werwolfu*. To, dlatego nikt w nocy nie odważył się sprawdzić, co to była za strzelanina. Rano wieś obstawiona była żołnierzami KBW³³, a na leśnej drodze w okolicy zdarzenia stały pojazdy wojskowe i limuzyna firmy citroen. Nieco bliżej wsi czekało kilka łazików z wielkimi literami MO na drzwiach. Wiadomość, że zastrzelono „bandytę” w polskim mundurze z orzełkiem w koronie, mimo sporej aktywności UB, wyciekła jednak do mieszkańców. Oczywiście tymczasem nikt niczego więcej o zastrzelonym nie wiedział.

Od 1944 roku zamiast dawnej policji działała w Polsce Milicja Obywatelska. Większość tak zwanych milicjantów pochodziła z „łapanki”. I tak jak w wojsku, a zwłaszcza w KBW obowiązywała zasada „nie matura, lecz chęć szczerą robi z ciebie oficera”. Dlatego poziom skuteczności milicji w owym czasie nie był zbyt wysoki. Są jednak sprawy, gdzie potrzebna jest wiedza i doświadczenie policyjne. Tymczasem, acz niechętnie, sięgnięto do przedwojennych pracowników Policji Państwowej, zwłaszcza w pionie kryminalnym. Warunkiem była czysta kartoteka, jeśli chodzi o współpracę z okupantem.

Z początkiem 1947 roku sierżant Alfons Zieja został z Kalisza przeniesiony do nowo utworzonej komendy powiatowej MO w Zielonej Górze. Od razu zyskał przydomek „Kufel”, gdyż w odróżnieniu od kolegów zza Buga, zamiast uczciwej „sety” wołał kufel piwa. Zieja był

niezwykle przystojnym, trzydziestokilkuletnim mężczyzną. Zaznaczająca się już łysinka zwiastowała, że za kilka lat na jego głowie będzie „więcej miejsca do całowania” – jak to niekiedy mówił sam. Był dobrze zbudowany, o szczerzej twarzy. Szeroko rozstawione ciemne oczy, wyraźne proste brwi i nieco wysunięty podbródek podkreślały męskość. Kufel wstąpił do policji jakieś trzy lata przed wojną. We wrześniu 1939 zmobilizowany jako chorąży walczył w bitwie nad Bzurą, gdzie dostał się do niewoli. W obozie jenieckim przesiedział aż do wyzwolenia. Udoskonalił tam do perfekcji język niemiecki. Wrócił do rodzinnego Kalisza, gdzie po weryfikacji przyjęto go sekcji kryminalnej Milicji Obywatelskiej.

Pierwszym zadaniem, jakie Kufel otrzymał od pełniącego obowiązki komendanta powiatowego, było przejrzanie kilku kartonów papierzysk pozostałych po policji niemieckiej.

– Obywatelu sierżancie! Wiadomo mi, że dobrze znacie niemiecki, zatem proszę przejrzeć to, co pozostało po niemieckiej policji w stojących w piwnicy kartonach. – Po chwili namysłu dodał: – Dla nas to wprawdzie makulatura, ale może ujawni nam się kolejny hitlerowski przestępca albo inne bezeceństwa szkopów.

– Tak jest, panie poruczniku – odpowiedział służbowo, acz nieregulaminowo sierżant Alfons Zieja.

Drzwi do składziku w piwnicy znajdowały się tuż obok pustej tego dnia celi. W zamku tkwił klucz, z którego dawno już użytku nie robiono. Wszedł tam. Pod jedną ze ścian, naprzeciw regału z różnymi rupieciami stało kilka dużych kartonów. Pewnie w pośpiechu nie zdołali ich zabrać – przeszło Kufłowi przez myśl. Kartony pozostały nienaruszone, dlatego że zadbali o to *Obmani* Laubego³⁴ w tym swoim wrodzonym pruskim zamiłowaniu do ładu. Na każdym kartonie widniał faszystowski orzeł ze swastyką w szponach oraz napis ORDNUGSPOLIZEI. Na dwóch było nadto ręcznie dopisane słowo *Kripostelle*, na trzech innych

Sicherheitsdienst, a na piątym *Verkehrspolizei*. Z przeglądania papierzysk z tego ostatniego kartonu zrezygnował od razu. Po co nam archiwum wykroczeń drogowych? – stwierdził. Dla niego interesujące były te dwa pierwsze kartony z dokumentacją sekcji kryminalnej. Pozostałe postanowił przejrzeć w dalszej kolejności. W obydwu pierwszych ułożone były segregatory i wiązane teczki ze stosownymi opisami. Stosiki podzielone były na sprawy „załatwione” i „otwarte”, czyli niezakończone. Pomędzy aktami w tych kartonach znajdowały się również ręcznie opisane torby papierowe: przypadek, numer akt, prowadzący i tak dalej, w których znajdowały się przedmioty związane ze sprawami z teczek.

Na jednej z teczek widniało ręcznie napisane: „Albert Burchel”. Burchel, Burchel? – zastanawiał się Zieja. Gdzieś to już słyszałem. I nagle mu zaświtało. To przecież ojciec i wuj Jasiu bez przerwy opowiadali o tym specjalnym wysłanniku naczelnika Piłsudskiego, którego ojciec zawiózł do Jarocina podczas powstania. On się chyba także nazywał Burchel, ponoć był nawet rodem z Kalisza. Zabrał tę teczkę do biura. Po jej dokładnym obejrzeniu stwierdził, że sprawę prowadził *Revieroberleutnant* Leo Hundt. Teczka zawierała wstępny raport z dochodzenia w sprawie domniemanego morderstwa Alberta Burchela, dokumentację daktyloskopijną i fotograficzną i... żółtą kartkę z nagłówkiem *Dienstnotitz*. Jej treść informowała, że 26 czerwca 1942 roku sprawę przejął

Hauptsturmführer SS Rudolf Seppel z *Staatspolizeileitstelle Liegnitz*. Z notatki napisanej trudnym dla Kufla pismem gotyckim wynikało, iż Albert Burchel urodzony w 1877 roku w Kaliszu miał żydowską matkę, a jego prawdziwe nazwisko brzmiało Burchelski. Podpisany SS-man w jednym zdaniu napisał także, że Burchelski podejrzany jest o szpiegostwo i znajduje się na liście osób policyjnie poszukiwanych.

Teraz Kufel już nie miał żadnych wątpliwości. To ten sam Burchel, o którym rozprawiali jego ojciec i wujek. Wiedział też, że w Kaliszu były kiedyś składy „Burchelski i S-ka”. Trzeba z tym do szefa – pomyślał i ruszył do komendanta. Drzwi do jego pokoju były otwarte. W sekretariacie nikogo nie było. A z gabinetu szefa dochodziło:

- ...no tak! Ten zastrzelony w Klenicy bandyta to syn wysokiego sanacyjnego oficera Józefa Lubicz-Stasińskiego.

Kufel przystanął.

- Bandyta? – zapytał głos porucznika.

- Co to, wątpicie w to, towarzyszu komendancie? – odezwał się znowu ten drugi

- Nie, nie, skądże – zapewniał głos porucznika. – To WiN aż tu dotarł?

- Ze śladów wynika, że był sam. Nie wiem tylko, czego tu szukał.

Kufel zdecydował się wejść. Rozmowę natychmiast przerwano. Komendant siedział za swoim biurkiem, na którym leżało kilka zdjęć. Na foteliku przed nim siedział kapitan KBW. Ubek – przeszło Kufłowi przez myśl. Stanął na baczność i zasalutował:

- Przepraszam, obywatelu poruczniku, mam tu ciekawą sprawę.

- Nie teraz, sierżancie. Proszę wyjść i zamknąć drzwi.

- Tak jest – wykrzyczał regulaminowo i opuścił pomieszczenie.

Kilka dni później Kufel został wezwany do komendanta. Będzie pewnie oczekiwał sprawozdania z przeglądu tych kartonów w piwnicy – pomyślał. Ale porucznik nawet o tym nie wspomniał.

- Sierżancie Zieja – rzekł, patrząc badawczo na Kufla. – Podczas niewoli byliście w Oflagu w Osterode; tak napisaliście w ankiecie personalnej.

- Zgadza się. Najpierw w Osterode am Harz, a następnie w Prenzlau.

- Znaliście tam wszystkich osadzonych oficerów?

- Osobiście nie. Razem było nas tam bez mała dwa tysiące. Ja byłem prawie nikim przy oficerach wyższych stopni. Ale z widzenia chyba wielu znałem - odparł lekko zdziwiony Kufel.

- A znaliście może pułkownika Lubicza-Stasińskiego? - dochodził komendant.

- Wyższych oficerów było niewielu. Z widzenia się ich znało. Chyba nawet sobie tego pułkownika przypominam.

- To dobrze. Może on sobie was też przypomni - rzucił komendant zniechęcony.

Kufel popatrzył zdziwiony na szefa. Przez głowę przemknęło mu: co on kombinuje? Po chwili porucznik kontynuował:

- Mamy dla was pewne delikatne zadanie do wykonania. Będziecie mieli okazję udowodnić swoje pozytywne nastawienie do naszej ludowej ojczyzny.

- Czy macie jakieś wątpliwości, panie komendancie? - zareagował sierżant Zieja.

- Gdybyśmy mieli, to nie rozmawiałbym z wami teraz. Otóż chcielibyśmy, żeby nawiązał pan kontakt z tym Lubicz-Stasińskim. - Porucznik przez chwilę milczał, a potem rzekł: - Ten zastrzelony bandyta w Klenicy to najprawdopodobniej syn pułkownika. My byśmy chcieli wiedzieć, co ojciec wiedział o synu. Czy znał jego kontakty? Czy sam jest włączony w działalność WiN?

- I to ja miałbym się od niego dowiedzieć? A gdzie ja tego człowieka znajdę?

- Dostaniecie jego warszawski adres. Parę dni temu wypuszczono go z karno-śledczego więzienia „Toledo” w Warszawie. Pewnie jeszcze nie wie o śmierci syna, a wy byście mu tę wiadomość przekazali.

- To po to miałbym pojechać do Warszawy? - zwątpił nieszczerze Kufel.

- Nie. Oczywiście nie. Będzie jednak okazja, by z tym człowiekiem szczerze porozmawiać i może dowiedzieć się czegoś więcej o tej ich organizacji. On będzie psychicznie

osłabiony stratą syna. Ktoś z oflagu będzie jak znalazł, aby wysłuchać jego ewentualnych żali.

- Miałbym się tam udać *undercover*?

Porucznik spojrział na niego, nie rozumiejąc.

- No, czy w tajnej misji? - dodał wyjaśniająco.

- Nie. Będziecie nadal Alfonsem Zieją, sierżantem MO, ale musicie pozyskać jego zaufanie i co nieco z niego wycisnąć. To wszystko. Przygotujcie się do wyjazdu.

17 lutego 1947, poniedziałek

Wizyta u Lubicza-Stasińskiego

Podupadłą willę na Wilczej znalazł łatwo. Tak wiele ich w Warszawie nie zostało. O dawnej świetności tego secesyjnego budynku świadczyły stylowo ukształtowane okna na parterze i dwie kolumny podtrzymujące balkon nad małym ganeczkiem, na końcu wejściowych schodów. Od razu też rzuciło się w oczy, że zamieszkuje w niej więcej lokatorów, niżby to wynikało z jej pierwotnego przeznaczenia. Na pierwszym piętrze odnalazł drzwi z tabliczką „Lubicz-Stasińscy”. Dzwonka przy drzwiach nie było. Zapukał.

- Kim pan jest? Czego pan chce? - odezwał się wymęczonym i sepleniącym głosem starszy pan.

- Poszukuję pana pułkownika Lubicz-Stasińskiego. Mam wiadomość dla niego. Czy to może pan?

- To ja. Kim pan jest? - Po przyjrzeniu się przybyszowi i stwierdzeniu, że to milicjant, mruknął: - Dajcie mi wreszcie spokój.

- Jestem dawnym chorążym. Nazywam się Alfons Zieja. Znam pana pułkownika z oflagu w Osterode. Teraz jestem milicjantem. Mam dla pana wiadomość i chciałbym z panem porozmawiać.

- Z Osterode, powiada pan. Zna mnie pan z Oflagu. - Po chwili odsunął łańcuch i otworzył drzwi: - Proszę, niech wejdzie - wydukał wreszcie, przyglądając się bardzo wnikliwie przybyszowi.

Weszli do pokoju przepelnionego meblami, które nawzajem sobie przeszkadzały i zapewne pamiętały lepsze czasy. Przy małym stoliku stały dwa fotele.

- Proszę usiąść - rzekł pułkownik, wskazując jeden z nich.

Otworzyły się drzwi z drugiego pokoju i weszła zapłakana dostojna starsza pani. Nieufnie popatrzyła na Kufla i rzekła do pułkownika:

- Otwórz okno, Józefie, pełno tu dymu. - Po czym zabrała ze stolika popielniczkę pełną niedopałków. - Czy podać herbatę?

- Tak. Bardzo proszę - odparł pułkownik i zwrócił się do sierżanta: - Herbaty się pan napije?

- Tak, oczywiście. Dziękuję.

Przyglądali się sobie z zaciekawieniem. Kufel zauważył brakującą dwójkę w ustach gospodarza, siniaki i zapuchniętą twarz. A ten lustrował sierżanta, jakby usiłował go sobie przypomnieć z oflagu. Widać nie ufał Kufłowi do końca. Zapaliwszy połówkę papierosa osadzonego w bursztynowej fifice, zaczął przybysza wypytywać o obozowe szczegóły. „Egzamin” wypadł pewnie nieźle, gdyż w końcu przyjaźnie rzekł:

- Co mi pan chce powiedzieć, panie chorąży?

- Polecono mi przekazać panu smutną wiadomość, że w powiecie zielonogórskim, we wsi Klenica, zastrzelony został oficer WiN, którego zidentyfikowano jako pańskiego syna Kazimierza.

Pułkownik popatrzył na niego smutnym wzrokiem i powiedział:

- Wiem, wiemy to już - wskazał na żonę, wracającą z tacką, na której stały czysta popielniczka, dwie szklanki herbaty i cukiernica.

- Tak, tylko jeszcze mi coś polecono, panie pułkowniku. - Kufel poczekał aż kobieta pozostawi ich samych. - Kazano mi wyciągnąć od pana jak najwięcej informacji dotyczących WiN. Ja tego oczywiście nie zrobię, ponieważ u nich jestem nie z przekonania, lecz z powodów zawodowych. Przed wojną byłem w sekcji kryminalnej policji. Zaoferowano mi tę pracę, po tak zwanej weryfikacji. I ja chcę ją wykonywać.

- Zgodził się pan współpracować z komunistami - stwierdził pułkownik, ale po chwili dodał. - No cóż, może to

nawet dobrze, że fachowiec będzie zwalczał kryminalistów, których znowu w tym kraju jest sporo.

- Panie pułkowniku, ja właśnie w tym duchu chciałem z panem porozmawiać. Niejako prywatnie - dodał jeszcze.

Pułkownik popatrzył na niego z zaciekawieniem.

- Wie pan może, czemu pana syn pojawił się właśnie w Klenicy? Tam nigdy nie widziano żołnierzy WiN. Moim zdaniem brakuje tam również jakichkolwiek obiektów o znaczeniu wojskowym czy gospodarczym.

- Gdzie to było? Proszę jeszcze raz podać mi nazwę tej miejscowości.

- Klenica, panie pułkowniku. Klenica, dawnej Kleinitz.

- Hm! Czy tam jest jakiś pałac?

- Tak, oczywiście. W Klenicy znajduje się dawny pałac myśliwski Radziwiłłów.

Pułkownik zamyslił się. Włożył do fifki następną połówkę papierosa. Zapalniczką z monogramem wziętą ze stołu zapalił go. Zaciągnął się głęboko, poważnie popatrzył na Kufla i rzekł:

- Książę Stanisław Radziwiłł był moim przyjacielem. Opowiadał mi o tym pałacu. Obiecaliśmy sobie, że po wojnie pojedziemy tam na polowanie. Niestety nie dożył. Zginął, walcząc z bolszewikami. Też tam byłem. To, co po nim zostało, włożyłem do kartonu i wysłałem właśnie do Klenicy. Pamiętam, że nie mogłem sobie przypomnieć nazwiska zarządcy, którego w 1918 w Warszawie osobiście poznałem. Mam nadzieję, że ten karton doszedł. Zaadresowałem go, o ile wiem: „Jagdschloß Radziwill, Verwaltung, Kleinitz, krs. Grünberg, Schlesien”³⁵. Do Nieświeża tego już wysłać nie mogłem. Tam już byli czerwoni.

- Pamięta pan, co pan włożył do tego kartonu?

- Rzeczy osobiste, pruskie i rosyjskie patenty oficerskie, pudełka z odznaczeniami, album ze zdjęciami, jakąś teczkę

z plikiem dokumentów na herbowym papierze. Niewiele tego było.

- Sam pan to wkładał do kartonu?

- Tak. Paczkę wysyłał mój ordynans.

- A syn, był przy tym?

- Nie, przecież on miał dopiero dziesięć lat, a to nie było w Warszawie, ale na Ukrainie.

- To nie mógł czegoś wiedzieć o Klenicy.

- Mógł, bo w domu, w gronie rodziny o tym rozmawialiśmy. Opowiadałem o tej paczce. Księcia Stanisława mój syn zresztą także znał. Pewnie przeżył jego śmierć. O klenickim pałacu zapewne również słyszał.

- A co z warszawskim mieszkaniem księcia? Kto je przejął?

- Nie wiem. Kiedy wróciłem z frontu, w tym mieszkaniu mieszkał już ktoś inny. Być może za wiedzą i zgodą rodziny.

Obaj zamilkli. Kufel dopijał herbatę. Pułkownik szykował sobie kolejnego papierosa.

- Panie pułkowniku, teraz prosiłbym pana o pomoc, jeśli chodzi o moją oficjalną przyczynę rozmowy z panem. Opowiem im jakieś bajeczki, ale muszą być prawdopodobne.

- Niech im pan powie, że nigdy nie byłem w to włączony. Z synem kontaktów nie mieliśmy, chociaż wiedziałem, że wojnę przeżył. Do nas po prostu jeszcze z wojny nie wrócił. Owszem, w 1945 odnaleźli mnie ludzie Niepokólczyckiego³⁶, ale odradzałem im walkę zbrojną. Mimo to aresztowało mnie UB, sądząc, że jestem w kierownictwie tej organizacji. Wypuścili mnie parę dni temu, jak pan widzi. Chyba dowiedzieli się od innych, wtedy aresztowanych, że nie miałem z nimi nic wspólnego.

- To jest przekonujące - powiedział sierżant Alfons Zieja.

- To jest prawda - rzekł pułkownik, patrząc w okno.

Kufel pożegnał się z pułkownikiem. Życzyli sobie wszystkiego dobrego. W drodze do tramwaju rozmyślał: to

z WiN brzmi prawdopodobnie, ale nie bardzo wierzę, że Lubicz-Stasiński nie zapoznał się z materiałami w znajdującymi się w teczce po księciu. A tam była zapewne jakaś informacja wzbudzająca zainteresowanie Stasińskich. To by mogło wytłumaczyć obecność Kazimierza w tych stronach. Albo ten jako dziecko zapamiętał pewne szczegóły, lub po wojnie miał jednak kontakt z ojcem. Nie można również wykluczyć, że Kazimierz szukał tymczasowego schronienia w klenickim pałacu, znanym mu z opowiadań ojca.

Część IV

Początek 1946

Rudolf Seppel w Spezlagu nr 2³⁷

Rudolf Seppel, pod koniec wojny awansowany do stopnia SS-Sturmbannführera, jeszcze w kwietniu 1945 zrzucił mundur i odtąd ukrywał się w gospodarstwie rolnym swojego szwagra. Z początkiem 1946 roku za namową rodziny sam zgłosił się do sowieckiej komendantury miasta Chemnitz. Przedstawił się jako były major policji z Liegnitz. Oczywiście został natychmiast aresztowany i przesłany do *Spezlagu* w Buchenwaldzie. Szybko wyszło na jaw, że w III Rzeszy naprawdę występował jako Sturmbannführer SS. Sprawilo to, że przesłuchania prowadzone przez „specjalistów” z NKWD były szczególnie intensywne tak psychicznie, jak też fizycznie.

Nie wiadomo, czy ze strachu, czy też z wyrachowania podczas przesłuchań przez NKWD wykazał daleko idącą chęć do szerokiej współpracy z komunistami. A ci obiecywali sobie, że jego kwalifikacje i wiedza dotycząca tajnej policji Himmlera z jednej strony pozwoli ujawnić innych faszystów, którzy ze strefy radzieckiej jeszcze nie uciekli, a z drugiej strony umożliwi wykorzystanie w przyszłości jego wiedzy do celów ludowej policji i politycznej dywersji. Po zdenazyfikowaniu, jak to się wtedy pięknie mówiło, skierowano go do nowo powstałej DVP (*Deutsche Volkspolizei*) do komisariatu 5 (K5), będącego poprzednikiem dedeerowskiej bezpieki, czyli osławionej STASI – pod skrzydła jej przyszłego szefa Ericha Mielke³⁸.

To właśnie podczas tych licznych przesłuchań w enkawudowskim obozie przypomniał sobie parę epizodów mających związek z Grünberg. Tam zeznawał szczerze, ale enkawudzistom nie wszystko powiedział, a oni o więcej nie pytali. Przemilczał na przykład kontakt z komendą policji w Grünberg w 1942. Ale przejęta od tamtego inspektora

sprawa tego pół-Żyda rzeczywiście nadal zaprzętała mu uwagę. Nie mógł sobie przypomnieć jego nazwiska, ale pamiętał „nigdzie go nie znaleźliśmy”. Według Hundta – inspektora zielonogórskiej policji, został on zamordowany. Może rzeczywiście inspektor miał rację i było to morderstwo. Myśmy nie mieli z tym nic wspólnego. Ale dlaczego go ktoś zamordował? Motywów może być wiele. Pospolite morderstwa najczęściej popełniane są z powodu kobiet, złota, ze strachu i podczas walki o władzę. W raporcie Hundta nic nie było o kobietach. Do władzy domniemana ofiara także nie dążyła. Był przecież emerytem. Zatem zostaje złoto. Oczywiście w szerokim tego słowa znaczeniu. Ktoś go po prostu ograbił. Ale zaraz? Inspektor w raporcie nie wspominał, jakoby coś zginęło. To może umarł, bo wiedział coś o kimś lub o czymś? Czy ten Hundt rzeczywiście wszystko opisał w swoim sprawozdaniu? Przypomniał sobie, że widział u niego czarny policyjny notatnik. „Zdaje się, że wtedy leżał na biurku. Pewnie zabrał go ze sobą, kiedy policja się ewakuowała. Gdzie jest teraz Leo Hundt? Może by się z nim skontaktować i dowiedzieć się więcej”.

Początek 1947

Leo Hundt znowu w policji

Po ewakuacji z Grünberg tamtejsi policjanci zostali wcieleni do jednostek broniących przepraw przez Odrę. Niczego nie obronili. Armia Czerwona napierała, a oni się cofali. Ciągłe się cofali. Aż w Berlinie zakończyła się dla nich wojna. Hundt stał się cywilem i jako nienależącemu w przeszłości do partii faszystowskiej, tymczasem udało mu się, zachować wolność. Pracował jako konduktor w S-bahnie³⁹. W sowieckiej strefie sytuacja stawała się jednak z dnia na dzień bardziej niebezpieczna. Dlatego przeprowadził się do Wilmersdorf, w brytyjskiej strefie Berlina Zachodniego. Tak jak niektórzy inni jego koledzy, zgłosił się do władz okupacyjnych w nadziei na ponowne podjęcie pracy w policji. W 1947, po konsekwentnie przeprowadzonej denazyfikacji, przyjęli go, bo był czysty. Przyznano mu stopień komisarza policji kryminalnej i skierowano do pracy w nowo powstałej komórce kryminalnej w hanowerskiej dyrekcji policji. Wkrótce na własną prośbę przeniesiono go do Verden, do nowo tworzonej powiatowej komórki kryminalnej.

Hundt często rozmyślał o swojej długoletniej pracy w Grünberg. Zwłaszcza ten ostatni przypadek nierzadko powracał w myślach. Był pewien, że ten zaginiony emeryt, z myśliwskiego pałacu w Klenicy... nazwiska nie pamiętał, padł ofiarą zbrodni. Ten zarozumiały patałach z SS z pewnością sprawy nie rozwiązał. A morderca uszedł karze. Gdzieś musi jeszcze być ten mój notes z tamtych czasów, to przynajmniej nazwisko sobie przypomnę, obiecał sobie.

8 października 1953, sobota

Włamanie do mieszkania komisarza

Tego w Verden jeszcze nie było. Włamanie do mieszkania komisarza policji?! W tę sobotę Hundt miał dyżur. Kiedy późnym wieczorem wrócił do swojego mieszkania, zastał tam niemiłosierny bałagan. Zawartość biurka leżała na podłodze, na półkach nie stała już żadna książka. Nie oszczędzono też tych kilku obrazków z rodzinnego Grünbergu. Leżały potłuczone na podłodze. Ulubiona reprodukcja van Gogha⁴⁰ została zniszczona. Pewnie szukał pod nią sejfu – pomyślał Hundt. Nawet lodówkę przeszukano. Komisarz był raczej opanowanym człowiekiem, ale to, co zobaczył, wywołało w nim gniew, a ciśnienie podwyższyło do maksimum. „Czego, do cholery, szukał u mnie ten włamywacz?”

Hundt był profesjonalistą, dlatego wkrótce się opanował i zaczął działać jak policjant. Słuchawkę telefonu uchwycił przez chusteczkę.

- Hundt przy aparacie. Przyjeżdżajcie natychmiast do włamania – powiedział do słuchawki.

- Dokąd, panie komisarzu? – zapytał dyżurny.

- Do mnie, do mieszkania.

- Do pana? – Głos w słuchawce zamilkł. – Do pana się ktoś włamał? – odezwał się lekko ubawiony dyżurny.

- Tak, do mnie. Czekam – rzucił sucho Hundt i odłożył słuchawkę.

Komisarz Hundt założył lateksowe rękawiczki i do przyjazdu technika kryminalnego sprawdzał, co padło łupem włamywacza. Tymczasem nie zauważył, żeby cokolwiek zginęło. Albumy z rzadkimi okazami znaczków leżały między książkami na podłodze. Hundt kartkując je pobieżnie, nie zauważył jakichkolwiek braków. Także wartościowy złoty chronometr nadal znajdował się

w drewnianym ozdobnym pudełeczku. Siedemset marek w saszetce było nietknięte. Dokumenty i pamiątki z wiązanej teczki leżały rozwalone na biurku, ale na pierwszy rzut oka niczego nie brakowało. Czego, u licha, szukał ten włamywacz? – zastanawiał się Hundt.

Kilkanaście minut po telefonie komisarza technik Josef Hagelmayer dokumentował ślady, a Ulrich Wittig – współpracownik Hundta, sporządzał protokół. Postępowali jak przy każdym innym włamaniu. Inaczej niż zwykle dochodzenia nie podsumowywano na komisariacie, ale w domu u komisarza.

- Dokładnie wszystko zbadałem. Niestety nie znalazłem żadnych śladów. To było absolutnie mistrzowskie włamanie.

- Przesztyca zawsze pozostawia jakiś ślad. Trzeba go tylko znaleźć – odezwał się rozeźlony komisarz. – Jak wszedł do mieszkania?

- No właśnie, jak? Właściwie włamania jako takiego nie było. Czy pozostawił pan drzwi niezamknięte?

- Zawsze zatrzaszukuję, a potem zamykam kluczem. Tak i dzisiaj, kiedy wychodziłem do pracy – odparł komisarz, wskazując klucze na łańcuszku przyczepionym do szlufki. – Klucz od mieszkania i kluczyk do skrzynki na listy zawsze mam przy sobie.

- Sprawdzalem zamek u drzwi. To bębenkowy zamek typu Yale. Dobry fachowiec potrzebuje dwadzieścia sekund, aby go otworzyć – relacjonował Wittig.

- Mikroskopowo można wykryć oznaki manipulowania, ale wiemy już, że włamywacz wszedł przez drzwi. Innych śladów brak. Na oknach nic. Gdyby pan przynajmniej miał zakurzoną podłogę, może znaleźlibyśmy odciski obuwia tego włamywacza – odezwał się rezolutnie Hagelmayer.

- No właśnie, wczoraj – komisarz przerwał i popatrzył na zegar – to znaczy przedwczoraj, w piątek odkurzałem, bo w sobotę miałem służbę.

- I rzeczywiście nic panu nie zginęło? – upewniał się Wittig.

- Tymczasem nie stwierdziłem żadnych braków. Przy porządkowaniu tego bałaganu jeszcze raz to sprawdzę - odparł Hundt.

Kiedy koledzy poszli, komisarz siedział prawie do rana, usiłując dojść do tego, czego włamywacz szukał. Stale powracała myśl, że musiało to mieć związek z przeszłością, tą zielonogórką. Rano przed wyjściem do pracy poszedł na strych, otworzył swój boks, zdjął z wielkiej skrzyni stary koc. Otworzył skrzynię i wyjął z niej grubą zawiązywaną teczkę z napisem „Grünberg”, wsunął ją do skórzanej teczki i zabrał do biura. Tam włożył ją do służbowej pancерnej szafy.

10 października 1953, wtorek

W budynku Stasi w Karl-Marx-Stadt

Do drzwi pokoju trzysta dwanaście z tabliczką „Mjr. Rudolf Seppel” zapukał osobnik w mundurze porucznika STASI. Kiedy usłyszał *Herein!*⁴¹, wszedł i przed majorem, siedzącym za biurkiem z trzema telefonami, trzasnął obcasami. Major wskazując na wolne krzesło, zadał porucznikowi krótkie pytanie:

- Jest notes?

- Nie, towarzyszu majorze. Nasz najlepszy agent przeszukał mieszkanie tego Hundta i niczego nie znalazł.

- Albo już go nie ma, bo przepadł mu w zawierusze wojennej, albo trzyma go gdzie indziej.

- Tylko gdzie?

- Czy nasz człowiek sprawdzał w piwnicy, w garażu lub na strychu?

- Nie, tam nie sprawdzał.

- No to niech sprawdzi - zdecydowanie stwierdził Seppel.

- Teraz to chyba zbyt ryzykowne. Oni tam nie są durni. Mogą się nas spodziewać.

- Oni są durni. To tylko powiatowi gliniarze. Włamanie do komisarza policji opisała miejscowa prasa. Nasz błąd polegał na tym, że temu Hundtowi nic nie zginęło. Należało coś zabrać, wtedy ślady zmylibyśmy perfekcyjnie.

- Mam pytanie, towarzyszu majorze - pokornie odezwał się porucznik.

- Pytajcie.

- Dlaczego ten notes jest dla nas taki ważny?

- Hundt ma w nim informacje, którymi będziemy mogli niejednemu rewizjoniście zachodnioniemieckiemu zaszkodzić - odpowiedział major, a pomyślał sobie: „Nie musisz wszystkiego wiedzieć, gówniarzu”.

Część V

27 czerwca 1958, czwartek

Na łące za wałem ląduje samolot

Rano przed czwartą był już na Placu Lenina. To tam miał na niego czekać ten narwany fotograf, który za całe pięćset dolarów koniecznie chciał o świcie przelecieć nad Odrą. Chodziło mu o niepowtarzalne ujęcia wschodu słońca nad rzeką. Osobiście go nie znał. Wiedział tylko, że będzie na niego czekał przed pocztą, ubrany w ciemnozieloną kurtkę z kapturem i przewieszoną przez ramię torbą na sprzęt. Gościa naraił mu Tadek, mówiąc, że to jakiś jego daleki krewniak i że to pewny typ. Uprzedził go również, że gość jest dość małomówny.

- Dzień dobry. Przysłał mnie Tadek. Pan czeka na mnie?

- Tak - odburknął gość. Wrzucił torbę na tylnie siedzenie, usiadł na przednim i bez słowa trzasnął drzwiami. Nawet nie podał ręki na powitanie, pozostając w cienkich skórzanych rękawiczkach.

Dziwny typ - pomyślał Podjemski - taki nieuprzejmy mruk. Ale wolno mu. Za takie pieniądze! Da mi je chyba po tym porannym przelocie nad Odrą.

Pyrkając i wyrzucając obłoczki błękitnego dymu, syrenka ruszyła. Odgłos dwutaktu przez chwilę jeszcze błądził po wąskich uliczkach śródmieścia, a charakterystyczny zapach spalin powoli rozpuszczał się w świeżości poranka. Stanisław Podjemski był jednym z nielicznych właścicieli pierwszych syrenek z FSO. Znanemu pilotowi sportowemu, wzorowemu członkowi wojewódzkiego zarządu ZMP i zielonogórskiemu aktywiście przyznano talon na tę syrenkę w nagrodę. Teraz dumny gnał przez miasto do Przylepu, co chwilę spoglądając na swojego pasażera, w oczekiwaniu wyrazów uznania. Ale siedzący obok niego klient przyglądał się autu z lekceważącym zainteresowaniem. Po kilkunastu minutach dojechali do

bramy lotniska. Obudzony hałasem syrenki strażnik odsunął szybkę stróżówki i zaspanym wzrokiem spojrzął na dymiący i terkoczący przed bramą pojazd. Podjemski wysiadł i podszedł do okienka.

- A! Pan Stasiu - rzekł usłużnie strażnik. - Co pana o tej porze sprowadza na lotnisko?

- Dzień dobry, panie Koterski, obudziłem pana? - zapytał sarkastycznie Podjemski strażnika, zasłaniając sobą okienko. - Mogę wjechać?

- No pewnie, panie Stasiu, proszę sobie bramę otworzyć. Ja ją później zamknę. - po czym pochylił się, by założyć buty.

Auto wjechało na lotnisko. Pasażera syrenki strażnik nie zauważył.

Podjemski podjechał do najbliższej stojącego szkolnego kukuruźnika, ustawiając auto równolegle do samolotu. Chociaż gdzieś na wschodzie pojawił się nieśmiały pasek świtu, to strażnik i tak niewiele mógłby zobaczyć. Stary Po-2⁴², nazywany „kukuruźnikiem”, miał dwa fotele umieszczone jeden za drugim - w układzie tandem - i podwójny układ sterowniczy. Tajemniczy gość swoją torbę bez słowa wrzucił na tylne siedzenie. Podszedł do przodu maszyny, jakby byli umówieni, i wprawnie zakręcił śmigłem. Zaskoczony Podjemski obracał korbką induktora. Silnik się zakrztusił, wypluwając kłęb dymu. Stanisław spróbował po raz drugi. Tym razem silnik odpalił. Pasażer zajął miejsce i również założył wiszącą na drążku pilotkę. Po chwili już kołowali. Pilot podwyższył obroty i po niecałych siedemdziesięciu metrach byli w powietrzu. Nagle z tuby Podjemski usłyszał: *ja bieru kontrol*⁴³. W lusterku zobaczył skierowaną na siebie lufę pistoletu. Przez myśl mu strzeliło: „co to, do cholery, Ruski uprowadza samolot?”. Tymczasem maszyna nabierała wysokości. „Gość” skierował ją na wschód. Świtało. Po kilkunastu minutach obroty silnika się zmniejszyły i samolot obniżał lot. Na dole srebrzyła się Odra. Przelatywali nad jakąś miejscowością. Nagle „gość”

ustawił „nos” kukuruźnika na zachód i wyłączył silnik. Najpierw był tylko szum powietrza, potem odgłos kół i szorowanie płozy po łące, na której wylądowali. Porywacz był dobrym pilotem i musiał znać to miejsce. Wylądował pomiędzy wałem przeciwpowodziowym a szerokim rowem. Wystarczyło mu sto metrów łąki.

Bogusia Buczyńskiego obudził jakiś dźwięk. Było tak, jakby w głowie miał terkoczącą maszynę do szycia. Rozejrzył się, ale niczego nie zobaczył. W leżącej obok niego butelce nie było już ani kropli. Język suchy jak wiór odmawiał posłuszeństwa. Ten dziwny dźwięk wprawdzie ustał, ale w głowie nadal łomotał kac, który zapewne sam też miał kaca. Była ciepła noc, a on przespał się na wale. Nie wiedział, jak się tu znalazł. Teraz koniecznie musiał się napić. Choćby wody ze studni. Za wałem były zabudowania. „Na pewno mają tam pompę”. Podniósł się. Stał na chwiejnych nogach. Rozejrzył się ... i nie uwierzył. Kilkadziesiąt metrów od niego na łące stał kukuruźnik. Prawdziwy samolot. Zwidy jakie, czy co? To niemożliwe – podpowiadał mu nietrzeźwy mózg. Ale on przymrużając oczy, widział dwóch ludzi kręcących się koło maszyny. Jeden z nich ostrożnie, jakby się ociągając, wszedł do starego rowu melioracyjnego, jak gdyby czegoś szukał. Ten drugi nerwowo rozglądając się, ponaglił go trzymanym w rękę przedmiotem. Zobaczył go. Boguś pomachał mu. Tamten ostro ruszył w jego kierunku. Zauważył, że w rękę trzyma pistolet. Mocno jeszcze przyćmiony mózg Bogusia, wysłał mu jednak wyraźne sygnały: „uciekać”. Zataczając się, pobiegł do najbliższej posesji. Odchylił blokowaną przez sprężynę furtkę. Wszedł na podwórze. Zamykająca się za nim furtka trzasnęła o słupek. Już po mnie – pomyślał – ten bandzior do mnie strzela. Zaczęły szczekać psy. Schronienie znalazł za chlewikami.

W tym czasie ubłocony Podjemski usiłował wygramolić się z bagnistego rowu melioracyjnego, którego od lat nikt nie udrażniał. Czasami natrafiał na twardsze podłoże, ale

zaraz znowu grzęzł w błotnistym dnie. Kiedy łapiąc się rękami kęp przybrzeżnych traw oraz resztek dawnego słupka ogrodzeniowego już miał wyciągnąć się z zabagnionego rowu, dostrzegł powracające nogi tamtego. Podniósł głowę i... spojrzał wprost w lufę tłumika. Zobaczył błysk i usłyszał trzask wystrzału. Nastąpiła głucha ciemność.

Bandzior zawrócił do samolotu. Kalkulował na chłodno: „Ktoś mnie widział. Już go nie odnajdę. Psy szczekają. Zaraz pojawią się inni ludzie. Trzeba uciekać”. Wskoczył do samolotu. Tym razem kukuruźnik nie odpalił. Nie było nikogo do pokręcenia śmigłem. Nerwowo próbował jeszcze raz i jeszcze raz. A przecież potrzebował tylko siedemdziesięciu metrów... gdyby tylko samolot zechciał wystartować. Dochodziło wpół do piątej. Było coraz widniej. Wskoczył z maszyny, zabierając swoją kurtkę oraz torbę na ramię i szybkim krokiem udał się w kierunku pałacu myśliwskiego. W nieodległym leszczynowym zagajniku odwrócił wewnętrzną stronę kurtki na zewnątrz. Kaptur odczepił i wrzucił go do torby, z której kilkoma chwytami zrobił torbę ręczną. Nie tracąc czasu, rażno ruszył dalej. Parę minut po piątej na stacji w Klenicy wsiadł do pociągu jadącego do Sulechowa.

Upewniwszy się, że tego zbira z pistoletem nie widać, Boguś wyszedł z kryjówki. Był zbyt podniecony, aby dalej kontynuować drzemkę na łonie natury. Jakoś i pić się odechciało. Z całej siły walił rękami w drzwi domu. Otworzyło się okno, a zaspany Zenek wściekle wrzasnął:

- Czego tam po nocy!?! - Gdy zobaczył Bogusia, złagodniał i rzekł: - Idź, Boguś, spać. Nie budź ludzi po nocach.

- Taam na łooące... - wybełkotał Boguś. - Saamolot; ten chuj strzelał do mnie.

- Coś ci się przyśniło, Boguś, idź spać - odpowiedział Zenek i zamknął okno.

Obrażony Boguś wyruszył do domu. Na wał nie śmiał już wracać. A nuż mnie zobaczy i znowu będzie strzelał -

mruknął sam do siebie.

Pół godziny później pierwsi gospodarze wyprowadzali bydło na pastwisko. Szarosrebrzystego kukuruźnika nie sposób było nie zauważyć. Powoli zbierali się koło niego ludzie. Obchodząc samolot, niektórzy łakomie patrzyli na koła maszyny, przymierzając je w myślach do swoich snopowiązałek, do których kół nie sposób było kupić. Nagle ktoś krzyknął:

- Chodźcie szybko, tu leży człowiek. Może jeszcze żyje?!

Podbiegli inni. Ale ciało Podjemskiego, prawie całkowicie zanurzone w wodzie, było nieruchome. W tyle głowy opartej o brzeg rowu zionęła rana z zasychającą już krwią. Wyciągnięta ręka denata zaciśnięta była na pęku trawy.

- Niczego nie ruszać! - odezwał się zdecydowanie sołtys Józef Głab. - Jadę zadzwonić na milicję.

Najszybciej przyjechał Kisielewski - plutonowy MO z Bojadeł. Służbową WFM-kę oparł o pień jednej z topól stojących przy drodze. Pierwszą czynnością było usunięcie z miejsca zdarzenia coraz liczniej gromadzących się mieszkańców Klenicy.

- Opuścić łąkę! - wykrzykiwał, ponaglając i pomagając sobie rękami, jakby przeganiał stado kur. - Już, już.

Minęła niecała godzina i na drodze pomiędzy łąką i wałem stanął samochód strażacki, a na łąkę wjechały ambulans i milicyjny gazik, które stanęły tuż przy samolocie.

Dla podporucznika milicji Zenona Korbiela z komendy powiatowej w Sulechowie była to pierwsza akcja tego rodzaju.

- Za chwilę przyjedzie prokurator i technik kryminalny z Zielonej Góry - rzekł Korbiel do Kisielewskiego. - Niech mi się nikt tu nie kręci, i niczego nie ruszać.

- Tak jest - odpowiedział przepisowo plutonowy.

- Na drogę przy wale nikogo nie wpuszczają - rzekł do plutonowego, po czym zwrócił się do sanitariusza z pogotowia, który badał ciało ofiary: - I co, trup?

- Tak, temu już pomóc nie możemy, tu lekarz już niepotrzebny. Facet jeszcze nie wystygł, ale niewątpliwie nie żyje.

Wkrótce znowu zabrzmiały syreny pojazdów milicyjnych. Na drogę przy wale na sygnałach wjechały dwie warszawy. Z oznakowanego radiowozu wysiadło dwóch mundurowych i jeden cywil z walizką ręku. Z drugiego samochodu kierowca zdjął „koguta” i otworzył tylne drzwi. Wysiadł gość w garniturze. Przygładził włosy, poprawił okulary i ruszył za tamtymi.

Korbiel trzepnął obcasami, przedstawił się i złożył meldunek:

- Podporucznik Korbiel z komendy powiatowej w Sulechowie.

- Kapitan Bargiel i porucznik Łopatowicz, komenda wojewódzka. - Po chwili, wskazując na cywila z walizką, dodał: - To jest nasz technik kryminalny, sierżant Cichoń. - Spostrzegłszy zaś zbliżającego się eleganta w okularach, zwrócił się w jego stronę ze słowami: - Witamy towarzysza prokuratora.

Rewirowy milicjant dostał polecenie przeprowadzić rozpoznanie wśród miejscowych, stojących jeszcze na wale. Ale w zasadzie nikt niczego szczególnego nie widział i nie słyszał. W końcu tylko Zenek Pasek niezdecydowanie zameldował:

- Rano tylko ta pijaczyna, Boguś Buczyński pukał do mnie, krzycząc, że ktoś do niego strzelał. Ale ja żadnego strzału nie słyszałem. Owszem, obudziło mnie trzaśnięcie furtki, kiedy Boguś wchodził do nas na podwórze.

- A samolotu nie słyszeliście, obywatelu Pasek? - dociekał plutonowy.

- Nie. Nie słyszeliśmy. Musiał już tam dłużej stać.

- A ten Boguś to był trzeźwy? Co wam jeszcze opowiadał?

- Coś tam blubrał, pijany jak zwykle. Zrozumiałem tylko, że samolot na łące strzelał do niego. Takie bzdury. Ale ten

samolot pewnie widział.

- Gdzie on?

- Kto?

- No, ten Boguś. Jest tu gdzieś?

- Pewnie leży w tym swoim barłogu i trzeźwieje. Tylko że milicja się z nim nie dogada, bo jak się obudzi, to zara się znowu nachleje.

Tymczasem z rowu wyciągnięto zwłoki i ułożono je na noszach. Z kieszeni denata wyjęto portfel z dokumentami, pęk kluczy i kluczyk samochodowy z breloczkiem.

- Czy wiemy już, kto to jest? - zapytał prokurator.

- Z dowodu wynika, że to Stanisław Podjemski - oznajmił Łopatowicz, trzymając rozmiękczone dowód.

- Co? Towarzysz Podjemski? Ten pilot sportowy i członek zarządu ZMP? - odezwał się prokurator z niedowierzaniem.

- Towarzyszu kapitanie, to sprawa polityczna.

- Też tak myślę, tylko dlaczego przyleciał tu samolotem?
- odparł Bargiel.

- Pewnie morderca chciał uprowadzić samolot, a Podjemski przeszkodził mu w tym i wylądował tu na łące - podpowiedział Korbiel.

- Tak, i dlatego tamten go później zastrzelił - podjął wątek porucznik Łopatowicz.

- Znaleźliście pocisk, łuskę albo jakikolwiek ślad? - zapytał prokurator.

Pocisku pewnie nie znajdziemy. Wlot kuli jest na czole, a wylot z tyłu czaszki. Łusek w trawie nie bardzo będzie widać - rzekł Korbiel.

- No pewnie! Boście bezmyślnie łazili po miejscu przestępstwa - burknął Cichoń wściekle do Korbiela.

- Dokumentowanie śladów skończyliście? - zapytał Cichonia kapitan Bargiel.

Tamten skinął głową.

- Tak? A zdjęliście ślady w samolocie? - chciał wiedzieć prokurator.

- No nie, przecież samolot zostanie zabrany do Przylepu. Tam się nim zajmiemy - odparł Cichoń.

- O nie, panie Cichoń. Trzeba to tutaj zrobić. I to jak najszybciej - zareagował ostro prokurator, patrząc niespokojnie na niebo.

- Zaraz powinni tu być ludzie z aeroklubu - wtrącił się Bargiel. - Chcemy samolot jak najprędzej stąd zabrać. I tak to już zbyt duża sensacja. Jadące szosą samochody zwalniają. Każdy chce popatrzeć, domyślając się Bóg wie czego.

- Boga, towarzyszu kapitanie, niech pan w to nie miesza - przerwał prokurator wywody Bargiela. - Technik musi być gotowy, zanim przyjadą zabrać maszynę.

- Tak jest - zareagował kapitan służbiście.

Podszedł podporucznik Korbiel.

- Dzwoniłem do jednostki wojskowej w Sulechowie. Za chwilę przyjadą tu żołnierze z wykrywaczem metali. Może znajdziemy łuski? - powiedział, zwracając się do kapitana.

- Brawo! Dobrzeście to załatwili, Korbiel - odpowiedział kapitan Bargiel.

Dumny podporucznik aż pokraśniał na twarzy, a tymczasem porucznik Łopatowicz uważnie obserwując łąkę, podążał w kierunku gęstej kępy leszczyn. Połamane gałązki i podeptana trawa wskazywały, że nie tak dawno ktoś tu był. Penetrował dalej. Poza starą, prawie przegniłą taczka, stojącą zapewne od lat w leszczynowej gęstwie, niczego nie znalazł.

W tym samym czasie pojawił się kolejny samochód. Przyjechali przedstawiciele aeroklubu. Musieli jednak poczekać z zabraniem samolotu do przeszukania terenu wykrywaczem metali.

Łopatowicz wrócił do grupy, powiadamiając, że sprawca prawdopodobnie udał się w kierunku zachodnim. Z pewnością był w pobliskich krzakach leszczyny. Niestety żadnych śladów nie pozostawił.

- Ujmijcie to spostrzeżenie w protokole, poruczniku - zareagował kapitan. - Jutro to wszystko, cośmy tu stwierdzili, chcę mieć na piśmie. Pan się tym zajmie.

- Tak jest - skwitował Łopatowicz krótko.

W południe przyjechali wreszcie wojskowi z wykrywaczem metali. Ponieważ w opinii sanitariusza rana głowy denata wskazywała na strzał z niewielkiej odległości, Łopatowicz wyznaczył im przylegający do rowu prostokąt o wymiarach pięć na dziesięć metrów. Oprócz kilku zardzewiałych gwoździ i nakrętek znaleźli... łuskę. Tylko jedną. Technik od razu oświadczył, że to łuska rewolwerowa pocisku kalibru dziewięć na dziewiętnaście milimetrów. Prawdopodobnie wystrzelonego z parabellum lub browninga, i to zupełnie niedawno.

- Znalazł pan jakieś ślady w samolocie? - Prokurator zwrócił się do Cichonia.

- Tak, ale w samolocie nikt niczego nie pozostawił. Mam natomiast sporo odcisków rąk. Może i mordercy? Zabezpieczyłem dwie pilotki - raportował technik kryminalistyczny. - Zbadam w laboratorium.

- To możemy już zwolnić samolot? - Ni to zapytał, ni to stwierdził kapitan. - Ci z aeroklubu już dość długo czekają.

Tym razem sam prezes aeroklubu zakręcił śmigłem raz i drugi. Silnik zaskoczył. Potem pilot ustawił maszynę dziobem na wschód i maksymalnie podkręcił obroty. Kukuruźnik wystartował i za chwilę, kierując się na zachód, zniknął za horyzontem.

Samochody funkcyjne odjechały. Mundurowi i cywile zaczęli się żegnać. Na odchodnym prokurator zapytał Łopatowicza:

- Kiedy dostanę materiały dotyczące wstępnych wyników dochodzenia?

- Jak tylko będą wyniki sekcji i sprawozdanie od sierżanta Cichonia.

Plutonowego Kisielewskiego nikt o nic nie pytał. Nawet nie kiwnęli mu ręką na pożegnanie. Sam uważał, że nie

miał istotnych informacji, więc nie meldował, a te milicyjne szuchy z Zielonej Góry o nic go nie pytały. Ludzie się rozeszli, a plutonowy wrócił do Bojadeł, na posterunek. W notatniku służbowym napisał parę zdań o dzisiejszym zdarzeniu. Na wszelki wypadek na końcu dopisał: „Może Boguś B. pomimo nietrzeźwości jednak coś widział?”.

26 lipca 1958, sobota

Rozmowa z Kuflem

Hipotezę o próbie uprowadzenia samolotu przyjęto bez zastrzeżeń, a Stanisława Podjemskiego uznano za bohatera. W „Gazecie Zielonogórskiej” ukazała się notatka:

Wczoraj w godzinach porannych uzbrojony porywacz chciał uprowadzić samolot Po-2, należący do Aeroklubu Zielonogórskiego. Tylko dzięki bohaterskiej postawie pilota Stanisława Podjemskiego, członka Zarządu Wojewódzkiego ZMP, próba została udaremniona. Niestety towarzysz Podjemski w wyniku tej akcji zginął. Cześć jego pamięci. Sprawca jest poszukiwany. Samolot wrócił na macierzyste lotnisko.

Kierownikiem grupy dochodzeniowej oficjalnie został porucznik Leszek Łopatowicz. W sporządzonym przez niego raporcie pojawiło się wiele pytań, na których odpowiedzi tymczasem nie było. Najważniejsze to: kto? Kto usiłował uprowadzić samolot i kto zabił Podjemskiego. Czy to ten sam sprawca? Gdzie się podział? Czy rzeczywiście nikt go nie widział? Nie było do końca jasne, czy Podjemski zginął tam, gdzie go znaleziono, czy gdzie indziej. Ponieważ nie znaleziono śladów zabójstwa w samolocie, to pilot z pewnością zginął poza samolotem. Ale czy na pewno w rowie? Czego by miał tam szukać? Zwykle uprowadzane samoloty kierowały się na zachód, obierając za cel Berlin Zachodni, albo na północ na Bornholm. Dlaczego akurat ten kukuruźnik wylądował na łące pod Klenicą, około dwadzieścia kilometrów na wschód od Przylepu?

Porucznik chodził markotny. To była jego pierwsza samodzielna sprawa, a tu tyle pytań i naciski od szefa i prokuratora. Łopatowicz do milicji trafił za namową ojca – też milicjanta. Czasami rozmawiali na tematy zawodowe.

Ojciec, chociaż nie był oficerem, to miał doświadczenie, którego brakowało Leszkowi.

- I co ja mam zrobić, tato? Szefostwo i prokurator naciskają, a ja nie mam odpowiedzi na wiele pytań.

- Pogadaj z tym twoim kapitanem. Przecież to wasz wspólny problem - odpowiedział ojciec.

- Eee! Z Bargielem nie mam o czym rozmawiać. Przecież to typowy politruk. On się na niczym nie zna, a ja potrzebuję wskazówek i porad, a nie rozmowy w stylu „wicie, rozumiecie, towarzyszu poruczniku”.

- Mam pomysł - rzekł nagle po namyśle starszy sierżant Stefan Łopatowicz. - Trzeba pogadać z Kuflem, ten się na sprawach kryminalnych zna. Swego czasu wiele spraw rozwikłał.

- Ale on już nie pracuje w milicji. A w ogóle to wolno znowu z nim rozmawiać, tym byłym sanacyjnym policjantem?

- Tak, po 1956 już znowu można. Nawet żeśmy się już odwiedzili i powspominali. Tylko wypić z nim nie można. On tylko piwko.

- A gdzie ja go znajdę? Przecież nie mogę z nim tak, jak z tobą. Obowiązuje mnie tajemnica zawodowa.

- Tajemnica, tajemnicą, ale pogadać można - odparł filozoficznie ojciec. - Po chwili milczenia ciągnął dalej: - Wprawdzie Kufel ma na Jedności Robotniczej punkt nabijania długopisów i naprawy rajstop, czy czegoś tam babskiego, ale przecież mogę go zaprosić do domu. Tu możesz sobie z nim swobodnie pogadać.

Wreszcie dotarły do Łopatowicza pełne dane z obdukcji i badań laboratoryjnych. Wynikało z nich, że denat był trzeźwy i na czczo. A w samolocie znaleziono sporo odcisków palców. Niestety, nie było tam obcych śladów papilarnych. Jedynym, jak się wydaje, dowodem obecności w tylnym kokpicie obcej osoby był znaleziony w pilotce blond włos, którego nikomu nie można było przyporządkować. Odręcznie Cichoń dopisał w uwagach:

brak niezidentyfikowanych linii papilarnych nie znaczy, że w kokpicie nie było obcej osoby. Gość mógł być w rękawiczkach.

Porucznik niewiele mógł z tego wywnioskować. Pilot po prostu nie miał czasu zjeść śniadania, ponieważ wcześniej rano trzeba było wystartować, co było zgodne z zeznaniami strażnika Koterskiego. Ten jednak twierdził, że w syrence nikogo nie było poza „panem Stasiem”. Jak wobec tego sprawca dostał się do samolotu? A może jego w ogóle w samolocie nie było? To dlaczego samolot wylądował tam na łące? W takim przypadku nie byłoby to uprowadzenie. Ale możliwe też, że Koterski z jakiegoś powodu nie widział pasażera. Wątpliwe też, by w locie ktoś nosił rękawiczki. A nawet gdyby, to przecież powinien wzbudzić podejrzenie Podjemskiego. Włos? Co nam daje włos? Na tej podstawie można jedynie wnioskować, że ktoś obcy mógłby siedzieć w kokpicie. A sprawca? Niemożliwe, żeby rozpułnął się w powietrzu. Dobrze, w krzakach leszczyny były ślady, ale co z tego. Gdzie się podział ten typ? Przecież ktoś powinien go widzieć.

Do spotkania z Kuflem doszło pod koniec lipca. Leszek Łopatowicz znał oczywiście byłego milicjanta jeszcze z okresu jego czynnej służby, ale dawno go już nie widział. Teraz zobaczył człowieka, z którego jakby „trochę wyszło powietrze”. Włosów mu ubyło, rysy się zaostrzyły, a ogniki, które ongiś błyskały z oczu, przygasły. Cała postawa jakby nieco przygarbiona. Nic dziwnego – pomyślał Leszek – po tych przejściach sprzed kilku lat.

- Witam serdecznie, panie Alku. - Jak ongiś, zwrócił się Leszek Łopatowicz, do byłego sierżanta. - Dawno się nie widzieliśmy.

- Ano, będzie kilka lat, Lesiu. O, przepraszam, panie poruczniku - odezwał się Kufel, przymrużając oko.

- Mam nadzieję, że teraz u pana już wszystko w porządku.

- Co masz na myśli, Lesiu?

Porucznik zdał sobie sprawę z niestosowności pytania. Na szczęście wszedł ojciec z piwami.

- I co, poznaliście się po tych paru latach? - zapytał Feliks, patrząc to na syna, to na kolegę.

- No pewnie - odparł Kufel. - Przecież Lesia pamiętam od chłopaka.

- Wypijesz pięćdziesiątkę? - zwrócił się Feliks do Kufla - czy dalej wolisz tylko piwko?

- Trwam przy swoim - odparł tamten.

Feliks Łopatowicz wyjął z kredensu półlitrowkę, wlał po kieliszku sobie i synowi i wstawił butelkę z powrotem.

- No to, żeby wam się lepiej rozmawiało. - Podniósł kieliszek, opróżniając go jednym haustem i westchnął, po czym opuścił pomieszczenie.

Kufel popatrzył na Leszka odstawiającego właśnie kieliszek i rzekł:

- Stefek, znaczy się twój tato, wspominał mi, że masz niezłe zagwozдки w przypadku tego zastrzelonego pilota i że chętnie byś ze mną na ten temat pogadał.

- Prawda. Rzecz w tym, panie Alku, że nie za bardzo wolno mi o tym rozmawiać i dlatego szczerze mówiąc, nie bardzo wiem, jak zacząć - powiedział młody Łopatowicz, nie mogąc ukryć zażenowania.

- Jak uważasz, Lesiu. Chcę ci tylko powiedzieć, że chyba nie byłbym teraz tutaj, gdybyśmy sobie nie ufali - rzekł Kufel, patrząc w oczy Leszkowi. - Im więcej będę wiedział, tym bardziej będę mógł pomóc. Jeśli to w ogóle jest możliwe.

- Wiem. Spróbujmy. Liczę na dyskrecję - odparł po chwili Leszek. - Tylko nadal nie wiem, jak zacząć.

- Kiedy prowadziłem sprawy kryminalne, najpierw pojawiały się klasyczne pytania: gdzie, w jaki sposób, kto i dlaczego? - rzekł Kufel.

- Otóż to - odparł porucznik. - Wiemy gdzie i w jaki sposób. Nie wiemy, kto i dlaczego.

- Zacznij od początku - poprosił Kufel.

Porucznik Łopatowicz zreferował byłemu śledczemu fakty, pomijając nazwiska szefów, prokuratora i innych osób, z którymi współpracował.

- Rzeczywiście, sporo tu znaków zapytania. Zaczniemy od punktu wyjścia. - Po chwili ciszy Kufel kontynuował: - Przyjmijmy na początek, że zabójca wszedł do samolotu na lotnisku. Są tylko dwie możliwości. Albo przyjechał razem z Podjemskim w syrenie, albo znalazł się w samolocie wcześniej w inny sposób. Na przykład forsując płot lotniska. Dlatego stróża trzeba bardzo dokładnie przepytać. Bo albo nie mógł, albo nie chciał widzieć tego zbira. Niezależnie od tego skontrolowałbym ogrodzenie lotniska. Teraz problem drugi. Czy rzeczywiście była to próba uprowadzenia samolotu. Załóżmy na początku, że tak było. Natychmiast nasuwa się pytanie, dlaczego kukuruźnik kierował się na wschód? I dlaczego wylądował na tej łące? - Znowu nastąpiła cisza. - Gdzie, mówiłeś, to było?

- Dwadzieścia kilometrów na wschód od lotniska, w miejscowości Klenica.

- Hm - zamyślił się Kufel. Skądś nazwę tej miejscowości już znał. - Może wylądował na tej łące, by spreparować samolot.

- Spreparować? Co pan ma na myśli? - drążył Leszek.

- To tylko taka luźna myśl - mruknął Kufel - bo gdyby rzeczywiście chciał ten samolot uprowadzić, to po niewątpliwym alarmie, jaki powinien wszcząć ten stróż w aeroklubie, natychmiast ruszyłyby samoloty wojskowe. Gdzie by go szukały?

- Na kierunkach do Berlina albo do Szwecji, chyba nie na kierunku odwrotnym - kombinował porucznik. - Dlaczego jednak wylądował w tej Klenicy?

- No właśnie. Być może upatrzył sobie tę łąkę, bo chciał na przykład przykleić czerwone gwiazdy na kadłubie i stateczniku, żeby udawać samolot radziecki, do którego przecież nikt tak od razu by nie strzelał. Z jednej strony zmyliłby pościg, z drugiej mógłby bezpieczniej dolecieć do

Zachodniego Berlina. Enerdowcy radzieckiego samolotu tym bardziej by nie zestrzelili. Ale to tylko hipoteza.

- Dlaczego jednak zastrzelił pilota? Musielibyśmy założyć, że sam jest pilotem, i to nie najgorszym.

- Masz rację, a pilot był mu już niepotrzebny. Miał zniknąć w tym rowie, przynajmniej do jesieni, czyli do następnych sianokosów, bo kto łązi po łąkach, wzdłuż starych, zabagnionych rowów.

- Ale zabójca szybko zniknął, a na samolocie nie było żadnych gwiazd. Rozmyślił się nagle?

- Myślę, że zauważył kogoś. To był wczesny ranek. Nie liczył się z tym, że ktoś go zobaczy. Nie miał już czasu. Zatem zrealizował swój plan B.

- I zniknął?

- Było wcześniej rano, większość mieszkańców jeszcze spała. Ale prawdopodobnie zobaczył kogoś obserwującego go. Trzeba by ewentualnych świadków znaleźć.

- Był przecież uzbrojony, dlaczego nie zlikwidował świadka? - rzeczowo zapytał porucznik.

- Czas mu nie pozwalał i pościg za kimś takim nie mieścił się w jego kalkulacji. Wolał się wycofać.

- To czemu po prostu nie odleciał? Tym samolotem mógłby. Piloci też tak zabrali stamtąd tę maszynę.

- Tego nie wiem. Może miał trudności ze startem. A może miał zupełnie inny plan.

- Jaki?

- Otóż to. Jaki? Pewne jest, że udało mu się po cichu opuścić to miejsce i zniknąć. I tu jest następne pytanie: jak i dokąd? - Kufel zamyślił się, a po chwili rzekł: - Koniecznie trzeba przepytac mieszkańców Klenicy. Wyście tego dotychczas nie zrobili?

- Posterunkowy z Bojadeł miał zgromadzonych na wale ludzi przepytac, ale nic szczególnego nie zgłosił.

- Rozmawiałeś z tym milicjantem?

- Nie.

- To zrób to, Lesiu. I popytaj jeszcze raz ludzi. Warto też zastanowić się, czy i jeśli tak, to jak i kiedy morderca opuścił Klenicę? Sprawdź komunikację, taksówki, kto widział obce auto, popytaj ludzi, czy widzieli kogoś obcego. To niemożliwe, by nikt go nie zauważył we wsi mającej ponad tysiąc mieszkańców. Niektórzy wstają po czwartej rano. Są ludzie dojeżdżający dokądś do pracy. Ja bym to sprawdził.

Ponad tysiąc mieszkańców... Skąd on wie, ilu ludzi mieszka w tej wsi? - przeszło Leszkowi przez myśl i z uznaniem popatrzył na Kufla. Po chwili zapytał zniecierpliwionym:

- A jaka, według pana, panie Alku, byłaby inna wersja tego zdarzenia?

Kufel długo nie odpowiadał. Przymrużywszy oczy, sączył piwo, sprawiając wrażenie, że jego myśli szybują gdzieś w przeszłości. Po chwili powiedział:

- Może chciał kogoś lub coś zabrać stamtąd? Znaczyłoby to, że wylądował w Klenicy celowo. Mówiłeś, że w pobliskim leśniczynie zagajniku czy też krzakach było miejsce wskazujące, że był tam ktoś. Może ten ktoś czekał na niego. A może stamtąd miał coś zabrać?

- Nie, tam nic nie było. Wydeptana trawa, parę połamanych gałązek i nic więcej. Aha, w trochę w głębi, w chaszczach stała jakaś przegniła drewniana taczka. Sprawdziłem. On się do niej nawet nie przedarł. Nic innego tam nie było.

- Wracając do ciała ofiary. Mówiłeś, że znaleziono go w rowie melioracyjnym. Jesteś pewny, że tam go zastrzelono? Czy może wrzucono go tam, a zastrzelono gdzie indziej?

- Wiele, a właściwie wszystko wskazuje na to, że tam zginął. Mówiłem, że znaleźliśmy łuskę kalibru dziewięć w bezpośredniej bliskości ciała. Technik stwierdził, że „świeżutka”. Wyglądało na to, że ciało nie było przemieszczane od chwili śmierci. Z obdukcji zaś wynika, że strzał oddany został z niedużej odległości, a ręka denata

zaciśnięta była na kępie trawy, jakby chciał się z tego rowu wyciągnąć. No i w końcu czas. Śmierć nastąpiła nie wcześniej niż dwie godziny przed naszym przybyciem na miejsce zbrodni. Krew z rany wylotowej nie zdołała jeszcze całkowicie zakrzepnąć – referował Leszek.

- Zadaję sobie jednak pytanie, dlaczego i jak znalazł się w tym rowie. - Kufel przerwał na chwilę. - Wygląda na to, że sam tam wszedł. Tylko dlaczego?

- Pamiętajmy, ten typ miał broń, może zmusił go do wejścia do rowu. Przecież od początku mógł mieć zamiar zabicia pilota i ukrycia zwłok w rowie.

- Poszukiwanie broni w tej sytuacji jest chyba bezcelowe. Sądzę, że sprawca zabrał ją ze sobą. - Kufel przerwał wywód, jakby sobie coś przypominając. - Wasz technik rzeczywiście prawidłowo wytypował pistolety. Chociaż, jak wiemy, są też inne, do których pasuje kaliber dziewięć milimetrów. Jednak te dwa typy produkowano w dużych ilościach: parabellum ponad dwieście, a browning około pięćdziesięciu tysięcy sztuk. Są popularne. Parabellum jest trochę większy wymiarowo i cięższy niż browning, ale celniejszy. Ma jednak tę wadę, że mały kabłąk przy spuście utrudnia strzelanie w rękawiczkach. Jeżeli nie znaleźliście odcisków rąk sprawcy w kabinie samolotu, można założyć, że działał w rękawiczkach. To wszystko mogłoby przemawiać za browningiem.

- To fatalne, że nie znaleźliśmy konkretnych śladów. Uczono mnie, że przestępcy zawsze pozostawiają ślady, trzeba je tylko znaleźć. I że jest to sprawa kompetencji. Jak mnie ocenią szefowie? - biadolił Łopatowicz.

- Powiedz im, że brak śladów też jest śladem - podsumował Kufel, wypijając ostatni łyk piwa.

29 lipca 1958, wtorek

Łopatowicz wraca do Klenicy

W poniedziałek dwudziestego ósmego lipca porucznik musiał przedstawić szefowi stan śledztwa.

- Niewiele tego, poruczniku - stwierdził kapitan Bargiel sarkastycznie. - Właściwie to nic nie wiemy.

- Znamy ofiarę. Wiemy, jak zginął i z grubsza znamy okoliczności, w jakich zginął. Nie wiemy, dlaczego został zabity i najważniejsze, nie znamy sprawcy.

- Eee! Powód, dla jakiego zginął, przecież znamy. Nie chciał dopuścić do uprowadzenia samolotu - wymądrzał się kapitan.

- Nie jestem tego taki pewien - oponował Łopatowicz. - Chce uprowadzić samolot i leci nim na wschód, i ląduje na łące w Klenicy?

- A jaki inny powód mógłby mieć? - Bargiel trwał przy swoim.

- No właśnie. Gdybyśmy to wiedzieli, zrobilibyśmy duży krok do przodu.

- No dobra - mruknął kapitan. - Jakie mamy teraz plany? Jak miałyby przebiegać dalsze dochodzenie?

- Po pierwsze, należy dokładnie wywiedzieć się, czy ktokolwiek z mieszkańców wsi cokolwiek widział lub słyszał w tym dniu. Może nawet należałoby popytać w ogóle o jakieś szczególne zdarzenia w okresie poprzedzającym zabójstwo Podjemskiego.

- No, no! Słusznie, poruczniku. Dobrze kombinujecie. Tylko pamiętajcie, oficjalna wersja to próba porwania samolotu.

- Oficjalnie tak może zostać, a my swoje będziemy robić - odparł Łopatowicz. - Zacząć jednak musimy od tego wartownika czy też stróża w aeroklubie.

- Dlaczego? - zapytał Bargiel.

- Dlatego, że jeśli intruza czy porywacza wartownik nie widział, to mógł na samolot z Podjemskim czekać w Klenicy. A to zupełnie zmieniłoby kierunek naszego dochodzenia. - Po chwili dodał: - Zabójca mógł też dostać się do samolotu, forsując płot. Dlatego i płot trzeba dokładnie sprawdzić.

- Tak, to prawda. Sprawdźcie.

Nazajutrz porucznik Leszek Łopatowicz wyruszył w teren, jak to się na komendzie mówiło. Najpierw pojechał do Bojadeł. Komendant posterunku był uprzedzony, a plutonowy Kisielewski znajdował się na miejscu.

- Mieliście przesłuchać mieszkańców zgromadzonych na wale - zwrócił się Łopatowicz do plutonowego - i nic nie zgłosiliście.

- Bo nikt nic nie słyszał i nie widział. Tylko jakiś pijaczek tłumaczył swoje pijackie zachowanie tym, że rzekomo ktoś do niego strzelał.

- Pijaczek. Co mówił wam ten pijaczek? Jak się nazywa, gdzie mieszka?

- Zapisałem sobie to gdzieś. - Zaczął kartkować notatnik. - O, jest - odezwał się. - To niejaki Boguś Buczyński z Klenicy. Tyle że ja go nie przesłuchałem. On tylko coś w tym stylu zabełkotał do obywatela Paska Zenona.

- Jedziemy do Klenicy - rozkazał porucznik, patrząc na plutonowego.

- My do Bogdana Buczyńskiego - zwrócił się porucznik do kobiety w średnim wieku, która akurat wyszła ze wskazanego im budynku. - To chyba pani syn?

- Tego pijaka nie ma, panie, w domu. Włóczy się gdzieś? Najpewniej kręci się koło gospody, bo liczy na to, że ktoś mu postawi.

Pojechali do gospody. Weszli. Atmosfera gęsta od dymu i kwaśnego odoru byle jakiego piwa. Goście przekrzykiwali się wzajemnie, używając słownictwa mocno przetykanego tak zwaną łaciną. Na widok milicjantów gwar pijackich pokrzykiwań i przekleństw ucichł.

- Który to Buczyński? - rzucił Łopatowicz do zebranych.
- Ło, taam. Odpoczywa - wskazał jeden z nich w kierunku śpiącego na stole człowieka, a reszta zarechotała wesoło.

- Wreszcie przyszli po Bogusia - odezwał się któryś.

Łopatowicz podszedł do bufetu i zamówił pięćdziesiątkę. Z kieliszkiem w ręku podszedł do Bogusia i zaczął go budzić. Ten podniósł nabuzowany łeb, wycierając wierzchem dłoni zaślinioną, czerwoną gębę. Widok milicjantów wywołał na jego twarzy wyraz przerażenia. Kiedy jednak zobaczył wyciągniętą ku niemu rękę z pięćdziesiątką, podniósł wzrok, popatrzywszy mętным, ale wdzięcznym wzrokiem na porucznika. Już wyciągał rękę po ulubiony trunek, ale milicjant rękę cofnął i odezwał się do spragnionego Bogusia:

- Zaraz sobie chlapniesz tę pięćdziesiątkę, ale najpierw obiecaj, że przedtem ze mną pogadasz.

Na zapleczu gospody znajdowało się niewielkie pomieszczenie, ni to składzik, ni to biuro. Tam plutonowy poprowadził zataczającego się Bogusia. Posadził go na krześle. Ten mętным wzrokiem błędził za kieliszkiem, który porucznik postawił na stoliku, poza zasięgiem jego ręki.

- Jak się nazywacie - rozpoczął porucznik.

- Nu, jaa jestem Boguś - wybełkotał mężczyzna.

- Jaki Boguś? Nazwisko! - włączył się plutonowy.

- Noo, Buczyński jestem, przecież mnie znacie.

- Dobrze, dobrze. To potrzebne do protokołu - rzucił porucznik. - Powiedzcie nam, Buczyński, coście wtedy widzieli, kiedy na łące za wałem wylądował ten samolot? Widzieliście kogoś?

- O tak! Widziałem. Ten jeden machał pistoletem, a ten drugi wlaź do rowu.

- Strzelał do niego?

- Nie. Jak mnie zauważył, to do mnie strzelał - odpowiedział Boguś.

- Jak to? Tak po prostu zaczął strzelać?

- Nie. Dopiero, jak mu pomachałem. Wtedy zaczął iść, żeby mnie zabić. Uciekałem na podwórze do Zenka. Wtedy strzelał.

- Boguś, jak zszedłeś z wału, on już nie mógł cię widzieć - wtrącił się plutonowy. - To i strzelać nie mógł. Coś pleciesz.

- Ale ja słyszałem strzał - wymamrotał Boguś niepewnie.

- Niech pan opisz tego typu - zażądał Łopatowicz.

- O! To był duży chłop. Miał kaptur na głowie.

- To znaczy, był w kurtce z kapturem - dochodził porucznik. - A w jakim kolorze była ta kurtka?

- Bo ja wiem? Chyba ciemna jakaś, granatowa albo zielona. Nie było dobrze widać.

- I co było dalej? - dopytywał się plutonowy.

- A co miało być? Uciekłem i ukryłem się za chlewikami u Zenka.

- Słyszeliście jeszcze jakieś strzały?

- Nie. Chyba nie - odezwał się niepewnie Boguś.

- Dobra. Wypij sobie tę pięćdziesiątkę, chociaż właściwie to nam nic ciekawego nie powiedziałeś - zakończył porucznik rozmowę z Bogusiem.

- I co teraz? - zapytał Kisielewski.

- Teraz pogadamy jeszcze z tym Zenkiem - odparł porucznik.

Zenka w domu nie zastali. Był w pracy. Pojechali więc do tartaku. Kierownik zaprowadził ich do hali traków. Zapach żywicy ze świeżej tarcicy rozmowie może by nawet sprzyjał, ale nie przy niemiłosiernie hałasujących maszynach. Wyszli z hali na zewnątrz.

- Mamy do pana parę krótkich pytań - zaczął porucznik Łopatowicz. - Chodzi nam o ten poranek, kiedy za wałem wylądował kukuruźnik.

- Tak, pamiętam. Boguś załomotał wtedy do naszych drzwi. Był cały w nerwach, ale tego pijanicy poważnie brać nie można.

- A dokładniej możecie nam to opowiedzieć? - odezwał się plutonowy.

Obywatel Pasek Zenon popatrzył bezradnie to na Kisielewskiego, to na Łopatowicza, poskrobał się w głowę i mruknął:

- Nie ma o czym gadać. - Po chwili ciągnął dalej: - Boguś bajdurzył coś o tym, że samolot do niego strzelał. - Roześmiał się. - Nie wiedziałem nic o tym samolocie na łące, a strzelające samoloty były podczas wojny. Ot, sprężyna po prostu zatrzasnęła furtkę, i tyle. Teraz wiem: samolot to on pewnie widział, ale nikt do niego nie strzelał.

- A pan niczego nie widział? Nie poszedł pan na wał, żeby sprawdzić?

- Mówiłem już, Boguś jeszcze był na gazie. Nie brałem go serio.

Podziękowali Zenkowi i opuścili tartak.

- Obywatelu poruczniku, proponuję skoczyć na stację i pogadać z zawiadowcą - odezwał się plutonowy, wskazując ręką w kierunku nieodległej stacji.

- To tutaj na tej stacyjce jest zawiadowca? - roześmiał się porucznik. - Ale macie rację, popytajmy na stacji. A nuż widzieli obcego w kapturze.

Okienko kasowe na stacji było otwarte. Józef Wydra przed przyjazdem pociągu był kasjerem, a kiedy na stację wjeżdżał pociąg, zakładał czerwoną czapkę i wychodził na jedyny peron. Pociąg z Sulechowa miał za chwilę przyjechać. Czapka dyżurnego ruchu leżała już w zasięgu jego ręki. Zauważył milicjantów i uśmiechnął się do nich.

- Dokąd panowie milicjanci się wybierają? - Popatrzył najpierw na nich, a potem na tę swoją wielką szafę z odsuniętą żaluzją, z szerokim wyborem kartonikowych biletów. - Ale proszę szybciej.

- My nigdzie się nie wybieramy. Chcielibyśmy się tylko dowiedzieć, czy w ów czwartek, pod koniec czerwca, gdy wylądował w Klenicy ten samolot, ktoś nieznany panu

kupował bilet i wyjeżdżał pociągiem? - zapytał porucznik Łopatowicz.

- Nie przypominam sobie. Ale chyba nie. Zwykle zapamiętuję obcych. Czasami bywa, że ludzie w ostatniej chwili wskakują do pociągu i wtedy bilety kupują u konduktora.

Pociąg było już słychać. Wydra założył czapkę i stał się teraz dyżurnym ruchu. Zatrzasnął okienko i wyszedł na peron.

Milicjanci opuścili poczekalnię i przyglądali się wysiadającym podróżnym. Nie było ich wielu. Jakaś kobieta z dzieckiem, młody chłopak i dwóch mężczyzn, wyglądających na powracających z pracy. To z nimi postanowili porozmawiać milicjanci.

- Na chwileczkę proszę - zatrzymali obydwu. - Czy dojeżdżacie pociągiem do pracy?

- Tak. Pracujemy w Sulechowie, w „Prodwodrolu”. Dojeżdżamy codziennie pociągiem.

- Czy w czwartek dwudziestego siódmego czerwca, w dzień, w którym w Klenicy wylądował samolot, panowie także jechali do pracy?

- Ja nie. Miałem urlop - odparł jeden z nich.

- Ja pracowałem i tego dnia z pewnością porannym pociągiem, to znaczy tym o piątej trzynastej jechałem do pracy, a tym o czternastej czterdzieści pięć wróciłem - poinformował ten drugi.

- Czy zauważył pan w tym dniu coś szczególnego? - dochodził porucznik.

- Nie, chyba nie. Tak wiele osób nie było na peronie. Znałem je. - Gość zamyślił się i zamilkł na chwilę. - No chyba tylko to, że jakiś dureń doganiał pociąg i wskoczył do niego w ostatniej chwili. Tego nie znałem.

- Widział go pan? Jak on wyglądał? - dopytywał się Łopatowicz.

- Czy ja wiem? Normalny gość w kurtce. - Po namyśle kontynuował: - Wysoki mężczyzna, miał chyba ze

czterdzieści lat, a może nawet więcej. Był dość sprawny. W jednym ręku trzymał chyba jakąś aktówkę.

- W jakim kolorze była jego kurtka? Czy kaptur był tego samego koloru?

- Kurtka? Jakaś ciemna. Brązowa chyba. Kaptur? Nawet nie wiem, czy miał kaptur. Jeśli miał, to pewnie był taki sam jak kurtka, bo nie rzucał się w oczy.

- Widział pan tego człowieka potem w Sulechowie wśród wysiadających?

- Nie, ale spieszyłem się do zakładu i nie przyglądałem się ludziom.

- Dziękujemy panom. Plutonowy, proszę zapisać nazwisko tego pana.

Kiedy tamci sobie poszli, a plutonowy skończył notować, zapytał:

- Obywatelu poruczniku, dlaczego pytał pan o to, czy gość widział tego w kurtce z kapturem na stacji w Sulechowie?

- Bo dałoby się wykluczyć, że wysiadł wcześniej i łatwiej byłoby dochodzić, dokąd mógłby się udać. A tak to musimy wziąć pod uwagę, że gdzieś wcześniej wysiadł. Na tej trasie jest jeszcze kilka przystanków.

- To może on dojechał tylko do Cigacic. Tam wysiadł, przeszedł się do mostu, do przystanku PKS i autobusem pojechał do Zielonej Góry. Tak robi wielu.

- Brawo, też tak sobie pomyślałem.

Kiedy odstawił już plutonowego do Bojadeł, Łopatowicz ruszył do Zielonej Góry. Przez głowę przechodziły mu różne myśli. Właściwie w Klenicy nie usłyszał niczego rewelacyjnego. Jednak z grubsza już wiedział, jak morderca wyglądał i w jaki sposób opuścił Klenicę. Nie wiedział tylko, dokąd się udał.

Tego dnia pojechał jeszcze do Przylepu. Było pogodnie i bezwietrznie. Na lotnisku panował spory ruch. Najpierw udał się do dyrekcji. Kiedy się przedstawił, informując,

w jakiej sprawie przyszedł, szef ze zrozumieniem kiwał głową.

- Koterski u nas już nie pracuje, będzie go pan musiał przesłuchać prywatnie.

- Jak to? Zwolnił się czy wyście go zwolnili? - zdziwił się porucznik.

- Popełnił wiele wykroczeń przeciwko regulaminowi. Ktoś taki jest nam tutaj niepotrzebny. Zwolniłem go dyscyplinarnie.

- Czy to w związku z tym wprowadzonym samolotem?

- Tak. Po pierwsze, wpuścił wcześniej rano na teren aeroklubu Podjemskiego, nie rejestrując tego. Pozwolił mu wjechać syreną na teren lotniska. Po drugie w ogóle nie zareagował, kiedy o tak nietypowej porze samolot wystartował. Twierdził też, że poza Podjemskim nikogo innego nie wpuścił, a przecież ten, co samolot wprowadził, jakoś później znalazł się w nim.

- Czy teren lotniska jest ogrodzony? - dochodził porucznik.

- Tak, oczywiście. Wiosną ogrodziliśmy teren dwumetrową siatką.

- Sprawdzaliście, czy ogrodzenie nie jest gdzieś uszkodzone?

- Nie. Dlaczego mielibyśmy to robić? Przecież założyliśmy je dopiero kilka miesięcy temu.

- A jeżeli ten nieproszony gość, co wprowadził samolot, właśnie tamtędy dostał się na lotnisko?

- O tym nie pomyśleliśmy.

- Przyślę posterunkowego, żeby z jakimś waszym pracownikiem obszedł lotnisko, sprawdzając ogrodzenia - zakończył Łopatowicz rozmowę.

Nazajutrz rano zadzwonił do Rejonowego Przedsiębiorstwa Melioracyjnego w Sulechowie.

- Komenda wojewódzka milicji, porucznik Łopatowicz. Z dyrektorem proszę.

- Słucham, Spychaj - rozległo się w słuchawce, kiedy sekretarka go połączyła.

- Dzwonię w związku z tym morderstwem w Klenicy.

- A tak, tak. Słyszałem - odezwał się dyrektor Spychaj.

- Chciałem się dowiedzieć, kiedy i czy w ogóle czyściliście lub udrażnialiście rowy na klenickich łąkach?

- Właściwie to nie nasza sprawa. To właściciele czy użytkownicy łąk i gruntów, przez które przechodzą rowy melioracyjne, muszą o nie zadbać. My jednakże w ramach konserwacji całego systemu melioracyjnego mamy w planie przeprowadzić udrażnianie najważniejszych rowów. Także na terenach rolniczych gromady Klenica.

- Czyli dotychczas żadnych prac na klenickich łąkach nie przeprowadzaliście.

- Nie. Mówiłem już, to sprawa użytkowników.

Koterski mieszkał w Zielonej Górze na Lisiej, w nieco zapuszczonym poniemieckim bliźniaku. Kiedy Łopatowicz zapukał do odrapanych drzwi, najpierw usłyszał pokasywanie, później przybliżające się człapiące kroki, aż wreszcie usłyszał chrapliwe: „kto tam?”.

- Milicja! Do obywatela Koterskiego.

- Milicja? - zabrzmiał zdziwiony głos i drzwi się otworzyły.

Staął w nich lekko przygarbiony, łysawy mężczyzna. Na oko mógł mieć ponad sześćdziesiąt lat. Był zarośnięty i zaniedbany. Nawet na odległości dwóch kroków czuło się od niego alkohol.

- Obywatel Koterski? - zapytał porucznik.

- Tak, to ja. O co chodzi?

- Możemy wejść? - nagabywał milicjant.

Koterski poczłapał do kuchni, a Łopatowicz za nim. Gospodarz wskazał mu krzesło, na którym leżał rudy kot.

- A psik! - krzyknął Koterski, przeganiając kota.

Porucznik usiadł. Koterski szerokim ruchem odsunął ze stołu naczynia z resztkami jedzenia.

- Obywatelu Koterski, ja w sprawie tego uprowadzonego samolotu.

- Dajcie mi spokój. Już mnie wywalili z roboty. Mnie, starego zbawidowca⁴⁴. Mnie, ormowca⁴⁵. Emeryturę mam małą, a oni mnie ot tak, za drzwi - rzekł prawie zaczepnie rozżalony Koterski.

- Ja chciałbym wam jednak zadać kilka pytań związanych z tamtym zdarzeniem.

- To niech pan pyta, poruczniku.

- Proszę dokładnie opisać ten poranek.

- Miałem nockę. Zwykle było spokojnie. Zdrzemnąłem się. Świtało, kiedy pan Stasiu zapukał do okienka stróżówki. Pozdrowił mnie i prosił o wpuszczenie. Zawsze wjeżdżał tą swoją piękną syrenką.

- I nie zdziwiło was, że tak rano?

- Trochę zdziwiło, ale pan Stasiu był u nas kimś ważnym i zawsze mógł więcej niż inni.

- Czy ktoś jechał z nim w samochodzie?

- Raczej nie - mruknął stary.

- Co znaczy „raczej nie”? - naciskał porucznik.

- No, jakby to powiedzieć - zachnął się Koterski. - Kiedy on wjeżdżał, zakładałem buty, ale nic podejrzanego nie zauważyłem.

- No pewnie! Nie zauważyliście, bo zakładaliście buty. - Porucznik zamilkł. Chwilę się namyślał, a potem kontynuował: - Później też niczego nie zauważyliście?

- No nie. Było szarawo. Chociaż wydawało mi się, że widziałem jakby jakiś cień. Ale pewnie mi się tylko wydawało.

- A dokładnie co widzieliście? - dociekał porucznik w nadziei, że dowie się więcej.

- Cień. Nic więcej. Tak jakby ktoś drugi siedział w samolocie. Ale to przecież niemożliwe. Pan Stasiu był sam.

- Dlaczego nie zgłosiliście natychmiast tego samowolnego startu pilota Podjemskiego? Przecież to było niezgodne z regulaminem.

- No niezgodne, ale zgłaszać nieregulaminowe starty? To nie mój zwyczaj. Pan Stasiu nie był jedyny. On taki ważny. Inni niekiedy też brali samolot, kiedy chcieli. I nikt się nie dowiedział.

- Czy Stanisław Podjemski, kiedy z panem rozmawiał przy okienku stróżówki, był nerwowy albo może sprawiał wrażenie przestraszonego? Dawał jakieś znaki?

- Skądże? Jak zawsze, mimo tej wczesnej pory, był w dobrym humorze.

- Nie mam więcej pytań, obywatelu Koterski. Żegnam pana.

- Panie poruczniku. Niech się pan wstawi w mojej sprawie u prokuratora. Panu wszystko powiedziałem, to znaczy... z tą drzemką. Oni chcą mnie za to posadzić.

- Za to pana nie posadzą, panie Koterski. Ma pan przecież poparcie ZBOWiD-u - dodał z przekorą.

Z powrotem na komendzie. Łopatowicz siedział właśnie nad aktualnym raportem, kiedy zadzwonił telefon:

- Tu posterunek w Bojadłach. Kisielewski przy aparacie. Obywatelu poruczniku, mam informację. Nie wiem, czy ważną.

- Słucham, co to za informacja?

- Dowiedziałem się, że jakiś czas temu widziano w Klenicy auto z NRD, stojące niedaleko tego pałacyku Radziwiłłowskiego. Ktoś nawet powiedział, że na zielonogórskich znakach rejestracyjnych, bo też miał ZH czy ZE. Ale to głupota, te tablice były białe, znaczy się z NRD.

- To chyba nic nadzwyczajnego. Samochody z enerdowską rejestracją to już nie taka rzadkość - odpowiedział porucznik.

- Tak, tylko że ten gość od tego auta przechadzał się po wale i łąził po łące. Widziały go dzieci i kilka osób

dorosłych.

- Kiedy to było?

- Z tego, co mi mówiono, to jakiś rok, może półtora roku temu. Jesienią, już po otawie - relacjonował plutonowy.

- Czy ktoś potrafił opisać tego człowieka? - dociekał Łopatowicz.

- Tylko jakaś kobieta widziała podobno wysokiego, przystojnego mężczyznę w garniturze. Zwróciła na niego uwagę, bo w Klenicy nikt w garniturze i eleganckich półbutach nie chodzi po łąkach. Ona myślała, że to ktoś z jakiegoś urzędu w sprawie melioracji.

- Melioracji? Dlaczego? - dziwił się porucznik.

- Podobno oglądał ten rów melioracyjny.

- I co dalej?

- Gość sobie pospacerował i poszedł w kierunku pałacu. Auto także znikło.

- Informacja jest ciekawa, chociaż niekoniecznie musi się wiązać z naszą sprawą. Bywa, że byli Kleniczanie przyjeżdżają z Niemiec i nostalgia gania ich po łąkach. W każdym razie zanotuję to i uwzględnimy ten fakt w dalszym dochodzeniu. Dziękuję wam, plutonowy. Zróbcie z tego notatkę i przyślijcie mi ją.

Chwilę potem otrzymał telefoniczną informację, że płot wokoło aeroklubu nie wykazuje jakichkolwiek śladów zniszczenia lub oznak, że go ktoś sforsował.

Porucznik Łopatowicz podpierając obydwoma rękami głowę siedział za swoim biurkiem i usilnie próbował podsumować zebrane fakty. Dumał na różne sposoby, ale nic mu się w całość nie układało. W końcu podłamany stwierdził, że śledztwa nie udało się ani o milimetr posunąć do przodu, podczas gdy wątpliwości się namnożyły. Najbardziej męczyło go pytanie, co skłoniło Podjemskiego do tego porannego lotu. A może jednak był sam? Gdyby założyć, że to było uprowadzenie, jak chcą władze, to w samolocie musiałby być ten drugi. Jak się tam dostał? Gdyby przyjechał pod przymusem z Podjemskim, to pilot

podczas rozmowy z Koterskim byłby zdenerwowany. Ale stróż niczego takiego nie zauważył. Gdyby zaś sprawca czekał na pilota w samolocie, to by wiedział, kiedy pilot przybędzie. Musieliby być umówieni. Jeżeli to jednak nie uprowadzenie a Podjemski wsiadł do samolotu z własnej woli, to dlaczego tak zrobił, i dlaczego poleciał akurat do Klenicy? A morderca? Jest nim chyba rzeczywiście ten dość wysoki mężczyzna w ciemnozielonej lub brązowej kurtce z kapturem. Porucznik zachodził w głowę, czy to rzeczywiście sprawca najpierw ukrył się w kępie leszczynowych krzaków, by później udać się na stację kolejową. A może to właśnie w tych krzakach morderca czekał na samolot? To także musiałyby z Podjemskim być umówiony.

Po południu Leszek Łopatowicz zadzwonił do ojca:

- Słuchaj, tato. Zupełnie sobie nie radzę.

- Z czym sobie nie radzisz, co się stało, synu? - odezwał się zaniepokojony Stefan Łopatowicz.

- No, z tym cholernym dochodzeniem. Z tym samolotem, wiesz.

- I co, chciałbyś znowu pogadać z Kuflem? - spytał ojciec.

- Mógłbyś zaaranżować takie spotkanie? Przyniosę zielonogórskie piwa.

3 sierpnia 1958, niedziela

Porady Kufla

Sierpniowe słońce przygrzewało, jakby chciało pobić tegoroczny rekord ciepła. Znowu spotkali się w mieszkaniu u Łopatowiczów. W maleńkiej kuchennej lodówce piwo zdążyło już się schłodzić. Na ten czas Stefan Łopatowicz wyjął z niej żywność, za co zresztą dostał reprimendę od pani Zuzi - mamy Leszka.

Wreszcie pojawił się Kufel. Przywitali się serdecznie, a udobruchana kwiatami pani Zuzia zaproponowała kawę. Mężczyźni popatrzyli na siebie znacząco i prawie jednocześnie odpowiedzieli: nie! A wzrok, jak na rozkaz, skierowali na lodówkę.

Tym razem Stefan wskazał obu mężczyznom miejsce w stołowym. Postawił przed nimi piwa i mrugnawszy porozumiewawczo, wyszedł.

- Jak ci pomóc, Lesiu? - zaczął Kufel bez ceregieli.

- Nie wiem. Po prostu muszę pogadać z prawdziwym fachowcem.

- Nie przesadzaj, Lesiu. Ja już dawno nie jestem specjalistą w tej branży. Na szczęście rutyna i pewne nawyki pozostały. Opowiadaj zatem. Może wspólnie do czegoś dojdziemy.

Leszek Łopatowicz przedstawił Kuflowi pokrótce fakty i przemyslenia. Na koniec rzekł:

- Wydaje się, że w tej chwili najważniejszym pytaniem jest, gdzie podział się sprawca?

- Uporządkujmy przeto fakty. Osobnik w zielonej kurtce z kapturem kręcił się koło samolotu i wymachiwał pistoletem, jakby zmuszając Podjemskiego do brodzenia po rowie. Ślady wskazywały, że uciekając z miejsca przestępstwa, „wstąpił” w te leszczynowe chaszczce. Na stacji w Klenicy widziano wskakującego do pociągu typa

w brązowej kurtce, przy czym nie wiadomo, czy wtedy miał założony kaptur. Nie wiemy też, gdzie wysiadł. Jedną z hipotez jest, że wysiadł w Cigacicach i dalej pojechał autobusem. Zgadza się?

- Tak. To wiemy, albo zakładamy. Szkoda, że nie wykorzystaliśmy milicyjnego psa. Wiedzielibyśmy teraz chyba więcej.

- Przypuśćmy, że ten gość, który kilkanaście miesięcy temu chodził po łące w Klenicy, rzeczywiście przyjechał autem i że to ta sama osoba, której teraz szukamy.

- Przypuśćmy - podchwycił porucznik. - I co z tego?

- Ano to, że można spróbować uzyskać dokładniejszy rysopis tego gościa. Trzeba popytać tę kobietę, która go widziała. Albo pogadać z dziećmi. Przecież on wtedy w Klenicy nie występował w kapturze.

Sącząc chłodne piwko, zamilkli. Kuflowi powracał smak piwa Hirsch - Lager Bier, jakie pijał w Kaliszu przed wojną. Odganiając natrętne wspomnienia, wrócił do sprawy.

- Mówiłeś mi, że w pilotce znaleziono blond włos, którego nikomu nie można przyporządkować. Być może będzie to ślad, który poprowadzi nas dalej.

- W jaki sposób? Musielibyśmy wiedzieć, jakie włosy miał ten nasz sprawca. - Porucznik zamilkł, zamyślił się głęboko i szeroko uśmiechnięty kontynuował: - Wiem! Wiem, przecież ta kobieta go widziała.

- Nie tylko ona, Lesiu. Nie tylko. Toż sam mówiłeś, że do pociągu będącego już w biegu wskoczył człowiek, co do którego nie wiemy, czy miał na sobie kaptur. Założmy, że nie miał. Ktoś go musiał w pociągu widzieć. Ja nawet wiem, kto mógł go widzieć i potrafi go opisać.

- Kto? - chciał wiedzieć porucznik.

- Konduktor, Lesiu. Konduktor. Jego musisz odnaleźć i przesłuchać.

- Myślę, że trzeba będzie także popytać ludzi dojeżdżających z Cigacic do Zielonej Góry. Może czegoś się dowiem.

- Słusznie, Lesiu, słusznie. Gdybyś tam znalazł jakiś ślad, to może... - i Kufel zamilkł z piwem przy ustach.

- Rozwiązania przypadku nam to nie da, ale z pewnością może ukierunkować dochodzenie. Mam jeszcze parę innych zasadniczych pytań - monologował porucznik.

Kufel popatrzył na niego z zainteresowaniem, a ten mówił dalej:

- Nijak nie mogę znaleźć odpowiedzi na pytanie, co skłoniło Podjemskiego do tak wczesnego lotu, i to wbrew regulaminowi? Nie wiadomo także, dlaczego samolot wylądował w Klenicy.

- To dobre pytanie. Gdyby działał pod przymusem, próbowaliby zwrócić uwagę strażnika na taką sytuację. Byłby zdenerwowany i nieswój. Zatem wykluczamy tymczasem przymus. Upraszczając, odpowiedziałbym: pieniądze albo kobieta. Z kobietą chyba nie był umówiony, gdyż zabił go mężczyzna.

- Nawet tego nie jesteśmy pewni - przerwał Łopatowicz wywody dawnego śledczego. - Mogła to być kobieta przebrana za mężczyznę.

- W świetle znanych nam faktów to mało prawdopodobne. Dlatego sądzę, że w grę mogły wchodzić pieniądze.

- A powody ideologiczne? - oponował porucznik.

- Podjemski? Nie wierzę. Przecież to człowiek partii.

4 sierpnia 1958, poniedziałek

Konduktor i inni opisują domniemanego sprawcę

Pierwszą rzeczą, jaką porucznik Łopatowicz zrobił w poniedziałek po przyjeździe na komendę, był telefon do PKP. Wcale nie było tak łatwo ustalić, kto kiedy obsługiwał poranny pociąg Leszno - Sulechów. W końcu wyszło na to, że dwudziestego siódmego czerwca służbę pełnił konduktor Andrzej Kogut, mieszkający w Sulechowie. Porucznik postanowił osobiście pojechać tym porannym pociągiem. Upewnił się przedtem co do konduktora. W środę o świcie kierowca zawiózł go na stację w Klenicy. Był po cywilnemu, ale poznał go naczelnik Wydra, pozdrowił i znacząco mrugnął.

Wsiadł bez biletu do pustego przedziału drugiej klasy. Kiedy pociąg ruszył, poprzez stukot kół przebijał się prawie krzykliwy głos:

- Kto z państwa posiada jeszcze „bez biletu”?

Porucznik uśmiechnął się. „Dowcipny jakiś ten Andrzej Kogut”. Za chwilę konduktor pojawił w otwartych drzwiach przedziału.

- Bilecik do kontroli proszę.

- Nie posiadam. Poproszę do Cigacic - zwrócił się do konduktora. Po zapłaceniu pokazał mu swoją legitymację.

- O co chodzi? - odezwał się z lekka nerwowo Kogut.

- Nic takiego - rzekł uprzejmie Łopatowicz. - Chodzi o czwartkowy poranek, to znaczy dwudziestego siódmego czerwca. To morderstwo w Klenicy. Przypomina pan sobie?

- Niestety każdego dnia pracy nie pamiętam. Wiem tylko, że miałem służbę w tym dniu, kiedy w Klenicy wylądował ten uprowadzony samolot.

- No właśnie tego dnia dotyczą moje pytania. Przypomina pan sobie może człowieka, który wskoczył do jadącego już pociągu?

- No tak, kupował u mnie bilet.
- Dokąd? - dociekał porucznik.
- Do Sulechowa, jeśli dobrze pamiętam - odparł konduktor.

- I rzeczywiście wysiadł w Sulechowie?

- Nie. On wysiadł w Cigacicach. Wiem to na pewno.

- A jak wyglądał ten gość?

Konduktor przez chwilę się zastanawiał.

- Niech pan wstanie. - Podszedł do porucznika i spojrzał w górę. - Był większy od pana. Jemu sięgałem do ramion.

- Jak był ubrany, jakie miał włosy? - rzucił porucznik pytaniami w obawie, że konduktor na przesłuchanie w pociągu nie ma czasu.

- Był w brązowej kurtce. Podszewka chyba jakaś zielonkawa. Widziałem, kiedy sięgał do kieszeni po pieniądze.

- A włosy? - dociekał niecierpliwie porucznik.

- Włosy? - Konduktor namyślał się chwilę. - On był taki pół na pół. Z przodu łysy, z tyłu plereza blond włosów. - Konduktor popatrzył na zegarek i krótko stwierdził: - Przepraszam, mam stację. - Po czym opuścił przedział.

Łopatowicz wysiadł w Cigacicach. Konduktora jeszcze zapytał:

- Przepraszam! Ostatnie pytanie: jakiego wzrostu pan jest? Pociąg ruszał. Konduktor wskoczył na stopień i odkrzyknął mu: „metr sześćdziesiąt pięć”, potem pomachał ręką i wszedł do wagonu.

Przystanek PKS znajdował się niecały kilometr od stacji kolejowej, tuż przed mostem na Odrze. Porucznik poszedł tam z innymi. Już po drodze zagadywał niektóre osoby, pytając, czy do Zielonej jadą PKS-em. Wszyscy potakiwali. Do przyjazdu autobusu było jeszcze jakieś piętnaście minut. Przeto czasu starczyło na parę pytań. Jako pierwszą postanowił zapytać miłą panią w średnim wieku. Kobiety są bardziej spostrzegawcze. Widzą szczegóły, których mężczyźni nie zauważają.

- Przepraszam panią - odezwał się dyskretnie - jestem z milicji i mam do pani pytanie.

- Z milicji? Do mnie? - odezwała się poddenerwowana kobieta.

- Tak. Ale to nic strasznego. Chciałem tylko zapytać, czy pani pod koniec czerwca także stąd dojeżdżała pekaesem?

- Tak. Urlop miałam na początku czerwca.

- Może pamięta pani, czy w czwartek, dwudziestego siódmego czerwca, tym autobusem do Zielonej Góry jechał taki wysoki, łysawy blondyn w brązowej kurtce.

- Nie wiem, czy to akurat był czwartek, ale takiego mężczyznę sobie przypominam. Był jakby trochę inny. Nie miał biletu miesięcznego, jak większość z nas. Bilet brał u konduktorki.

- Może zauważyła pani także, czy trzymał coś w ręce?

- Zdaje się, że miał aktówkę. Pomyślałam, że nowy jakiś.

- To wszystko. Dziękuję pani - rzekł porucznik do kobiety.

Następnego dnia Leszek Łopatowicz ponownie pojechał do Klenicy. Był tam umówiony z plutonowym, z którym poszli do Elżbiety Sulek. To ona wcześniej zeznawała, że przyjrzała się eleganckiemu przybyszowi, który chodził po klenickich łąkach.

- Powiedziała pani, że mogłaby pani opisać tego gościa, który kilkanaście miesięcy temu spacerował po wale i łąkach oraz zaglądał do rowu.

- Tak. Z grubsza mogłabym to chyba zrobić.

- Proszę go nam opisać - powiedział porucznik, przyjmując życzliwy wyraz twarzy.

- No, gościu był w szarym garniturze w drobną krateczkę. Miał na sobie brązowe pantofle, takie ładne, błyszczące. Był wyższy od pana.

- Ile lat mógł mieć? - dopytywał się porucznik.

- Bo ja wiem. Siwych włosów nie miał, był łysawym blondynem. Miał chyba koło pięćdziesiątki.

- Te włosy to były przystrzyżone czy długie?

- Był elegancko ostrzyżony. Taki elegancik, wie pan.
- A oczy? Pamięta pani jego oczy?
- Nie zaglądałam mu w oczy - odrzekła pani Sulek - ale czarnych nie miał. Zauważyłabym to.
- Dlaczego by pani to zauważyła?
- Bo podobają mi się blondyni o ciemnych oczach - odparła filuternie.
- Czy jego samochód też pani widziała?
- Nie, jego auta nie widziałam, ale niedawno mówił mi listonosz, że na drodze do pałacu widział wtedy trombanta, czy jakoś tam.
- Gdzie znajdziemy tego listonosza?
- Niedawno chodził po naszej ulicy. Pewnie jest tu gdzieś niedaleko.

Rzeczywiście. Milicjanci zauważyli rower z torbą oparty o płot którejś posesji. Za chwilę pojawił się listonosz.

- Mamy do pana parę pytań - zwrócił się do niego porucznik.

- Do mnie? - zapytał z lekka zaniepokojony doręczyciel.
- Spokojnie, nic takiego. Chcielibyśmy tylko wiedzieć, czy rzeczywiście widział pan, jakieś półtora roku temu, trabanta tego gościa spacerującego po wale, o którym się ostatnio sporo mówiło. Powiedział pan to pani Sulkowej.

- Tak, faktycznie widziałem trabanta sześćset. Zwróciłem nawet na niego uwagę, bo miał duży owalny znaczek „DDR”, białe tablice rejestracyjne i stał przy drodze do pałacu. Na swojego uwagi się nie zwraca. Zresztą u nas chyba nikt jeszcze trabanta nie ma.

- Pamięta pan może coś więcej? Na przykład kolor nadwozia, numer rejestracyjny, czy też coś specjalnego, jak franeczkę, kité na antenie, albo coś podobnego?

- Auto było bladoniebieskie albo szare. Tego naprawdę nie wiem. Tak mi się zdaje. A rejestracji nie zapamiętałem. Przypominam sobie jednak, że pierwsze litery były takie same, jak dla Zielonej Góry: ZH, a może ZE - odpowiedział listonosz po namyśle.

- Zielonogórska rejestracja zaczyna się od ZA. Ale i tak nam pan bardzo pomógł. Dziękujemy.

Plutonowy Kisielewski spisał się na medal. Teraz w oparciu o własne notatki i sprawozdanie plutonowego porucznik Łopatowicz mógł opracować pierwszy sensowny raport, który zakończył następującym podsumowaniem:

W wyniku dotychczasowego dochodzenia możemy z dużą pewnością opisać sprawcę morderstwa dokonanego na Stanisławie Podjemskim. Jawi się on nam jako wysoki (przynajmniej 190 cm) mężczyzna, w wieku między 40 a 50 lat. Kolor oczu: nieznany (jak zeznała świadek Elżbieta Sulek, nie miał czarnych oczu). Ostatnio widziano go z dużą łysiną czołową i plerezą blond włosów z tyłu głowy. W dniu morderstwa, na łące podejrzany widziany był w ciemnej (ciemnozielonej albo granatowej) kurtce z kapturem, który miał nasunięty na głowę. Później w pociągu widziano go w kurtce brązowej, bez kaptura. Z zeznania konduktora wynika, że podszewka kurtki była ciemnozielona. Można z tego wywnioskować, że podejrzany dysponował kurtką dwustronną z odczepianym kapturem. Należy przyjąć, że zanim opuścił miejsce przestępstwa, obrócił kurtkę i odczepił kaptur w krzakach leszczyny. Niestety tej części garderoby nie znaleźliśmy. Być może zabrał go ze sobą w teczkę, którą miał przy sobie.

Podejrzany udał się pociągiem do Cigacic, a stamtąd PKS-em do Zielonej Góry.

Jeśli założymy, że to ten sam człowiek, którego kleniczanie widzieli kilkanaście miesięcy temu, kiedy przechadzał się po wale przeciwpowodziowym i po łące, to dochodzimy do wniosku, że to obywatel NRD, gdyż do Klenicy przyjechał szarym lub szaroniebieskim trabantem 600 o enerdowskiej rejestracji, zaczynającej się od ZH lub ZE. Wychodząc z tego założenia i przyjmując, że autobusem PKS podejrzany pojechał do Zielonej Góry, należałoby sprawdzić czy jacyś obywatele NRD nocowali w zielonogórskich hotelach, a także rozpoznać, czy

w dniach między 26 i 29 czerwca widziano dłużej parkujące szaroniebieskie samochody marki trabant z enerdowską rejestracją.

W środę szóstego sierpnia na odprawie u kapitana Bargiela pojawili się jeszcze jacyś dwaj cywile. Łopatowicz ich nie znał. Podejrzywał, że są z bezpieki.

- Przeczytałem wasz raport, poruczniku, i zdecydowałem zaprosić na naszą odprawę towarzyszy z SB. Doszliśmy do wniosku, że to całe zdarzenie ma podłoże polityczne.

- Polityczne, dlaczego? - zdziwił się Łopatowicz.

- Dlatego, że u nas zginął towarzysz Podjemski, działacz ZMP, i dlatego, że domniemanym sprawcą jest obywatel NRD, którego podejrzewamy o próbę uprowadzenia samolotu - podjął temat jeden z „bezpieczników”.

- Nie znamy jeszcze związku między morderstwem Podjemskiego a uprowadzeniem - kontynuował ten drugi.

- Jak to? - odezwał się kapitan Bargiel. - Zginął, ponieważ uniemożliwił uprowadzenie.

- Tak, to jest najprostsza odpowiedź. Ale my uważamy, że w tym wszystkim może kryć się coś głębszego. Trzeba to jeszcze sprawdzić.

- Widzicie, myśmy wczoraj przesłuchali pracowników hoteli i okazało się, że „Pod Orłem” nocowało trzech obywateli NRD. Był tam Harry Melbruch z Magdeburga, Jürgen Halbich z Karl-Marx-Stadt i Herman Winkler z Peitz - informował ten pierwszy esbek, zaglądając do notatnika. - Z wyglądu co najmniej dwóch pasuje do opisu sprawcy sporządzonego przez porucznika Łopatowicza.

- A łysy blondyn? A kurtka brązowa? - wtrącił się porucznik.

- Nic takiego nie zauważono, albo nikt się im nie przyglądał, ale i tak dojdziemy do niego - odparł esbek i spojrzał na kolegę.

- Na parkingu naprzeciwko „Orła” faktycznie stał trabant 600 z enerdowską rejestracją ZH-1729. Nie

możliśmy jednak sprawdzić, czy należał do któregoś z tych dedeerowców - uzupełnił ten drugi.

- Dlatego zwrócimy się do towarzyszy ze enerdowskiego *Statssicheheitsdientu*. Rejestracja zaczynająca się na Z występuje w NRD w okręgu Cottbus. Jeżeli uda im się zidentyfikować właściciela tego auta, a jego nazwisko znajduje się wśród tych wymienionych, to go mamy.

- Chcieliście powiedzieć, że mamy nazwisko sprawcy. Niestety, jego samego nie mamy. To w NRD zdecydują, co dalej - zauważył roztropnie kapitan Bargiel. - Tymczasem, poruczniku, nie ma już dla pana roboty. Na tym koniec.

9 września 1958, czwartek

STASI - Zarząd Okręgu Cottbus

Oho! Znowu towarzysze z polskiej służby bezpieczeństwa potrzebują naszej pomocy - pomyślał podpułkownik Albin Tegtmüller, trzymając w ręku tłumaczenie listu z zielonogórskiej bezpieki. W piśmie przewodnim z Ministerstwa⁴⁶ polecono wszelką korespondencję z towarzyszami polskimi załatwiać drogą służbową, to znaczy za pośrednictwem centrali. Oznaczało to także, że wynik ewentualnego dochodzenia w poszczególnych sprawach otrzymają szefowie okręgów.

Podpułkownik Tegtmüller podniósł słuchawkę bezpośredniego telefonu do swojego zastępcy i rzekł:

- Heinz, wpadnij zaraz do mnie. Mam tu sprawę związaną z Polską. Musimy się tym zająć.

Za parę minut do gabinetu wszedł major Heinz Grubner, który przyjmując postawę zasadniczą, popatrzył pytająco na szefa.

- Dobra, dobra. Siadaj i słuchaj. Z Polski przyszło pismo, w którym Służba Bezpieczeństwa z Zielonej Góry prosi o pomoc. Chodzi o to, że kilka tygodni temu został tam zastrzelony członek zarządu ZMP, pilot sportowy i dobry komunista. Podejrzewa się, że sprawcą jest obywatel NRD, któremu przeszkodzono w uprowadzeniu samolotu. W okresie, w którym miało dojść do tego przestępstwa, w zielonogórskim hotelu nocowało trzech obywateli NRD. Przed hotelem stał trabant z naszą rejestracją ZH-1729.

- Rzeczywiście, to z naszego okręgu. Z Guben chyba - przerwał Grubner szefowi.

- No właśnie. Dlatego trafiło to do nas. Polacy podali nazwiska naszych obywateli. Są to Harry Melbruch z Magdeburga, Jürgen Halbich z Karl-Marx-Stadt i Herman Winkler z Peitz. Nasze zadanie na początek polega na

sprawdzeniu, czy ten Winkler rzeczywiście ma trabanta z tą rejestracją i czy mógł cokolwiek mieć z tym wspólnego. A tak w ogóle, trzeba gościa prześwietlić. Warto także przyjrzeć się tym innym.

- Zajmą się nimi chyba nasi koledzy z Karl-Marx-Stadt i z Magdeburga.

- Oczywiście - rzekł Tegtmüller - ale musimy być z nimi w kontakcie.

Major Grubner opuścił gabinet szefa i natychmiast uruchomił swoich ludzi. Za dwa dni pierwszy meldunek miał na biurku:

Właścicielem trabanta 600 koloru szaroniebieskiego o numerach rejestracyjnych ZH-1729 jest Herman Winkler, zamieszkały w Peitz przy Ahornweg 12.

Ob. Herman Winkler ur. 17.VII.1911 w Zeuthen. Po maturze zdobył wykształcenie archiwisty. W 1941 zatrudniony został w zakładach Richtberg AG. Do 1944 roku firma ta, produkująca przedmioty o znaczeniu strategicznym, odradzała jego pójście na front. Z niewoli radzieckiej powrócił w 1949 roku. Tam poznał rosyjski i pewne działy techniki lotniczej (pracował przy remontach dwupłatowców Po-2).

Towarzysz Winkler jest członkiem SED i zaufanym członkiem GST⁴⁷. Z ramienia tej organizacji prowadzi szkolenia lotnicze w Aeroklubie Cottbus.

Winkler ma doskonałe kontakty z jednostkami radzieckimi stacjonującymi w naszym regionie. W ramach wymiany był wielokrotnie w ZSRR.

Major odłożył papier. Z zielonej paczki z napisem „Turf“ wyjął papierosa. Zapalił go i z lubością głęboko się zaciągnął. Odchyliwszy się na krześle, popatrzył na sufit, wydychając kółka z dymu. Skoncentrował się na meldunku. Skończył palić i udał się do szefa.

- Chyba mamy problem - powiedział Grubner. - Ten Winkler to nie byle kto - westchnął i z przyzwyczajenia

sięgnął po papieros, ale niepalący Tegtmüller powstrzymał go wzrokiem.

- Mów dalej - mruknął tylko.

Grubner podał szefowi kartkę z meldunkiem. Ten przeleciał treść i rzekł:

- Faktycznie, ruszyć go będzie trudno, chociaż wiele wskazuje na to, że jest tym poszukiwanym przez Polaków. To jednak wcale nie znaczy, że on zastrzelił tego pilota i działacza.

- Co robimy? - odezwał się zafrasowany major.

- Proponuję dyskretnie się nim zająć. Musimy sprawdzić, czy to możliwe, żeby on w Polsce kogoś zastrzelił.

- Ale przesłuchać chyba go trzeba - zareagował Grubner.

- Tak, ale po cichu - nakazał podpułkownik.

Dwunastego września do drzwi mieszkania w Peitz przy Ahornweg dwanaście zadzwoniło dwóch pracowników enerdowskiej bezpieki. Byli niezwykle uprzejmi. Przedstawili się postawnemu, łysiejącemu mężczyźnie, o krótko przystrzyżonych resztkach blond włosów.

- Czy to pan jest Hermanem Winklerem?

- Tak, to ja. Proszę wejść. O co chodzi?

- Mamy do pana kilka pytań - odpowiedział jeden z nich.

- Proszę. O co chodzi? - zapytał Winkler.

- Czy pan ostatnio wyjeżdżał samochodem do Polski?

- Tak byłem w Polsce, w Zielonej Górze kilka tygodni temu.

- Mógłby pan nam powiedzieć, jaki był cel tego wyjazdu?

- dociekał jeden z agentów, kiedy ten drugi ciekawie rozglądał się po salonie, w którym się znajdowali.

- Nostalgia, wspomnienia - odparł Winkler, dyskretnie się uśmiechając.

- Nie rozumiem? - zareagował agent.

- To już historia. Do 1944 roku pracowałem w zakładach Richtberga jako archiwista. Richtbergowie byli właścicielami pałacu myśliwskiego w Klenicy. Często tam

bywałem, a moje pobyty w Klenicy wiążą się z bardzo przyjemnymi wspomnieniami. To wszystko.

- Czyli przyznaje pan, że był w Klenicy.

- Tak, oczywiście. Przecież, to był cel mojej podróży do Polski.

Jeszcze tego samego dnia do STASI okręgu Cottbus przyszedł z ministerstwa teleks:

Natychmiast zaprzestać dochodzenia związanego z Hermanem Winklerem. Podpis: Zastępca szefa Głównego Zarządu Wywiadu, Robert Korb, podpułkownik.

- Korb!?! Nic tylko działanie KGB. To i dobrze - pomyślał podpułkownik Tegtmüller i chwycił za telefon do zastępcy. - Heinz, wpadnij zaraz.

- Coś nowego, szefie?

Tegtmüller milcząco podał mu wydruk teleksu.

- O cholera! Tego się nie spodziewałem. Myślałem, że ten kontakt ze stacjonującymi w NRD oficerami radzieckimi to wódeczka, jakieś rozrywki, a tu... - nie dokończył. Znacząco popatrzył na szefa. - No i mamy go z głowy. Polakom odpowie ministerstwo.

17 października 1958, piątek

Seppel wkracza do akcji

Major Seppel przypadkowo rzucił okiem na teleks leżący na biurku szefa. Sam nie zajmował się tymi sprawami. On odpowiadał za akcje w RFN i za funkcjonowanie tam agentów STASI. Ale nazwisko Herman Winkler nakazywało mu powrócić w myślach do tej klenickiej sprawy. Dyskretne przeszukanie strychu i piwnicy Hundta nie było możliwe. Za wielkie ryzyko. W razie wpadki tłumaczenie tego zainteresowania Hundtem sabotowaniem zachodniemieckiej policji mogłoby nie być dostatecznie przekonujące. Nadto Seppel uważał, że Hundt – doświadczony policjant, mógł wychodzić z założenia, że skoro po latach ktoś u niego czegoś szukał, to nie można wykluczyć mordercy Burchela. A wobec tego zamknął ten swój notes i inne dawne dokumenty w służbowej szafie pancерnej. A tam można by się dostać tylko ze znacznym zaangażowaniem. Wtedy odstąpił od pomysłu penetrowania tej sprawy.

Teraz nagle pojawiło się to nazwisko. Pamiętał je. To był człowiek tego producenta podkładów kolejowych i słupów trakcji elektrycznej. Tego Richtberga, do którego należał pałac myśliwski po Radziwiłłach. Czyżby Winkler działał na jego polecenie? Seppel łatwo doszedł do informacji, że od 1948 roku zakład Richtberga mieścił się w Bingen nad Renem i że stary Richtberg zmarł w 1956. Teraz jest tam szefem jego syn. Czyżby ten miał coś wspólnego z Winklerem?

Tymczasem nieoficjalnie usiłował się czegoś dowiedzieć o Hermanie Winklerze. Z teleksu wiedział tylko, że natychmiast należało zaprzestać dochodzenia związanego z Winklerem.

I znowu pomógł przypadek. Właściwie było już po odprawie kierowników sekcji zarządu okręgowego STASI w Karl-Marx-Stadt. Siedzieli w gabinecie szefa przy lampce gruzińskiego koniaku i rozmawiali o ostatnich wynikach piłkarzy z Motor West Karl-Marx-Stadt. Zadzwoił telefon.

- Tak. Łączyć - rzucił szef do słuchawki.

Sekretariat połączył. Szef podjął rozmowę.

- Tak, osobiście, towarzyszu pułkowniku. Oczywiście sprawdziliśmy. Jürgen Halbich rzeczywiście odbył prywatną podróż do Zielonej Góry. Ma tam rodzinę. U nas jest bez zarzutu.

Przez chwilę szef słuchał i zdawkowo rzucał: tak, tak. Po chwili rzekł do słuchawki:

- I podejrzewacie, że to jednak on. - Przerwał, ale zaraz podjął rozmowę. - Niestety, też mam ten teleks. Muszą sami odpowiedzieć Polakom. Do usłyszenia.

Seppel nie miał już wątpliwości. To Winklera Polacy podejrzewają o morderstwo, ale ten jest nietykalny z uwagi na kontakty z KGB. Z powrotem u siebie w biurze zadumał się. Jednak coś w tym jest. Winkler dobrze pasuje do tej historii sprzed lat. Szkoda, że nie mamy notesu tego Hundta. Wiedzielibyśmy więcej. A tak, to nic, tylko trzeba się skontaktować z tym Winklerem.

Parę dni później, wieczorową porą w Peitz, przed domem przy Ahornweg 12, zatrzymał się biało-czerwony coupé P70 z rejestracją XP 67-50. Wysiadł z niego około pięćdziesięcioletni cywil. Zanim zatrzasnął drzwi auta, sięgnął po kapelusz. Rozejrzał się i zdecydowanym krokiem udał się do drzwi domu. Nacisnął przycisk dzwonka. Rozległ się gong. Minutę później drzwi otworzył Herman Winkler. Zmierzył przybysza nerwowym wzrokiem i odezwał się mało uprzejmie:

- Czym mogę służyć?

- A może pan, może - odparł przybysz, błysnąwszy mosiężnym identyfikatorem STASI. - Czy pan Winkler? Herman Winkler?

- Tak, to ja. Czego znowu chcecie?

- Czy mam głośno powiedzieć, o co chodzi, czy woli mnie pan wpuścić do mieszkania?

Winkler rozejrzał się nerwowo. Było spokojnie. U sąsiadów z lewej świeciło się światło a naprzeciw było ciemno. Tych z prawej nie było. Wyjechali.

- Proszę, niech pan wejdzie - powiedział Winkler. - Proszę pokazać legitymację.

- Seppel jestem. - Przybysz pokazał legitymację, nie wypuszczając jej z rąk. - Jestem tu dzisiaj raczej prywatnie.

Zaskoczony Winkler popatrzył na gościa, który udając się do salonu, w przedpokoju odłożył kapelusz. Usiadł na jednym z dwóch foteli.

- O co chodzi, panie majorze? - zapytał przybysza.

- Wiem, kim pan jest, jakie pan ma związki i z kim. Wiem, że ostatnio był pan w Polsce. Na ten temat chciałem z panem porozmawiać.

- Ze mną o tym już rozmawiano - odparł Winkler, odzyskując pewność siebie. - Zapewniano mnie, że temat ten jest zakończony. Powinien pan o tym wiedzieć, panie Seppel - rzekł z naciskiem.

- Wiem, wiem panie Winkler. Ale ze mną pan porozmawia. Ja wiem znacznie więcej niż tutejsi koledzy i pana protektorzy z KGB. To ja swego czasu, w czterdziestym drugim, prowadziłem w Klenicy śledztwo, kiedy niespodziewanie zniknął niejaki Albert Burchel - odpowiedział Seppel, przyglądając się wnikliwie lekko pobladłemu Winklerowi, którego oddech nieznacznie przyspieszył, co nie uszło uwadze majora.

- Cóż takiego pan wie? - Winkler uśmiechnął się nerwowo.

- Wie pan, terażniejszość mnie nie interesuje. Ale ja wiem, co nieco o pańskiej przeszłości - zablefował Seppel, wbijając oczy w rozmówcę.

- Taak? A co na przykład?

- No, może coś na temat pana związku ze zniknięciem tego Burchela.

- Jakiego Burchela? Ja nie mam z tym nic wspólnego - zareagował Winkler emocjonalnie.

- Zna pan stare powiedzenie „przestępca wraca na miejsce zbrodni”? - kontynuował Seppel spokojnie.

- Znam, tylko co to ma wspólnego ze mną?

- Wie pan, mnie nie interesuje, jak pan to zrobił i inne okoliczności tamtego zdarzenia, ja chcę wiedzieć dlaczego? - blefował dalej major Seppel.

- Co dlaczego? O czym pan mówi? - zapytał nerwowo Winkler.

- Na przykład o zagadkowym zniknięciu tego pana na B i jego tajemnicy, wie pan? A może to ma coś wspólnego z przenoszeniem archiwum w 1942 roku?

Winkler siedział na fotelu naprzeciwko Rudolfa Seppla. Siedział, jakby powietrze z niego wyszło. Był blady. Na czoło wystąpiły mu kropelki potu. Wytarł je wierzchem dłoni. Nie uszło to uwadze majora. Już wiedział: mam go, teraz trzeba z niego wycisnąć więcej.

- Można sobie wyobrazić, co by było, gdyby cała prawda wyszła na wierzch. Sądzę, że nawet pana przyjaciele z KGB nie byliby w stanie pana wybronić. Tymczasem ja chcę panu pomóc. Oczywiście muszę coś z tego mieć.

- Kim pan jest, panie majorze? Czego pan naprawdę chce? - odezwał się w końcu Winkler łamiącym się głosem.

- Proszę pana. Jak już wspomniałem, to ja przejąłem wtedy w 1942 sprawę zaginionego Burchela od porucznika Hundta, inspektora zielonogórskiej policji. Dostałem od niego sprawę mocno zaawansowaną. Już wtedy byliśmy na pana tropie.

- To pan w czterdziestym drugim był w policji? - zapytał z niedowierzaniem Winkler.

- A tak, byłem wówczas *Hauptsturmführerem* w *Staatspolizeileitstelle Liegnitz*. Z uwagi na powiązania Radziwiłłów z Polską i ze względu na strategiczne

znaczenie zakładów Richtberga, przejęliśmy sprawę nagłego zniknięcia Burchela - wywodził pewny siebie Seppel.

- To jak ktoś taki trafił do STASI? - zaatakował Winkler.

- Proszę pana! Pewnie miałem lepsze poparcie niż pan i widocznie naszemu ministerstwu nadal jestem bardzo potrzebny. Wróćmy jednak do sprawy. Oferuję panu bezpieczeństwo i pomoc, ale pod pewnymi warunkami.

- Tak? O jakich warunkach pan mówi?

- Jeżeli wejdę z panem w układ, to muszę mieć gwarancje - ze spokojem mówił Seppel.

- Gwarancje? Jakie gwarancje, na co?

- Widzi pan, ja nie chciałbym ryzykować, aby podejrzewano mnie o związek z pańskimi morderstwami. Ani z tym z czterdziestego drugiego, ani z tym ostatnio w Polsce. Uchroniłoby mnie od tego pana zeznanie na piśmie. Oczywiście szczerze. W zamian udzielę panu wszechstronnej pomocy w poszukiwaniu tego, czego pan tak uporczywie szuka - powiedział Seppel, mrugając znacząco. - Rozumie się, że liczę na pewne korzyści - dodał, uśmiechając się porozumiewawczo.

- A co pan już wie? - zapytał niepewnie Herman Winkler.

Major Rudolf Seppel parsknął śmiechem, po czym wbił wzrok w swojego vis-à-vis i rzekł:

- Pan sobie żartuje? Jakże bym miał sprawdzić pana szczerłość, gdybym panu ujawnił wszystko, co wiem?

- A o jakiej pomocy pan mówi?

- No cóż, zapewnię panu bezpieczeństwo i pomoc organizacyjną. Proszę pamiętać, że my w STASI ściśle współpracujemy z polską Służbą Bezpieczeństwa - łągał Seppel.

- Mam jeszcze jedno pytanie. Kiedy mianowicie można by przeprowadzić akcję - zapytał Winkler, pogodzony z faktem pojawienia się współnika.

- Trzeba trochę poczekać. Sprawa musi przyschnąć. Ze swej strony proponuję zadziałać wiosną przyszłego roku.

Zorganizujemy to tak, że nikt tego z panem nie powiąże. A do tej pory pan dostarczy mi to zeznanie.

Miesiąc później major Rudolf Seppel trzymał w ręku plik gęsto zapisanych kartek. Czytał je łapczywie. Kiedy skończył, z satysfakcją stwierdził: „Jednak chodzi o złoto. Ponad dziewięć kilo złota”. Rozmarzony odchylił się na fotelu. Na dworze się ściemniło. Major włożył kartki do szarej koperty formatu A4, zalakował ją, napisał na niej „Winkler” i umieścił w swojej szafie pancерnej.

Część VI

27 października 1958, poniedziałek

Ludzkie szczątki w rowie

Parę minut po dziesiątej w pokoju porucznika Łopatowicza ostro zadzwieczał wewnętrzny telefon. Porucznik akurat sporządzał statystykę drobnych przestępstw w województwie zielonogórskim za pierwsze półrocze 1958. Zanim podniósł słuchawkę, spojrzął z niechęcią na aparat, przez który zwykle komunikował się z nim szef. Czego on znowu chce? - mruknął sam do siebie.

- Słucham! Porucznik Łopatowicz - rzucił do słuchawki.

- Panie poruczniku, szef chce pana natychmiast widzieć - usłyszał głos sekretarki.

- Tak jest, już idę - zareagował na pół służbiście.

Zabrał z biurka kołnотatnik i udał się piętro wyżej do gabinetu majora Bargiela, który dwadzieścia dni temu dostał awans. Sekretarka, pani Halina zachęcająco kiwnęła ręką, wskazując głową na drzwi gabinetu.

- Siadaj - rzekł major do przybysza. Od kiedy awansował, już tylko tak odzywał się do większości podwładnych, uważając zapewne, że upoważnił go do tego świeżo nabyty służbowy dystans. - Jedziesz znowu do Klenicy. Na dole czeka samochód. Zbierz ekipę i ruszaj.

Łopatowicz spojrzął na szefa pytająco.

- Niemcy się odezwali? Mamy jeszcze coś sprawdzić, czy uzupełnić? - odezwał się porucznik, łącząc nazwę miejscowości z niedawnym śledztwem.

- Nie, nie. To zupełnie inna sprawa. Otóż w trakcie prac melioracyjnych znaleziono w rowie szkielet człowieka, prawdopodobnie mężczyzny, wraz z resztkami ubrania. Trzeba się tym zająć.

- Gdzie? Znowu w Klenicy?

- Tak. Miejsce jest zabezpieczone przez posterunek w Bojadłach. Pewnie będzie tam także ktoś z powiatówki.

To oni nas powiadomili.

- Czy to znaczy, że to ja mam kierować dochodzeniem? - upewnił się Łopatowicz.

- Tak. Oczywiście, poruczniku. Jutro zdasz mi relację, gdyż komendant oczekuje od mnie informacji na piśmie.

Za godzinę byli już na miejscu. Jak parę miesięcy temu, zaparkowali na drodze, przy jednej z topoli. Wysoko na niebie szara warstwa chmur nie przepuszczała słońca. Ale nie padało. To miejsce przy rowie od razu zauważyli. To chyba tam znaleziono Podjemskiego - rzucił ktoś. Szli na skos po łące, która mimo drugiego pokosu zieleniła się miejscami świeżymi odrostami traw. Tuż przy rowie koło jakiegoś sprzętu stało kilkoro ludzi. Gapiów w pobliżu nie było. O porządek zadbał znany porucznikowi plutonowy Kisielewski. Nieopodal, na wale stało paru ludzi, ale tym razem milicji to nie interesowało. Łopatowicz rzucił okiem na wystające z wody ludzkie szczątki. Podporucznika Korbiela z komendy powiatowej także już znał. To do niego się zwrócił:

- Jak to znaleziono? Proszę to opisać od początku.

- Zadzwonili do nas z Bojadeł. Podczas prac melioracyjnych jeden pracowników hakowymi widłami zaczepił o coś. Najpierw wyciągnął kamień, a potem fragment kośćca. Najpierw myślano, że to szkielet zwierzęcia. Ale kiedy brygadzysta zobaczył przeświecające przez warstwy mułu fragmenty ludzkiej czaszki, powiadomiono milicję.

- To wyście odkryli ten szkielet? - zwrócił się Łopatowicz do opartego o czerpak koparki pracownika.

- Ano ja - odparł niewysoki mężczyzna w przybrudzonej drelichu, nerwowo pociągając przyklejonego do ust sporta⁴⁸.

- Jak to było? - chciał wiedzieć porucznik.

- Jak zwykle po wykoszeniu brzegów rowu, wyciągamy widłami hakowymi stare, korzeniące się wodorosty oraz

zgniłe trawy. Niekiedy podgniłe gałęzie albo przedmioty wrzucone do rowu przez ludzi. Czerpakiem pracujemy tylko w przypadku zatorów spowodowanych jakimiś korzeniami drzew, pniami, namuleniem lub innymi przeszkodami utrudniającymi przepływ wody. Kiedy wyciągnąłem ten kamień – robotnik wskazał na leżący obok głaz z zaschniętą już warstwą mułu – natrafiłem na opór. Pociągnąłem silniej i zobaczyłem jakieś kości i coś jakby szmatę. Chyba jakaś koza albo inne zwierzę, pomyślałem. Zawołałem brygadzystę. Wziął ode mnie haki i zaczął usuwać górne warstwy pływających w zamulonej wodzie wodorostów. I nagle zobaczyliśmy białą ludzką czaszkę. Zaraz zdecydowaliśmy zgłosić to na milicję.

Sierżant Cichoń ze swoją ekipą porobili zdjęcia i zabrali się do wydobywania szczątków z zamulonego rowu. Używali do tego wideł hakowych, wypożyczonych na tę okoliczność od meliorantów. Po jakimś czasie na rozścielonej na trawie płachcie znajdował się ludzki szkielet z zachowanymi fragmentami tkanek i resztkami ubrania. Łopatowicz zauważył, że wyciągnęli to z tego samego miejsca, gdzie były zwłoki Podjemskiego. Przypadek? – pomyślał porucznik. Obiecał sobie jeszcze raz przyjrzeć się zdjęciom z czerwca.

Nazajutrz w „Gazecie Zielonogórskiej” ukazała się notatka: *Sensacja! Podczas prac melioracyjnych na łąkach pod Klenicą znaleziono ludzkie szczątki, których stan wskazuje na to, że pochodzą z czasów wojny. Szkielet zabrano do poznańskiego laboratorium kryminalistycznego w celu przeprowadzenia autopsji.*

Klenickie „znalezisko” rzeczywiście zabrała karetka przybyła z Poznania. Stamtąd po jakimś czasie przysłano im protokół autopsyjny. Badania osteologiczne wykazały, że są to szczątki około sześćdziesięcioletniego mężczyzny o wzroście circa metr siedemdziesiąt pięć. Przyczyną zgonu był poważny uraz głowy – uszkodzenie powłoki powyżej „równika”, czyli szwu spoinowego na skorupie czaszki.

Jest to efekt jednoznacznie wskazujący na działanie obce. Bezpośrednią przyczyną zgonu był uraz czaszkowo-mózgowy, będący skutkiem działania czynnego narzędzia tępego, godzącego w okolicę czołową lewą. Biorąc po uwagę warunki, w jakich znaleziono szkielet, i ich stan w chwili znalezienia oceniono, że zwłoki przeleżały w rowie przynajmniej piętnaście do dwudziestu lat.

Żadnego dochodzenia nie było. Decyzję tę podjął major Bargiel już nazajutrz, po zapoznaniu się ze sprawozdaniem porucznika Łopatowicza.

- To niemiecki trup z czasów wojny. Nie nasze czasy, nie nasze dochodzenie.

- Ale miejsce dokładnie to samo, w którym znaleziono Podjemskiego. Porównałem zdjęcia - oponował Łopatowicz.

- No i co z tego? Przypadek, i tyle. Zajmij się innymi sprawami. Mamy sporo innych problemów.

Kiedy po paru tygodniach porucznik pojawił się u Bargiela z kopią protokołu autopsyjnego, ten niewzruszenie trwał przy swoim.

- Ale ja, szefie, widzę w tym wszystkim dziwną zbieżność. Jakiś typ z NRD łązi po łące i ogląda ten rów. Potem przyjeżdża i każe tamże, dokładnie w tym miejscu szukać czegoś pilotowi, którego potem zabija i znika. To przypadek?

- Oczywiście. A nawet jeżeli istnieje związek, to jest to niemiecki trup i nic nas to nie obchodzi. A tego enerdownca odnajdzie niewątpliwie STASI i może go nam przekażą. Zamknij sprawę i oddaj ją do archiwum. Zajmij się bieżącymi przypadkami - podsumował kategorycznie major Bargiel.

24 grudnia 1958, wigilia Bożego Narodzenia

Wspomnienia Kufła

Stefan Łopatowicz, ojciec Leszka postanowił na tradycyjnie puste wigilijne miejsce przy stole zaprosić swojego byłego kolegę, samotnego Alfonsa Ziębę, zwanego Kufłem, któremu na jesień zmarła żona. Najpierw tradycyjna kolacja wigilijna, potem drobne upominki i wreszcie oddanie się świątecznemu nastrojowi błogości. Ale jak to zwykle bywa, wcześniej czy później do rozmowy wciskają się sprawy zawodowe. Zwłaszcza że pani Zuzia Łopatowiczowa właśnie wyszła na pasterkę. Właściwie to zaczął Kufel:

- I co, Lesiu, złapałeś już mordercę tego pilota, zetempowca?

- Chyba żeśmy go zidentyfikowali, ale go nie mamy. Nasze służby wystąpiły z odpowiednią prośbą do NRD, a stamtąd do tej pory odpowiedzi brak.

- No, to sprawa tymczasem zamknięta. Pracujesz sobie bez stresu - odezwał się po chwili Kufel.

- Niby tak, ale ostatnio znowu pojawiło się coś związanego z tym rowem w Klenicy.

Kufel z zainteresowaniem skierował wzrok na Leszka Łopatowicza. Ojciec napełnił kolejny raz kieliszki, syna i swój.

- Parę tygodni temu znaleziono w tym rowie melioracyjnym szczątki ludzkie. W protokole autopsyjnym podano, że szkielet przeleżał tam ponad piętnaście lat i że to szczątki około sześćdziesięcioletniego mężczyzny, który zginął od uderzenia w głowę twardym przedmiotem. Mój szef polecił dochodzenie zamknąć, ale mnie męczy fakt, że ten szkielet z resztkami tkanek i ubrania znaleziono akurat w tym samym miejscu, w którym zastrzelono Podjemskiego.

- A kto znalazł te szczątki? Czy ktoś ich specjalnie szukał?

- Nie. To melioranci, przy udrażnianiu systemu irygacyjnego, natrafili na nie hakowymi widłami. Natychmiast nas wezwano. Szczątki przekazaliśmy do badań w Poznaniu.

- To ciekawe. - Kufel zamilkł, wziął łyk piwa i zadumał się. Po chwili zaczął mówić: - W 1947 roku, zaraz po moim przyjeździe do Zielonej Góry, dostałem od ówczesnego komendanta polecenie przejrzenia i uporządkowania papierów pozostałych po niemieckiej policji. Były one zdeponowane w kilku kartonach w piwnicy. Z oczywistych względów najpierw zainteresowały mnie sprawy kryminalne. Pamiętam, że w jednym z kartonów znalazłem teczkę z materiałami z dochodzenia dotyczącego właśnie klenickiego pałacu myśliwskiego Radziwiłłów. Poinformowałem o tym szefa. Początkowo go to nie interesowało, ale później poprosił mnie, aby mu przetłumaczyć znaleziony w tej teczce wstępny protokół czy raport z dochodzenia. Zrobiłem to. Nie wiem wprawdzie, co się później stało z tymi dokumentami, ale może mam gdzieś w swoich szpargałach z tamtych czasów brudnopis tego tłumaczenia. Wiem także, że dotyczyło to tajemniczego zniknięcia jednego z mieszkańców pałacu.

- Dlaczego ten komendant później chciał zapoznać się z tymi dokumentami? - zapytał Leszek Łopatowicz.

- Nie wiem. Sądzę, że musiało to mieć związek z zastrzelonym w klenickim lesie oficerem WiN, ponieważ okazało się, że był to syn bliskiego przyjaciela księcia Stanisława Radziwiłła, właściciela pałacu w Klenicy.

- Ty, Alku, byłeś przecież w to włączony. Pamiętam, że nawet wyjeżdżałeś w związku z tym do Warszawy - wtrącił się Stefan Łopatowicz.

- Tylko po to, by prywatnie przesłuchać tego pułkownika, ojca zastrzelonego w Klenicy oficera. Chciano dokładniej rozpracować WiN. Później wyłączono mnie z tego, bo to była sprawa polityczna - odparł Kufel. - Zajmowała się tym bezpieka.

- I co, rozmawiał pan z nim, z tym przyjacielem Radziwiłła?

- Tak oczywiście. - I znowu zagłębił się we wspomnienia:
- Przypominam sobie, że ten pułkownik wysłał ponoć do Klenicy, do pałacu, karton z żołnierskimi pamiątkami po księciu. Ale nic więcej na ten temat nie wiem.

- Nie mówił, co było w tej przesyłce? - dociekał porucznik.

- Dokładnie nie pamiętam. Ale chyba wspominał o patentach oficerskich, odznaczeniach i jakiejś teczce z dokumentami.

- Może to wszystko się jakoś łączy? Poszuka pan w swoich pamiątkach tego brudnopisu tłumaczenia, o którym pan mówił?

- Oczywiście, teraz i mnie to mocno zaciekało. Mam nadzieję, że go znajdę - odpowiedział Kufel.

18 stycznia 1959, niedziela

Co zaszło w 1942 roku w Klenicy?

W połowie stycznia, w godzinach wieczornych Stefan Łopatowicz zadzwonił do syna:

- Lesiu! Interesuje cię jeszcze ta sprawa z klenickim pałacem?

- No pewnie, tato. Czy Kufel znalazł ten papier?

- Znalazł. Dlatego dzwonię. Zaprosiłem go na niedzielne popołudnie. Masz wolne? Przyjdiesz?

- Będę na pewno, tato. Z soboty na niedzielę mam dyżur, ale zdążę się wyspać. Na pewno będę.

Leszek był już u rodziców od obiadu. Kufel dotarł do Łopatowiczów dość późno.

- Trochę zimy, a już komunikacja miejska stoi. Przyszedłem na piechotę - psioczył.

- O! To długi spacer masz za sobą - rzekł Stefan Łopatowicz. - Z Krośnieńskiej na Morelową to prawie przez całe miasto. A chodniki były przynajmniej odśnieżone?

- Nie, ale były ślady w śniegu, takie wydeptane ścieżki - odparł Kufel, śmiejąc się.

Zanim usiadł do stołu, sięgnął do kieszeni płaszcza. Chwilę później trzymał w ręku dwie przyżółkłe, gęsto zapisane kartki. Widać było, że to wersja robocza. Sporo tam było skreśleń i poprawek.

- Przeczytaj sobie to spokojnie. Jakby co, służę pomocą - rzucił Kufel, podając Leszkowi kartki.

Sam zajął miejsce przy stole, zdziwiony, że nie stoi tam jak zawsze butelka piwa. Zawiedziony, przymrużając oko zwrócił się do Stefana:

- Zaprosiłeś mnie na piwo, ale...

Nie zdążył odpowiedzieć. Stefan z glinianym, parującym kuflem podążył do stołu.

- Dzisiaj grzaniec, boś pewnie zmarł.

Leszek czytał. Był skupiony. Rumieniec na twarzy, błysk w oczach. Nie reagował na bodźce zewnętrzne. Wtem wykrzyknął:

- O kurwa! To Winkler! - wyrwało się młodemu. Zawstydzony spojrzał na ojca i na Kufla i kontynuował: - Toż to ten sam, co był tu w ubiegłym roku. To on jest podejrzany o zastrzelenie Podjemskiego. Czego on tam szukał w tym rowie?

- Zaraz, zaraz ten Herman Winkler z raportu był w Klenicy, i to jego szukacie? Skąd to wiecie?

- Kiedy popełniono to morderstwo, mówię o Podjemskim, był jednym z trzech obywateli NRD nocujących „Pod Orłem” - opowiadał z przejęciem porucznik Łopatowicz.

- To teraz wystarczy połączyć fakty i będziemy mieli pełny obraz - rozważał Kufel. - Albo ten gość ma na sumieniu także tego Burchela, albo działał z czyjegoś polecenia.

- Dlaczego? - zapytał starszy Łopatowicz, popatrzawszy to na Kufla, to na syna.

- Dlatego, że dokładnie wiedział, gdzie leżały szczątki Burchela - odpowiedział Leszek.

- To jest jedna sprawa. Ale pozostaje pytanie: dlaczego? Dlaczego zabito Burchela? Czego po latach chciano szukać przy zwłokach? - zastanawiał się głośno Leszek.

- Możliwe, że to się jakoś wiąże z tą paczką, którą rotmistrz Józef Lubicz-Stasiński wysłał po śmierci księcia Stanisława Radziwiłła do Klenicy - rzekł Kufel.

- Kiedy to było?

- W tysiąc dziewięćset dwudziestym - wyjaśnił Kufel.

- A ten raport niemieckiego policjanta dotyczy tysiąc dziewięćset czterdziestego drugiego. Coś mi tu nie pasuje - zwątpił młody Łopatowicz.

- Spójrz jeszcze raz na ten raport. Popatrz na uwagę. Hundt podał, że na około tydzień przed zniknięciem Alberta Burchela w pałacu przebywał archiwista Herman Winkler z zakładów Richtberga, w celu zinwentaryzowania

i przeniesienia archiwum. Może znalazł coś ciekawego w tej paczce - wyjaśniał Kufel.

- Dlaczego niczego w niej nie znaleziono w dwudziestym roku? - zwał się starszy Łopatowicz.

- Pewnie jej zawartość przejrano pobieżnie i trafiła do archiwum albo Burchel o niej nie wiedział - powiedział Kufel.

- Możliwe. Jeżeli jednak założymy, że archiwista coś tam znalazł, to już nie musiał zabijać tego Burchela.

- Może odkrył jakąś ważką, ale skąpą informację. Może chciał się od Burchela dowiedzieć szczegółów albo wydostać od niego na przykład hasło albo klucz.

- Do czego? - zapytał Stefan Łopatowicz.

- Może do jakiejś skrytki albo sejfu - odparł Leszek.

- To mało realne, bo po prawie dwudziestu latach w rowie melioracyjnym niewiele by z tego klucza zostało. Zabójca pomyślałby o tym. Ale mógłby to być jakiś plan albo bardzo wartościowy przedmiot, który przeoczył morderca, lub dopiero znacznie później się połapał, że ofiara może to mieć przy sobie.

- Wiem - krzyknął nagle Leszek. - W tym raporcie stoi jak byk, że mieszkanie Burchela było przeszukane. Widocznie Burchel nakrył Winklera, kiedy ten przeszukiwał jego mieszkanie. Wywiązała się bójka, młodszy Winkler pobił starszego Burchela ze skutkiem śmiertelnym. Potem spanikował i postanowił usunąć zwłoki niekonwencjonalnie, wrzucając je do rowu melioracyjnego, daleko od miejsca zbrodni.

- A jak je tam przetransportował? - zapytał Kufel.

- Nie wiadomo. Sam chyba ciała przenieść nie mógł.

- Zdaje się, że kiedyś mi wspominałeś, że niedaleko tego miejsca, przy rowie w Klenicy, w jakichś krzakach widziałeś starą taczkę.

Młody Łopatowicz palnął się ręką w głowę i krzyknął prawie:

- Taczka! Tak jest. Tam stała rozpadająca się taczka. Możliwe, że przywiózł nią Burchela. - Po chwili, widocznie zwątpiwszy, zapytał: - Tylko czy to rzeczywiście ponemiecka taczka z lat czterdziestych? Przecież dawno by zgniła.

- Nie jestem taki pewny, Lesiu - odezwał się Stefan Łopatowicz do syna. - U nas w komórce do tej pory mamy ponemiecki drewniany wózek. Trzyma się dobrze.

- Pewnie, jeżeli wykonany z twardego drewna i dobrze polakierowany, to taki sprzęt bez trudu wytrzyma ze czterdzieści i więcej lat - dodał Kufel.

- Pora podsumować, co już mamy. Zakładamy, że zabójcą Burchela jest Herman Winkler, który również zastrzelił Podjemskiego. Przyczyną tego pierwszego morderstwa było prawdopodobnie zaskoczenie go przez Burchela podczas przeszukiwania jego mieszkania. Było to jakby morderstwo w afekcie. Zwłoki wywiózł tawką i wrzucił do rowu melioracyjnego. Musiało się to odbyć nocą. Sprzyjało mu obowiązujące zaciemnianie źródeł światła. Nie znalazł, czego szukał, więc wrócił do tego mieszkania i gruntownie je przetrzepał. Nadal jednak nic nie znalazł. Po latach, kiedy tylko nadarzyła się okazja, powrócił. Najpierw obejrzał sobie ten rów. Stwierdził, że od tamtego czasu nie przeprowadzono żadnych prac melioracyjnych. Nie wiedział tylko, czy wcześniej nie znaleziono zwłok Burchela. W niemieckich czasach nic takiego się nie zdarzyło. Wiedziałby o tym z gazet. Przecież do 1944 pracował u Richtberga, a pod koniec wojny nikt nie myślał o melioracji. Nie sądził też, żeby Polacy po wojnie od razu zaczęli gospodarowanie od melioracji. Zaryzykował. Uznał chyba, że przy tych szczątkach, leżących od wielu lat w mule, zachowa się to, czego szukał. Nadal mam jednak parę pytań. Po pierwsze, czym zdzielił Burchela, zabijając go na miejscu? Po drugie, dlaczego przyleciał uprowadzonym samolotem, i kazał łązić Podjemskiemu po

błocie. Przecież łatwiej było dotrzeć do tego miejsca w inny sposób?

- Na pierwsze pytanie odpowiem ci tak. Zrobił to kawałkiem metalowej rurki, o czym inspektor Hundt napisał w swoim raporcie.

- Zaraz, zaraz - przerwał mu porucznik Łopatowicz. - To oznaczałoby, że morderstwo było zaplanowane i do Burchela przyszedł z tą rurką. No to skąd miałyby mieć tę rurkę?

- Nie, nie! Czytając ten raport dokładniej, dowiadujemy się, że w jakimś korytarzyku na ścianie inspektor odnalazł kilkumilimetrowe plamki, mogące być odpryskami krwi. Wiem, że takie łezkowate plamki mogą powstać przy silnym uderzeniu w głowę twardym przedmiotem. Zakładam zatem, że Winkler właśnie tam zabił Burchela, a rurkę znalazł gdzieś po drodze.

- A co z tym samolotem? - dochodził Leszek Łopatowicz.

- Pamiętaj, teraz sprawca był tu zupełnie obcy, ale wcześniej go już przy tym rowie widziano. Noc by go już nie chroniła, jak ongiś podczas wojny. Chciał sprawę załatwić szybko i niekonwencjonalnie, bo to trudniej rozgryźć. Latać umiał. Pewnie założył, że o świcie po cichutku wylądował na tej łące. Kukuruźnikiem po kilku ćwiczeniach da się tak wylądować. Postanowił wykorzystać polskiego pilota, żeby mu z rowu wyciągnął Burchela albo to, co z niego zostało. Na to nie potrzeba by więcej niż dwadzieścia minut. Potem zabrałby co trzeba i znowu by wystartował, żeby gdziekolwiek w spokojnym miejscu, na przykład za Odrą, z daleka od ludzi jeszcze raz wylądować. Przejrzeć zdobycz i porzucając samolot, udać się do Zielonej Góry, a potem spokojnie wyjechać jakby nigdy nic. Niestety przeszkodził mu ten pijaczek.

- Brzmi dość przekonująco, ale przyzna pan, panie Alku, że użycie samolotu jest dość niezwykłe. Jedno wszak jest pewne: to, czego Winkler szuka, musi być wiele warte. Kto zadawałby sobie tyle trudu i podejmował takie ryzyko?

24 stycznia 1959, sobota

„Grünberger Wochenblatt”

Komisarz Leo Hundt dochodził sześćdziesiątki. W wolnym czasie nierzadko siadał w swoim staromodnym fotelu z ulubionym cygarem w ustach i przywoływał w pamięci obrazy z przeszłości. Wspominał lata dziecięce, kiedy na bosaka brodził po kałużach, szkołę i surowego nauczyciela, tak chętnie korzystającego z linijki, oraz wspaniałe lata studenckie we Wrocławiu. Często też wracał w myślach do pracy w zielonogórskiej policji. Niby tu, w Verden, nie było mu źle. Praca dawała satysfakcję, miał kierownicze stanowisko i sporo przyjaciół. Rodziny nie założył, bo dotychczasowe związki padały ofiarą nadmiernego zaangażowania w życie zawodowe. Owszem, pozwalał sobie na przelotne afiliacje z „ograniczoną odpowiedzialnością”, jak to sam ujmował. Ale coraz częściej dokuczała mu samotność. Czasami chodził do klubu na brydża, niekiedy na spotkania do pomieszczeń *Grünberger Heimatgruppe*⁴⁹, gdzie co jakiś czas spotykali się dawni zielonogórzanie z miasta i powiatu. Nie było ich już tak wielu, a właściwie nawet coraz mniej.

Tego dnia mieli spotkanie z Erichem Bederke, rodowitym zielonogórzaninem, profesorem geologii z uniwersytetu w Göttingen. Hundt przyszedł szybciej. Sięgnął do stosiku gazetek „Grünberger Wochenblatt”⁵⁰, leżących na stoliku tuż przy wejściu. Goście schodzili się powoli. Hundt przerywając lekturę, witał się z każdym z nich. Kiedy ponownie wziął do ręki egzemplarz z grudnia 1958, jego uwagę przykuła niewielka wzmianka:

Podczas prac melioracyjnych na klenickich łąkach (pow. Zielona Góra) pod koniec października wydobyto z rowu ludzkie szczątki, które przeleżały tam co najmniej

kilkanaście lat. Podejrzewa się, że są to zwłoki obywatela niemieckiego.

Tak go to pochłonoło, że nie zauważył przybycia profesora. Do rzeczywistości przywołała go dopiero pani Handtke, stojąca tuż przy nim, powtarzając uporczywie:

- Panie Hundt! Panie Hundt! Profesor już jest.

- Co? Kto? Aa, pan profesor. - Podeszedł szybko do gościa, witając go z atencją.

- Z przyjemnością posłuchamy geologicznych ciekawostek ze Spessartu⁵¹.

- Przyjemnie jest mówić do krajanów - odparł nieco podekscytowany profesor.

Podczas całej pogadanki profesora Bederke myślami Hundt był w Klenicy. To powróciła ta sprawa z zaginionym emerytem z pałacu Radziwiłłów. Może to akurat jego tam znaleziono? Muszę zajrzeć do mego notesu z tamtych czasów. Pewnie gdzieś go jeszcze mam.

„Grünberger Wochenblatt” nielegalnie docierał również do niektórych Kleniczian mieszkających w NRD. Czasami gazetkę tę czytywał także Kurt Benken, burmistrz Peitz, który wywodził się z Klenicy. Na którymś z zakrapianych spotkań z towarzyszami radzieckimi spotkał się, jak zwykle, z Hermanem Winklerem. To od Benkena Winkler dowiedział się o tych ludzkich szczątkach w klenickim rowie melioracyjnym. To koniec - pomyślał. Złota już nie znajdę, a moje zeznanie ma ten cholerny Seppel. Ma mnie w garści. Nie da mi spokoju, a w końcu ten dokument ujawni. Nawet uciec nie mam dokąd.

STASI wie wszystko, zwłaszcza kiedy się czymś bardzo interesuje. Wprawdzie notatka w grudniowym numerze „Grünberger Wochenblatt” nie interesowała enerdowskiego aparatu bezpieczeństwa, ale łąpczywie przeczytał ją niejaki major Seppel z okręgowego zarządu STASI w Karl-Marks-Stadt. No cóż, pomyślimy, co z tym zrobić - mruknął sam do siebie i zajął się bieżącymi sprawami.

Parę tygodni później w lokalnej prasie w Cottbus ukazała się wiadomość, że podczas wykonywania obowiązków służbowych, zginął Herman Winkler, członek SED i zasłużony instruktor lotniczy GST. Razem z nim w katastrofie lotniczej zginął jego uczeń Manfred Schmitz. Szczątki samolotu treningowego znaleziono na polu LPG⁵² Straupitz.

Major Rudolf Seppel odłożył gazetę i cicho wymamrotał: To na razie tyle, jeśli chodzi o złoto Radziwiłłów.

Część VII

15 lipca 1962, niedziela

„Prywatni detektywi” zaczynają tam, gdzie skończyła milicja

W marcowym numerze „Grünberger Wochenblatt” emerytowany komisarz Leo Hundt natknął się na reklamę kilkudniowej wycieczki autokarowej do Zielonej Góry i do niektórych miejscowości w powiecie. Serce zabiło mu mocniej. „Pojadę tam. Nie ma się czego bać, jestem już emerytem, a w końcu to moja przeszłość. To nostalgia i wspomnienia”.

Biuro ORBIS w Zielonej Górze poszukiwało tłumaczy-przewodników dla dewizowych wycieczek. Kufel zgłosił się na soboty i niedziele, żeby dorobić. Jego interes na Jedności Robotniczej szedł średnio, a podatki płacone przez „prywaciarzy” były niemałe. Miał nie tylko tłumaczyć. Polecono mu także, żeby zadbał o to, aby Niemcy z RFN-u zapoznali się również z socjalistycznymi dokonaniem w dziedzinie budownictwa mieszkaniowego... w ich dawnym Grünbergu. Wręczono mu listę uczestników. Przeleciał je. Nad jednym z nazwisk się zatrzymał. Leo Hundt? Tak! Zdumiony skojarzył natychmiast. Przecież tak nazywał się ten dawny policjant zielonogórski, którego raport tłumaczył komendantowi w 1947. Ten, który zajmował się zaginionym emerytem z Radziwiłłowskiego pałacu myśliwskiego w Klenicy. Może to on?

Tą wycieczką Kufel miał się zajmować tylko w niedzielę. Niemcy przyjechali w sobotę wieczorem. W niedzielę rano przy recepcji czekała na niego ich przewodniczka.

- Gizela Odenbrecht - przedstawiła się około czterdziestoletnia, zadbana kobieta. - To chyba pan ma nam tu pomoc przy zwiedzaniu Zielonej Góry.

- Alfons Zieja - przedstawił się i szarmancko buchnął Gizelę w mankiet. - Tak, rzeczywiście to ja będę miał

przyjemność pomóc państwu w zwiedzeniu naszego miasta.

Popatrzyła na niego z zainteresowaniem.

- A skąd u pana, panie Cijeja, taka dobra znajomość niemieckiego.

- Zieja - uśmiechając się uprzejmie, poprawił wymowę Niemki. - Zieja! Ja wiem, że trudno pani wymówić moje nazwisko. Alfons jestem, mówcie mi po prostu po imieniu. A znajomość niemieckiego? Dawno temu chodziłem do niemieckojęzycznej klasy w szkole, a potem przez kilka lat szlifowałem niemiecki w obozie jenieckim.

- Przepraszam pana. Ja jestem Gizela. Mówmy sobie po imieniu, będzie łatwiej.

Gizela popatrzyła na zbierającą się w holu grupę i głośno powiedziała:

- Proszę państwa, wsiadamy do autokaru. Tam przedstawię państwu pana Cijeja - wymęczyła nazwisko, patrząc przepaszająco na Kufla.

Około trzydzieści osób udało się do czekającego przed hotelem średniej wielkości czerwono-białego autobusu marki SETRA. To nie byli młodzi „zdobywcy świata”. Ba, nikomu z uczestników nie towarzyszył wnuk albo choćby syn lub córka. W autobusie zajmowali miejsca sami emeryci. To ich przygnała tu tęsknica za przeszłością. Za dzieciństwem i młodością. Za rodzinnymi stronami. Kufel uważnie im się przyglądał. Nie wiedział, który to Hundt. Jeszcze w hotelowym holu zwrócił uwagę na jednego młodszych uczestników tej emeryckiej wycieczki. Trzymający się prosto gość z wianuszkiem siwych włosów wokół łysiny, ze zdecydowanie wysuniętą dolną szczęką i wydatnym nosem stał nieco na uboczu, trzymając w zębach cygaro. Kiedy pozostali wyruszyli do autobusu, ten stojący na uboczu zdusił cygaro, niewielką torbę z paskiem założył na ramię i ruszył za innymi. W autobusie zajął miejsce w pierwszym rzędzie, przy oknie, obok przewodniczki. Jego jasne oczy ciekawie lustrowały otoczenie.

Kiedy już zajęli miejsca, Gizela przedstawiła Kufla:

- Dzień dobry państwu. Mam nadzieję, że dobrze wypoczęliście po tej dość wyczerpującej wczorajszej podróży. W Zielonej Górze będzie się nami opiekował pan...

- Spojrzała zakłopotana na Kufla i kontynuowała, z lekka się uśmiechając: - ...którego nazwisko jest dla nas dość trudne.

Gizela przekazała mikrofon Kufłowi, który także uprzejmie przywitał wycieczkę, a przedstawiając się z nazwiska, dodał:

- Na imię mi Alfons, zatem ci z państwa, którzy moje nazwisko znowu zapomnieli, albo nie potrafią go wypowiedzieć, niech się do mnie po prostu zwracają po imieniu.

Grupa przywitała go oklaskami, a przewodniczka objaśniła jej dzisiejszy plan, zwracając uwagę na popołudniowe zwiedzanie śródmieścia. Po kolacji nie przewiduje się żadnego programu. Tymczasem Zieloną Górę oglądali z okien autobusu. Kufel był przygotowany. Miasto objaśniał ze znanstwem i swadą. Oklaski nie były więc rzadkością. Cały czas kombinował, jak dowiedzieć się, czy ten gość obok Gizeli to Hundt. Miał wrażenie, że ten facet jego także jest ciekaw.

Kiedy po przedpołudniowej rundzie wrócili pod hotel, przy wysiadaniu z autobusu zdarzyła się taka sposobność. Gość wysiadający przednimi drzwiami zaczepił paskiem swojej torby o klamkę drzwi, zachwiał się i oparł o stojącego w pobliżu Kufla.

- Och! Bardzo pana przepraszam. Niezdara jestem rzekł, roześmiewszy się.

- Nic się nie stało. Dlatego tu stałem - rzekł Kufel prawie humorystycznie. - Czy pan jest komisarzem Hundtem? - zapytał półgłosem.

Gościa zamurowało. Zrobił krok do przodu, wbił nieufny wzrok w Kufla i wycedził równie cicho:

- Tak. Nazywam się Leo Hundt, ale komisarzem już nie jestem. Obecnie jestem emerytem. - A skąd mnie pan zna?

- To długa historia. Trafiłem na pana przypadkiem. Czy moglibyśmy dzisiaj jeszcze zupełnie prywatnie porozmawiać? - rzekł Kufel możliwie przyjaźnie.

- Jeżeli pan to uważa za potrzebne, proszę bardzo - odparł chłodno Hundt.

- Czy mogę spotkać się z panem w hotelu po kolacji? Chodzi o dawne sprawy.

- Dobrze, będę na pana czekać przy recepcji - potwierdził Hundt.

Po obiedzie, jeszcze przed zwiedzaniem starego miasta, Leo Hundt z cygarem w ustach siadł na krzeselku przy oknie. Śącząc aromat „hawany”, dumął, czego to od niego chce ten Polak? Wiedział, że polska bezpieka gośćmi z Zachodu jest zainteresowana, a zwłaszcza Niemcami. Podejrzewał, że wycieczka jest dyskretnie obserwowana. Ale tak wprost nikt by się przecież nie zwracał do emeryta. Zgoda, byłego policjanta, ale emeryta przecie.

W czasie zwiedzania starego miasta obaj panowie dyskretnie się obserwowali. Oczywiście, nie uszło to uwadze żadnego z nich. Hundt pozbył się już niepokoju. Zwyciężyła zwyczajna zawodowa ciekawość, jak to u gliny.

Po kolacji Hundt, jak obiecał, uważnie rozglądając się, czekał na Kufla przy recepcji. Podobnie zachowywał się Kufel, zanim podszedł do Hundta.

- Zapraszam pana na piwo, panie Hundt. Idziemy? - zapytał.

- Dziękuję, chętnie. Mam nadzieję, że macie tu nie gorsze piwo niż to, jakie pijałem w Zielonej Górze przed wojną - zauważył z odcieniem humoru.

Kufel poprowadził swojego gościa do „Palomy”, przez Drzewną. Tak było pewniej. Kiedy przechodzili koło klubu milicyjnego, Kufel wskazał głową na budynek, mruknąwszy: klub „Pod pałką”. Już w drodze do „Palomy” objaśniał gościowi:

- Panie Hundt, jestem byłym milicjantem. Prawie pana kolegą po fachu...

Nie skończył. Hundt mu przerwał:

- Prawie? Co pan przez to rozumie?

- Prawie, bo pan pewnie pracował w policji do emerytury, a mnie po kilku latach komuniści wyrzucili. Teraz muszę inaczej zarabiać na życie.

- Faktycznie. W ubiegłym roku poszedłem na emeryturę. Przepracowałem w policji wiele lat. Z tego co najmniej połowę w Grünberg.

Weszli do „Palomy”. Znalazł się jeszcze wolny stolik. Rozmyślnie usiedli obok siebie. W ten sposób mogli ciszej porozmawiać.

- Właśnie o tych pańskich zielonogórskich latach policyjnych chciałem z panem pomówić.

Hundt z zaciekawieniem popatrzył na Kufla, a ten zaczął opowiadać o swoich początkach w kryminalistyce i o swoich kilku latach w zielonogórskiej milicji. Kiedy wspomniał o znalezionej teczce z napisem „Burchel”, dawnemu komisarzowi zaświeciły się oczy.

- To ciekawe. Niech pan opowiada. Co zrobiliście z tymi materiałami?

- Oprócz teczki, resztę chyba oddano na makulaturę. Szczególne zainteresowanie wzbudził jednak pański raport dotyczący zaginięcia tego Burchela. Początkowo nikogo poza mną to nie zaciekawiło. Później polecono mi go przetłumaczyć i teczkę przekazać do archiwum.

- Pamiętam tego ignoranta z SS, chociaż jego nazwisko zapomniałem. Zabrali mi sprawę, a sprawca pozostał pewnie bezkarny.

- Otóż nie. To znaczy, bezkarny dotychczas pewnie tak. Ale my wiemy, kto to zrobił. A ten pański esesman nazywał się Seppel.

- Rzeczywiście, przypominam sobie. - Hundt się zamyślił. Potem jakby słowa Kufla w pełni dopiero do niego dotarły. Odezwał się wyraźnie podniecony: - Jak to wy wiecie, kto zabił Burchela? Wy, to znaczy kto?

- Wiemy. To znaczy mamy dość pewną hipotezę. Brakuje nam jeszcze tylko paru szczegółów. Dlatego koniecznie chciałem o tym z panem pogadać. Być może wspólnie dojdziemy prawdy. Zdziwiony Hundt wlepił w niego oczy, a Kufel po chwili spokojnie kontynuował:

- A co do pańskiego pytania, w którym imieniu z panem rozmawiam, to pragnę pana uspokoić. Formalnie sprawa Burchela wyszła niejako przy okazji i w tej chwili jest już zamknięta. Prowadził ją syn mojego przyjaciela z dawnej pracy w kryminalistyce. Wiele rozmawialiśmy o tym. Zatem wyjaśniam. „My” to ja i ten mój młody przyjaciel. Zupełnie prywatnie. Sprawa by pewnie przyszła, gdybym przypadkiem nie skojarzył pana nazwiska na liście wycieczkowiczów i nie połączył go z pana raportem, który nie tak dawno analizowaliśmy.

- Rozpalił pan moją ciekawość panie... panie... - Hundt usiłował sobie przypomnieć nazwisko swojego rozmówcy. W końcu rzekł: - Alfons panu na imię, nieprawdaż? Jestem Leo, a wracając do sprawy, czy opowie mi pan o waszej hipotezie? Ciekawi mnie, kto według panów zabił Burchela?

- Doszliśmy do wniosku, że mordercą Burchela był niejaki Herman Winkler. - Kufel opowiedział Hundtowi całą historię, którą zakończył słowami: - ...ale mamy jeszcze parę niejasności, które być może uda nam się razem rozwiązać.

Leo Hundt siedział skoncentrowany, jakby zapominając o otoczeniu. Na cygarze powstał długi słupek popiołu. Obaj przez chwilę milczeli. Hundt strzepnął popiół z cygara, po czym obaj jak na komendę sięgnęli do piwa. W końcu Hundt powiedział:

- To wszystko brzmi nieźle, ale z jednym mam problem. Przecież trzeba być skończonym idiotą, żeby używać do tak, powiedziałbym, delikatnej sprawy samolotu.

- No cóż, całe to postępowanie Winklera świadczy o jakimś jego defekcie psychicznym. Ale jak pan zapewne

wie, przestępcy nierzadko odstają od normy. Często właśnie dlatego ich czyny pozostają nierozwikłane – wyjaśniał Kufel.

- Zgadza się. Nawet ktoś to badał. Kiedyś na ten temat coś czytałem. Ale jest jeszcze jedno zasadnicze pytanie – rzekł Hundt. - Dlaczego nie wystąpiliście do NRD o ekstradycję tego przestępcy? Przecież od jego ostatniego morderstwa upłynęło kilka lat.

- O ile mi wiadomo, kontaktowano się z władzami NRD, tylko że do tej pory nic się nie stało – oponował Kufel.

- Mam jeszcze kontakty z prasą niemiecką. Zainteresuję sprawą znajomego dziennikarza śledczego. Przecież tego typu trzeba zamknąć. Za to, co zrobił w Polsce, powinien odpowiadać u was, ale morderstwo na Burchelu podlega niemieckiemu prawu. Zresztą w NRD również ściga się morderców.

- A przedawnienia u was nie ma? – zapytał rezolutnie Kufel.

- Jest. Oczywiście jest. Dopiero po dwudziestu latach od popełnienia czynu już się sprawcy nie ściga... – Nagle Hundt przerwał swój wywód, popatrzył na Kufla i zapytał: – Pamięta pan może datę mojego ówczesnego raportu?

- Miesiąca nie pamiętam, ale to było w 1942 roku.

- No to kłops. W Niemczech Zachodnich łobuz sprawiedliwości by uszedł. W NRD, jeśli prokuratura zainicjuje śledztwo, to przedawnienia jeszcze nie ma. Tam za takie przestępstwa nie odpowiada się dopiero po dwudziestu pięciu latach. Nie wierzę jednak, aby ci z zony⁵³ zechcieli Winklera ścigać. Gdyby ten jednak nadal szukał „tego czegoś” i ponownie przyjechał do Polski, wtedy byście go mogli osądzić za zamordowanie tego pilota.

- Słuchaj, Leo, wprawdzie nie jesteśmy już czynnymi policjantami, ale pozostały w nas nawyki policyjnego psa. Chciałoby się chyba sprawę wyjaśnić do końca.

- Pewnie! Zwłaszcza że w 1942 nie zdążyłem się nią gruntowniej zająć.

- No właśnie. Jest jeszcze parę niewyjaśnionych pytań. Czy byłbyś w stanie przypomnieć sobie pewne rzeczy z tamtych czasów? - chciał wiedzieć Kufel.

- W tej chwili oczywiście nie. Miało się przecież tyle różnych spraw - rzekł przepraszająco Hundt. - Ale mam gdzieś notes z tamtego okresu. Wtedy wiele rzeczy pracowicie notowałem. Tylko niektóre uwagi trafiały do raportów i sprawozdań. - Hundt spojrział zaciekawiony na Kufla. - Jakie macie pytania?

- O ile wiem, tu, w hotelu, nocujecie codziennie. Kiedy wracacie do Niemiec? - odpowiedział pytaniem na pytanie.

- Wyjeżdżamy w czwartek, wcześniej rano.

- Czy w środę wieczorem mógłbym ci przynieść kartkę z pytaniami, a ty w domu spróbowałbyś znaleźć na nie odpowiedź?

- Oczywiście, tylko jak miałbym ci ewentualne informacje przekazać?

- Zwyczajnie listem. Ale gdybyś miał ochotę i możliwości, to po prostu przyjedź do mnie do Zielonej Góry. Zapraszam. Miejsca mam dosyć - powiedział Kufel na zakończenie.

Panowie wyszli z Palomy. Na dworze zrobiło się już ciemno. Kiedy przechodzili koło klubu „Pod pałką”, do ich uszu dochodził pijacki gwar i pojedyncze okrzyki. Na szczęście Hundt w średniej szkole uczył się wyłącznie łaciny klasycznej. „Kuchennej” nie znał.

Tego dnia panowie pożegnali się przy drzwiach hotelu. W środę wieczorem usiedli na krótko w hotelowej restauracji. Tym razem na piwo zaprosił Leo, a Kufel dyskretnie przekazał mu kartkę z pytaniami. Nazajutrz do Kufla, do sklepiku na Jedności Robotniczej przyszedł esbek. Pokazał szarą legitymację i powiedział:

- Proszę nam coś opowiedzieć o pana kontakcie z jakimś Leo Hundtem, z tej niemieckiej wycieczki.

A jednak! - przebiegło przez głowę Kufla. Chłopcom z SB nie uszły uwadze moje kontakty z Hundtem.

Popatrzył na esbeka i rzekł:

- A co byście chcieli wiedzieć?

- Skąd nagle ta wasza wzajemna miłość? Spotkanie w „Palomie”, a potem miły wieczór w restauracji hotelowej.

- Ten gość to Leo Hundt, były policjant z sekcji kryminalnej policji w dawnym Grünbergu. Przeczytał gdzieś, że z rowu melioracyjnego w Klenicy wyciągnięto szczątki ludzkie, które przeleżały tam prawie dwadzieścia lat. Kiedy tu pracował, w 1942 roku zaginął niejaki Burchel, mieszkaniec myśliwskiego pałacu Radziwiłłowskiego w Klenicy. Faszyci odebrali mu wtedy prowadzenie tego dochodzenia. Chce więc wyjaśnić tę sprawę, gdyż uważa, że powinno się byłych SS-manów rozliczyć z ich niecnej działalności - tłumaczył Kufel.

- I wy, Zieja, moglibyście mu w tym pomóc? - zauważył agent szyderczo, przyglądając mu się badawczo.

- Gdybym mógł, to chętnie. Faszystów trzeba rozliczać i karać. Tyle że niewiele mu mogłem powiedzieć. Wiedziałem tylko tyle, co pisali w „Zielonogórskiej”.

- A ten papier, coście mu dali wczoraj?

- To nic takiego, to tylko wycinki z gazety - skłamał Kufel.

- Ciekawe? Podobno to on chciał czegoś od was, ale to wyście zapłacili rachunek w „Palomie”.

- I co z tego? Przecież jest gościem w Zielonej Górze i w Polsce, a poza tym wczoraj właśnie on mnie zaprosił.

- O czym rozmawialiście przez kilka godzin? - dociekał esbek.

- Jak pan wie, też kiedyś zajmowałem się sprawami kryminalnymi. Rozmawialiśmy niejako o sprawach fachowych. Właściwie opowiadał mi o nowoczesnych metodach kryminalistyki w dzisiejszych Niemczech.

- A skąd wiedział, że jesteście z branży, że tak powiem?

- Nie wiedział. To przypadek. Zgadaliśmy się i tyle.

- Zgadaliście się! No, to uważajcie, żebyście się za bardzo nie zgadali z tym Niemcem. - Odwrócił się

w kierunku drzwi i na odchodnym rzucił: - Żegnam,
obywatelu Zieja.

22 sierpnia 1962, środa

List od emeryta Hundta

Po powrocie ze sklepu Kufel zawsze zaglądał do skrzynki. Tego dnia list zobaczył, zanim ją otworzył. Prywatnie rzadko pisał ktoś do niego. Listonosz mu nawet kiedyś żartobliwie odpowiedział: „List do pana? Jak pan napisze, to będzie”. Właściwie tego listu od Hundta oczekiwał od dawna. W końcu miał na to parę tygodni. Czyżby? Przecież „kolesie” również czytają – natychmiast przeszło mu jednak przez myśl – u nas na pewno. Myślę, że tamci również.

List otworzył dopiero w mieszkaniu. Miał przed sobą dwie kartki maszynopisu. Po prawej na górze wpisano datę: 28. VII. 1962.

Szanowny Kolego! Drogi Alfonsie!

Natychmiast po powrocie zajęłem się „naszą” sprawą. Odnalazłem mój notes z tamtego okresu. Oto, co w nim znalazłem:

- Zniknięcie taczki ogrodnik zauważył w środę siedemnastego czerwca albo dzień później. Nie był pewny. Była to zwyczajna drewniana, jednokołowa taczka. W dość dobrym stanie. Koło z metalową obręczą pomalowane na czerwono. Reszta w kolorze zielonym.

- Rurkę metalową – domniemane narzędzie zbrodni, znalazłem na kupce złomu przy wejściu do pałacowej wieży. Odcinek ten pochodził z wymienionej, w pałacowej kuchni, rury wodociągowej. Moim zdaniem zabójca znalazł ją, zanim wszedł do korytarzyka przy wieży. Należy wnioskować, że miejscem zbrodni był tenże korytarzyk. Wyklucza to dokonanie zabójstwa w mieszkaniu denata. Po dokonanej zbrodni sprawca rurkę ponownie wyrzucił na złom, skąd ją uprzednio zabrał.

- Już 15 czerwca, w poniedziałek Burchela nie było w mieszkaniu (Richtberg pukał do jego drzwi – nie

odpowiadał).

- Ostatecznie zniknięcie Alberta Burchela i podejrzany nieład w jego mieszkaniu zgłoszono policji w czwartek 18 czerwca. Ja przybyłem do Klenicy 19 (piątek) czerwca 1942 roku. W mieszkaniu zaginionego panował chaos, wskazujący na to, że je przeszukiwano. Ślady papilarne znalezione na framudze drzwi i niektórych meblach należały do wielu osób - z oczywistych powodów nie zdążyłem ich zidentyfikować i porównać. W mieszkaniu brakowało niektórych elementów jego zwykłego stroju (w tym nietypowego kaszkietu w kratkę).

- Brak podstaw do jakichkolwiek podejrzeń w stosunku do osób przebywających w owym czasie w pałacu. Jednocześnie nie można też nikogo wykluczyć. Nie zauważyłem także żadnych nietypowych zachowań.

- Albert Burchel był stałym mieszkańcem pałacu (na tzw. dożywociu). Był lubiany i szanowany. Znał każdy kąt pałacu. Często korzystano z jego pomocy. Chyba w swoim środowisku nie miał wrogów.

- Poza ogrodnikiem, ani w niedzielę, ani w następnych dniach, Burchela nikt nie widział. Ogrodnika, jak i innych chciałem również jeszcze sprawdzić, zwłaszcza ich odciski linii palców.

- Kilkumilimetrowe, łezkowate plamki krwi (?) znalezione w korytarzyku na ścianie, przed drzwiami służącej, świadczyć mogą o silnym uderzeniu głowy ofiary rurką. Zgodności krwi ze śladami na rurce sprawdzić nie zdołałem. Położenie tych odprysków mogłoby wskazywać na sprawcę wysokiego wzrostu. Przy znajomości wyników autopsji (miejsce urazu na czaszce) można by więcej powiedzieć o sprawcy. Ponieważ te odpryski znajdowały się też nieco niżej, wnioskuję że morderca uderzał także już osuwającą się ofiarę.

- W fugach pomiędzy płytkami podłogowymi stwierdziłem miejsca mogące być śladami krwi.

- W notesie zapisałem sobie również konieczność sprawdzenia kierowcy i archiwisty, pracujących u Richtberga.

Niezależnie od Twoich pytań, dowiedziałem się, że w RFN żaden następca rodziny Radziwiłłów nie zgłosił zaginięcia w owym czasie czegokolwiek szczególnie wartościowego z klenickiego pałacu. Nie zrobił tego również nikt z rodziny Richtbergów.

Odnalazłem również ślad Rudolfa Seppla, tego SS-mana, który przejął po mnie śledztwo związane z naszą sprawą. Niestety, ten gość jest tymczasem dla nas niedostępny. Nadal usiłuję dowiedzieć się czegoś bliższego o Hermanie Winklerze.

Drogi Alfonsie, ucieszy mnie bardzo, jeśli te informacje przydadzą Ci się w dalszym działaniu. Powodzenia!

Pozdrawiam serdecznie

Leo Hundt

PS. Jak się dowiem czegoś o Winklerze, dam Ci znać.

Siedział nieruchomy przy otwartym oknie i wpatrywał się w wolno wędrujący po niebie księżyc. Rozmyślał. Trzecia kwarta. Widać tylko jego część, ale ten księżyc tam jest - cały. To tak, jak ten nasz przypadek. Też „nie wszystko widać”, ale wiemy, kto był sprawcą. Sprawa Burchela mocno uczepiła się w pamięci Kufla. Nie puszczała. Próbował połączyć fakty i hipotezy. Jedno jest pewne. Sprawca jest znany, tylko czy był sam? Może miał współnika? Taczce przyjrzę się dokładniej. Warto chyba także lepiej przebadać miejsce znalezienia tych szczątków. Przecież wtedy tylko je wydobyli z zamulonego rowu. Niczego szczególnego przy nim nie znaleziono ani nikt dokładniej nie spenetrował tego miejsca. Nie wiadomo także, kiedy tego pocziwca zamordowano. Podobno w poniedziałek na spacerze widział go jeszcze ogrodnik, ale to też niepewne. Nadto nie wiemy, co się stało z pistoletem, z którego Winkler kilkanaście lat później zastrzelił pilota. Może go wrzucił do tego rowu? Trzeba pojechać do Klenicy,

i to teraz. Lato było długie i suche. Wody w rowach niewiele.

- Słuchaj, Stefan - odezwał się Kufel prawie konfidencyjnie po pozdrowieniu Stefana Łopatowicza. - Chciałbym pogadać z Leszkiem, ale nie rzucając się w oczy. Mógłbyś to zorganizować?

- No pewnie, Alku, nawet piwko się znajdzie. Na kiedy się umawiamy?

- Jak najszybciej. Dopóki nie napada deszczu - rzucił tajemniczo.

- Aha. Na urlop się wybierasz?

- Można to i tak nazwać - odparł Kufel, roześmiewszy się.

- Zadzwoń do ciebie do sklepu.

Jak zwykle spotkali się u Łopatowiczów w najbliższą sobotę. Przyniesionej przez Kufla butelki Stefan nawet nie wstawiał do kredensu.

- Przeszedłeś wreszcie na męski napój czy pozostajesz przy swoim piwku? - zwrócił się Stefan w żartobliwym tonie do Kufla.

- Co innego miałby pić Kufel? - odparł ten w tym samym tonie.

Starszy Łopatowicz sprawnie otworzył żytniówkę i wlał po pięćdziesiątce sobie i synowi. Kufel piwa sobie nalał sam.

- Słuchaj, Lesiu, przypadkowo nawiązałem kontakt z tym niemieckim policjantem, Hundtem.

- Wiem - odparł porucznik Łopatowicz. - Byli już u mnie kolesie z bezpieki. Wypytywali o niego i o pana, ale odpuścili.

- No właśnie. A ja dostałem od Hundta ten oto list. - Podał dwie kartki maszynopisu Leszkowi. - I dlatego uważam, że parę rzeczy trzeba sprawdzić w Klenicy.

- Ja się tym zajmować już nie mogę - mruknął porucznik, nie odrywając oczu od listu. - Zdaje się, że ciekawe rzeczy

pisze ten Hundt, chociaż nie wszystko zrozumiałem. Mój niemiecki jest słaby.

- W związku z tym listem chciałbym pojechać do Klenicy i trochę tam poszperać. Pod byle pozorem pogrzebałbym w rowie. Przyjrzałbym się taczce i w ogóle rozejrzałbym się trochę. Ciebie chciałem prosić o to, żebyś z tym twoim znajomym posterunkowym porozmawiał. Chodzi o to, abym to nie ja był podejrzanym.

- Mówi pan o sierżancie Kisielewskim? On tam nawet chyba komendantem teraz jest. To się da załatwić. Zadzwoń do niego.

- I jeszcze jedno. Dałoby się obejrzeć zdjęcia związane z tymi obydwoma przypadkami? Chciałbym dokładnie określić miejsce. Może zresztą zobaczę coś szczególnego, czego wyście nie zauważyli.

- To nie jest takie łatwe, ale spróbuję. Muszę znaleźć jakiś powód, aby pobrać teczkę z archiwum. W tym drugim przypadku rzeczywiście zdjęcia potraktowane były pobieżnie. Przecież to niemieckie zwłoki. Szef kazał sprawę włożyć do akt.

25 sierpnia 1962, sobota

Znalezisko w rowie i stara taczka

Na szczęście pogoda „trzymała”. Do bocznego wózka swojego IŻa⁵⁴ Kufel wpakował sprzęt wędkarski, trochę podstarzałe wojskowe spodniobuty, małe grabki ogrodnicze z gęstymi zębami, łopatkę i parę innych przedmiotów. Wyruszył w sobotnie popołudnie. Ot, wędkarz – pomyślałby ktoś. Motorem podjechał aż pod rów. Szerniałe resztki słupka ogrodzeniowego pełniły rolę drogowskazu.

Najpierw kopał i przeczesywał grabkami to, co zostało po meliorantach w zalegających na brzegach rowu niewielkich pagórkach. Nikt tego nie wyrównał, a trawa jeszcze nie zdołała ich pokryć. Znalazł jedynie lewy but. Kiedyś musiał być eleganckim sznurowanym półbutem. Teraz leżał na brzegu w przegniłych, suchych wodorostach, poczerniały i kruszący się. Tak na oko rozmiar czterdzieści trzy – czterdzieści cztery. Drugiego nie było. Może to właśnie Burchel w nim chodził? – przeszło mu przez myśl.

Zafascynowany znaleziskiem nie zauważył, że od jakiegoś czasu przyglądał mu się chłopiec. Tak na oko dziesięć lat.

- Co pan tu robi? Czego pan szuka? To nasza łąka – odezwał się w pewnej chwili.

- Robaków szukam. Wybieram się na ryby, wiesz! – odparł zaskoczony Kufel. – Ale nie martw się, ja to wszystko wyrównam.

- To dobrze, bo gdyby tata to zobaczył, to by się gniewał.
- Po chwili namysłu chłopiec odezwał się ponownie: – Ale robaków tutaj pan nie znajdzie. My kopujemy na starym kompostowniku. Tam ich jest pełno. Jak pan chce, zaprowadzę.

- Miły jesteś. Ale wiesz, ja szukam takich specjalnych robaków, na węgorze.

- Ale tu trupa wyciągnęli. Tu robaków nie ma - odparł podekscytowany chłopiec.

- No właśnie. Dlatego w tym miejscu trzeba szukać. Nie wiedziałeś o tym? - wymyślił Kufel naprędce.

- No, to musiałby pan chyba szukać w rowie.

- Masz rację. Dobra rada - odparł Kufel. - Dziękuję ci.

Założył spodniobuty, wszedł do rowu. Wodorostów było niewiele. Pod odbijającą niebo warstewką płynącej wody zalegała jeszcze warstwa mułu. Chłopiec podał mu grabki. Systematycznie przeczesywał grunt. Co rusz to coś wyciągał. Drugiego buta nie znalazł. Za to była tam jakaś nieskorodowana sprzączka i wiele prawie przegniłych kawałków materiału, najpewniej fragmenty ubrania. Przeczesał tak prawie trzy bieżące metry rowu.

- Niestety, tutaj jednak robaków nie ma - rzekł do chłopca. - Będę musiał poszukać gdzie indziej. - Popatrzył na to, co wyciągnął z rowu, pokiwał głową i mówił dalej: - No i trzeba to posprzątać.

Chłopiec ze zrozumieniem pokiwał głową, a Kufel wyciągnięte z rowu strzępy, sprzączkę i but włożył do gumowego wiaderka, który umieścił w koszu motocykla. Podeszedł do rowu, nachylił się i umył ręce. Przyjrzał się ubłoconym spodniobutom i zwrócił się do chłopca:

- Nie wiesz, gdzie bym mógł się przebrać? - Popatrzył w stronę krzewów leszczyny. - Myślisz, że mógłbym to zrobić tam? Popilnujesz mi tu wszystkiego?

- Pewnie. Ale my się tam nie bawimy. Mówią, że tam są miny po Niemcach.

- Aha! - rzekł Kufel, pamiętając, że Leszek Łopatowicz taczkę właśnie tam znalazł. - Pójdę tam jednak.

Z trudem rozdzielał chaszczę i leszczynową gęstwinię. Wreszcie do niej dotarł. Zwyczajna jednokołowa taczka, a raczej to, co z niej zostało. Metalowa obręcz utrzymywała kawałki drewna, na których tu i ówdzie widoczne były ślady czerwonego lakieru. Chwyty były połamane, ale bliżej skrzyni drewno okazało się mniej „zjedzone” przez czas.

Kiedy poskrobał, pod brudem zobaczył przyblakłe resztki zielonej farby. Tak! To była ta taczka. To nią Winkler przetransportował zwłoki Burchela.

Kufel zdjął zabłocone spodniobuty i wrócił do motocykla. Parę metrów dalej od miejsca jego „wykopków” płynęła czysta woda. Obmył spodniobuty oraz sprzęt i mrugnawszy na chłopca, rzekł:

- Ruszam dalej. Pewnie gdzieś uda mi się znaleźć te specjalne robaki.

Chłopiec chciał jeszcze coś powiedzieć, ale IŻ odpalił za pierwszym kopnięciem, a Kufel dodał gazu i chłopca już nie usłyszał. Za odjeżdżającym motorem na łące ścielił się niebieski dymek.

W domu, wiaderko z „wykopaliskami” zaniósł prosto do łazienki. Włożył je do wanny. Wpuścił wodę. Najpierw obmył mosiężną sprzączkę od paska. Nic nadzwyczajnego. Potem każdy znaleziony strzępek starannie oczyścił i układał na ręczniku. Woda w wannie przybrała kolor rozwodnionej kawy. Kiedy ją spuszczał, zobaczył „to”. Na dnie wanny spływająca brudna woda poruszała błyszczący krążek. Zaskoczony Kufel wyjął go. I oto trzymał w ręce monetę. Złotą monetę dziesięciofrankową z portretem Napoleona III, z roku 1857 roku. Skąd się tutaj wzięła? Przejrzał jeszcze raz te strzępy. Niektóre przypominały fragmenty mankietów spodni. To tam, jakby w kieszeni, moneta musiała przetrwać dwadzieścia lat.

Kufel złapał się za głowę. Może było ich tam więcej? - pytał sam siebie. Ale zaraz też odpowiadał: przecież przeszukałem spory kawał rowu. Blisko osadzone zęby grabek powinny nawet wyłović monety wielkości pięćdziesięciu groszy, a ta ma chyba ze dwadzieścia milimetrów średnicy. Nie, tam chyba rzeczywiście była ta jedna, zaszyta w mankiecie spodni - domniemywał. Ale dlaczego właśnie moneta francuska, i to tylko jedna? Czy dla jednej złotej francuskiej monety morduje się człowieka? Niewykluczone, że ten złoty krążek pochodzi z jakiegoś

skarbu. Najpewniej to Burchel miał ją przy sobie, schowaną w mankencie. Ale dlaczego? - dumiał Kufel. Może ma to coś wspólnego z księżną Marią Dorotą, jej francuskim pochodzeniem? A może moneta ta zawiera wskazówkę, gdzie ukryta jest reszta tych złotych krążków? Czy tego szukał Winkler?

Pytań starczyło na dzisiaj. Zmęczony Kufel położył się. Ale zasnąć nijak nie mógł. Policzył wszystkie barany w okolicy. Sporo ich było. Nie pomogło. Nad ranem doszedł do wniosku, że powinien porozmawiać z mieszkańcami Klenicy. Wiedział, że żyją tam jeszcze autochtoni. Może od nich czegoś się dowie?

26 sierpnia 1962, niedziela

Co wiedzieli starzy autochtoni?

Karol, starszy z braci Sulek dochodził osiemdziesiątki. Chodził o kulach, ale pamięć miał dobrą. Jego polski odpowiadał mniej więcej jego fizycznej kondycji. Kufłowi to nie przeszkadzało.

- Mógłbym pana, panie Sulek zapytać o dawne czasy, to znaczy o lata sprzed pierwszej wojny światowej? - zadał Kufel pierwsze pytanie.

- O! tak. Pamiętam dużo wiele. To był dobry czas - odpowiedział wyraźnie ożywiony Sulek.

- A księżną Radziwiłłową pan pamięta?

- No tak. Wszystkie tu ją lubili.

- Jaka była? - dociekał Kufel

- No, dobra była. Na koniec trochę skąpa. Mówili, że pieniądze za jakieś akacje miała - opowiadał Karol Sulek.

- A z dziećmi się widywała?

- Ona dla dzieci dużo zrobić.

- Ale ja pytam o jej dzieci.

- Nie wiem. Chyba nie byli w Kleinitz. - Po chwili namysłu dodał: - *Doch, doch*⁵⁵... ten młody syn przed sama wojna tu był, ale to tajemnica.

- Jaka tajemnica, kiedy wszyscy na wsi wiedzieli? - oponował Kufel.

- O nie. To tylko ja i mój kamrat Franz Brückner. Tylko my to znali.

- A jak zmarła, to dzieci na pogrzeb przyjechały?

- Nie! Przecież był *Krieg*, wojna znaczy była.

- Ale jej grobu teraz tu, w Klenicy, na cmentarzu nie ma.

- Kilka lat był grób, taki górek. Potem zabrali ją - opowiadał Sulek. - Mówili, że do Polski. Ale tam, w to miejsce stawili słup z jakimś Francuzem. Aż do Polski, jeszcze to tam było.

- A Burchela pan znał?

- No wiem jego, ale nie rozmawiał sam. Faszysten go zabili. Tak mówili wtedy.

- A kto mógłby jeszcze coś wiedzieć z tamtych czasów? - męczył staruszka Kufel.

- Pewnie Marysia Eichler. - Przerwał, ale natychmiast kontynuował: - Ona teraz jest Maria Brückner. Ona wdowa. Jej mąż, mój kolega Franz Brückner. Z nią lepiej po niemiecku.

- Czy Maria miała córkę Gretę?

- Tak. Ona już umarła. W 1944 umarła.

- Ale ta Maria jeszcze żyje i mieszka tu w Klenicy?

- Tak.

Kufel miał jeszcze kilka cygar, które mu zostawił Hundt. Jedno z nich wręczył Sulkowi. Stary był cały w skowronkach. Zachwycony, obracał cygaro w ręku i rzekł:

- Zaraz będę po cichu ćmić. - Popatrzył na Kufla i dodał: - Żeby córka nie wiedzieć, bo u niej mi nic nie wolno.

Kufel pożegnał starego i ruszył do tego dużego pomarańczowego domu, stojącego przy głównej szosie, nieomalże naprzeciwko stawu, jak mu to powiedział Sulek.

Maria zrywała śliwki. Wchodzącego na podwórko Kufla nie zauważyła. Kiedy podszedł do ogrodowego płotu i pozdrowił ją, zaskoczona nieomal spadła z drabiny. Popatrzyła na przybysza bystrym wzrokiem.

- Tcien dobri - odpowiedziała.

Wyglądała na kilka lat młodszą od Sulka. Kufel zagadał do kobiety po niemiecku:

- Nazywam się Alfons Zieja. Mieszkam w Zielonej Górze. Interesuję się Radziwiłłami. Czy mogłaby pani ze mną porozmawiać.

Zaprosiła go do *gute Stube*, czyli pokoju w którym się nie mieszkało, tylko przyjmowano szczególnych gości.

- A co dokładnie chciałby pan wiedzieć?

- No, jak najwięcej o księżnej Marii Dorocie.

- Franz, mój mąż, najpierw był u niej stangretem. Potem nawet pomagał jej na pokojach. Miał służące pod sobą. Kiedy zmarła, odszedł z dworu. To była dobra pani i mądra.

- A ta mądrość księżnej to na czym polegała? Na tym, że pod koniec życia sprzedawała akcje?

- Akcje, akcje - podjęła podekscytowana Maria. - Tak plotkowali wtedy, ale ona po prostu stała się oszczędniejsza. Wiedziała, że idą ciężkie czasy. Papiery wartościowe może i sprzedawała, ale przecież i jej potrzebne były pieniądze.

- A co z jej dziećmi?

- Córki wyszły za polskich arystokratów. Syn starszy zmarł, a młodszy zginął gdzieś. Chyba na wojnie. Ale ten młodszy był u niej jeszcze przed śmiercią. Pamiętam. O tym nie wolno było mówić.

- Kiedy to było?

- Kiedy to było...? - Maria zamyśliła się. - Tak, przed śmiercią księżnej, ale wojny chyba jeszcze nie było. Księżę Stanisław Wilhelm był tylko dzień czy dwa.

- A Burchel?

- Burchel! - rozpromieniła się. - Zarządzał majątkiem Radziwiłłów. Fajny był. Lubiliśmy go, a zwłaszcza mój tato. Wie pan, on był podleśniczym w Radziwiłłowskich lasach. Często opowiadał historyjki z tamtych lat. Szczególnie chętnie o tym, jak Burchela uratował od zbójów.

- Kiedy to było? - zainteresował się Kufel.

- Wtedy, kiedy to powstanie było w Polsce. To musiało być gdzieś na początku 1919 roku.

- I co się wtedy stało?

- Ojciec pojechał saniami po pana Burchela do Kargowy. On wracał od księcia z ciężką walizką. Mówił, że jakieś książki wiezie z Polski. Kiedy już prawie byli w Klenicy, to dwóch takich ich napadło. Ale tato sypnął im w oczy garścią piachu z pieprzem, to ich złapali i zamknęli. A pan Burchel i jego ciężka walizka szczęśliwie dojechali do pałacu - opowiadała Maria.

- Może pani wie, co się stało z grobem księżnej? - chciał się dowiedzieć Kufel.

- Zaraz po śmierci była pochowana na klenickim cmentarzu. Potem, chyba w latach dwudziestych zabrano ją stąd do... no do rodzinnych dóbr, gdzieś w Polsce. A tu na dawnym jej grobie postawiono cokół z popiersiem jakiegoś dawnego francuskiego władcy⁵⁶. Ruskie go zniszczyły. Pozostała tylko górka.

- Mam jeszcze bardzo osobiste pytanie. Czy mogę?

Maria skinęła głową.

- Otóż chciałem zapytać, jak zmarła Greta, pani córka?

- Na serce zmarła. Zwyczajnie w klinice we Wrocławiu - odpowiedziała Maria, ocierając wierzchem dłoni łzę.

Kufel podziękował i wrócił do Zielonej Góry. Tym razem zrobił sobie notatki i długo nad nimi medytował. Od czasu do czasu czytał je ponownie i uzupełniał. Niektóre miejsca podkreślał. W ten sposób zaznaczył:

- Księżna sprzedawała akcje.

- Tuż przed wybuchem wojny potajemnie odwiedził księżnę młodszy syn Stanisław Wilhelm.

- Burchel na początku 1919 roku wracał do pałacu z ciężką walizką.

- W latach dwudziestych doczesne szczątki księżnej Marii Doroty zostały ekshumowane i przeniesione do Nieświeża. W miejscu jej grobu stanął pomniczek (na cokole) cesarza Napoleona III, który jej dziadka mianował marszałkiem Francji. Pomniczek zniszczyli Rosjanie.

- Greta nie ma z tym nic wspólnego; w 1944 roku zmarła młodo.

Minął kolejny tydzień, podczas którego Kufel usiłował logicznie poskładać fakty. Przypomniawszy sobie rozmowy ojca z wujem Jasiem. Oni tego Burchela wspominali często, a zwłaszcza jego ciężką walizę. Czy rzeczywiście były w niej książki?

Przyszedł list z Niemiec. Pocztowy stempel mówił, że to z Verden. Na odwrocie był adres Hundta. List był krótki. Parę uprzejmości i wiadomość najważniejsza: ... *dowiedziałem się, że Herman Winkler nie żyje. Podobno zginął w wypadku lotniczym. W ten sposób „nasz” morderca, nie pierwszy i niestety nie ostatni, uszedł sprawiedliwości. Mam nadzieję, że tego prywatnego dochodzenia nie zaprzestałeś.*

Nie, przyjacielu, nie zaprzestałem i chętnie bym z tobą na ten temat pogadał. I wtedy przypomniał sobie. Przecież obiecał. Nazajutrz wysłał do Verden prywatne zaproszenie dla Leo Hundta.

18 listopada 1962, niedziela

Stare wygi dociekają

W sobotę 17 listopada do Kufla dotarł telegram: „Przyjeżdżam autem. Niedziela 18 listopada, wieczorem. Hundt”. Zgodnie z zapowiedzią, przed mieszkaniem Kufla w niedzielę wieczorem rzeczywiście stanął przybrudzony biały VW „garbus”, z zachodnioniemiecką rejestracją VER-LH347.

Kufel, siedząc przy oknie, wypatrywał gościa od dłuższego czasu. Kiedy go tylko zobaczył, szybciotko pomógł mu wnieść bagaż do sypialni, którą postanowił ustąpić Hundtowi. A ten, jak to ci z Zachodu, przywiózł kawę, cytrusy i... paletę puszek König Pilsner, z której gospodarz ucieszył się najbardziej.

Leo Hundt, mimo że zmęczony granicami⁵⁷, napędzany był ciekawością. Gorąco zachęcał Kufla do zrelacjonowania wyników swoich dociekań jeszcze tego wieczora.

- Opowiadaj, Alfons, opowiadaj. Do czego doszedłeś? Udało ci się coś wyjaśnić?

- Na razie posłuchaj, co mamy. Jutro sobie o tym podyskutujemy, ale dzisiaj fakty. Najciekawszy to ta moneta. - Położył złoty krążek na stole. - Znalazłem to w tym rowie, gdzie wyciągnięto szczątki Burchela. Zakładam, że ta moneta zaszyta była w mankencie spodni.

- Ciekawe, ciekawe - mruknął Hundt. - Tylko jedną znalazłeś?

- Tak. Przyznam, że i ja sobie takie pytanie zadawałem. W tym miejscu jednak dno rowu sprawdzałem bardzo dokładnie. Nic więcej nie było. - Po chwili kontynuował: - A teraz co do tej taczki. Potwierdzam, że to ten wehikuł, którym przetransportowano zwłoki.

- No, no! I co jeszcze masz? - niecierpliwił się Leo.

- A mam coś jeszcze. Księżna Radziwiłłowa tuż przed pierwszą wojną sprzedała papiery wartościowe. Znaczą się, gromadziła pieniądze. Mniej więcej w tym czasie jej syn, książę Stanisław Wilhelm, odwiedził ją potajemnie w Klenicy. Na początku 1919 roku Burchel wracał z Warszawy z wyjątkowo ciężką walizką. Twierdził, że to książki. Ale ja w to nie wierzę. Przypadkowo w czasie swojej podróży nocował w Kaliszu, w domu mojego wujka. On wtedy sądził, że pan Burchel wiezie broń dla powstańców. Mój tato przewiózł go z Kalisza do Jarocina i... tej ciężkiej walizki także doświadczył. Długo opowiadali sobie o tym. Znaczą się, tato i wuj.

- Nie wiem, czy z tą obfitością wiadomości zasną - odezwał się podekscytowany Hundt.

- No, to jeszcze ci coś powiem. Kiedy w latach dwudziestych ekshumowano zwłoki księżnej i przeniesiono je do Nieświeża, to na klenickim cmentarzu na miejscu jej grobu postawiono cokół z popiersiem Napoleona III. Tego samego, co na tej złotej monecie - powiedział Kufel, wskazując na leżący przed nimi złoty krążek.

- Ciekawe, ciekawe - powtarzał Hundt, trzymając w zębach dawno zgasłe cygaro. Nagle klepnął się w czoło i prawie krzyknął: - Reliefy! Tak, reliefy!

Zdumiony Kufel popatrzył na swojego gościa, niczego nie rozumiejąc.

- Reliefy? Jakie reliefy?

- Alabastrowe owalne płaskorzeźby. Kiedy w 1942 prowadziłem w Klenicy dochodzenie, widziałem je. Chyba w sali bankietowej - zastanawiał się Hundt. - Tak, pamiętam, między oknami. Były na nich popiersia niemieckich cesarzy i... co mnie wtedy już zastanowiło, właśnie również Napoleona III. Sprawdziłeś może, są tam jeszcze?

- Nie byłem w pałacu. Zresztą nie sądzę, żeby przetrwały. Niemieccy cesarze w pałacu myśliwskim, w którym teraz są biura polskiego zespołu pegeerów?

Nazajutrz zaraz po śniadaniu obaj panowie zasiedli w fotelach, aby szczegółowo przedyskutować fakty, spostrzeżenia i hipotezy. Nie mieli już wątpliwości. Sprawcą obydwu morderstw, tego sprzed czterdziestu lat i tego z pięćdziesiątego ósmego, był Herman Winkler. To nic, że z NRD zabrakło potwierdzenia o samochodzie. Przecież tylko Winkler był w Klenicy dwa razy. To właśnie wtedy popełniono te morderstwa.

- Wprawdzie dowodów nie mamy - zagadnął Hundt - ale Winkler niewątpliwie był w Klenicy parę dni przed zaginięciem Burchela. Dlaczego nie miałyby wrócić?

- Tylko dlaczego miałyby wracać? Coś musiało go do tego skłonić. Czy zgodziłbyś się z założeniem, że miało to związek z tą paczką z Polski, w 1920 roku?

- To całkiem możliwe - powiedział Hundt. - Wtedy mógł ją ktoś wstawić do archiwum i stała tam aż do przeprowadzki zrobionej przez Winklera.

- Ale dlaczego nie zauważył tego Burchel? Przecież to on w owym czasie zarządzał pałacem i majątkiem - zwątpił Kufel.

- Bo nie była zaadresowana do Burchela. Nie widział jej, a sekretarka nie znajdując w niej niczego ciekawego czy pilnego, po prostu wstawiła ją do archiwum.

- Też możliwe. Tam było parę polskojęzycznych dokumentów, to nawet nie bardzo wiedziała, co z tym zrobić - przytaknął Kufel.

- Idąc tym tokiem myślenia, dochodzimy do wniosku, że Winkler musiał jednak w tym kartonie coś znaleźć. Nie skarb przecież.

- Skarbu to nie. Możliwe jednak, że była tam jakaś informacja na ten temat. Ale skoro jesteśmy przy skarbie, jak mówisz, to zastanówmy się, jaki związek mogłoby to mieć z podróżą Burchela i tą jego ciężką walizką - rozważał głośno Kufel.

- Myślisz, że w bagażu podróżnym wiozłby coś tak bardzo cennego? Co by to miało być? Nie lekkie, ale

jednocześnie nie za duże objętościowo. Bądź co bądź, mieściło się w walizce.

- A może sztabki złota? - Nagle Kufel popatrzył na leżącą na stoliku złotą dziesięciofrankówkę z Napoleonem III i kontynuował: - Ile by ważyło tysiąc tych monet?

- Ja wiem? - Hundt zważył monetę w ręku. - Jedna jakies trzy, cztery gramy. To tysiąc sztuk ważyłoby ponad trzy kilogramy.

- Ile waży przeciętna, dobrze wypełniona walizka?

- Może ze dwadzieścia kilka kilo - rzucił Hundt. - I nawet wiem, do czego zmierzasz - dodał uradowany. - Taką walizkę można jeszcze unieść, ale już dziesięć, piętnaście kilo więcej, to już wymaga sporego wysiłku.

- A gdyby było jeszcze więcej, to pewnie walizka by się rozleciała. Przecież produkowano je dla podróżnych, którzy te dwadzieścia kilo uniosą.

- I dlatego możemy domniemać, że Burchel wiozł wtedy ze sobą około dziesięciu kilogramów złota, a najprawdopodobniej tysiąc, może dwa, a nawet trzy tysiące tych złotych Napoleonów III - stwierdził Hundt.

- Właśnie! A to już rzeczywiście jest skarb. Dlatego pewnie Winkler tak bardzo chciał go mieć - dodał Kufel. - Jednego wszak jeszcze nie rozumiem. Dlaczego Burchel wiozł to z Polski do Klenicy?

- Myślę, że księżna Radziwiłłowa przeczuwając kryzys, zainwestowała w złote monety, a zwłaszcza w te z Napoleonem III. Kiedy Stanisław Wilhelm ostatni raz widział się z matką, ta mu je przekazała, aby je umieścić w rodzowym skarbcu w Nieświeżu.

- I tam powinny zostać - przerwał Hundt Kufłowi.

- Zapominasz o bolszewickiej inwazji na ziemie polskie. Pewnie dlatego książę zdecydował się wysłać je do Klenicy. Pamiętaj, Niemcy były już w miarę spokojne, a w klenickim pałacu można było je dobrze ukryć.

- I do przewiezienia skarbu do pałacu wybrał swojego druha i zaufanego sługę matki, Burchela. Jak to zwykle

bywa, w takich sytuacjach sporządza się pokwitowanie, czy coś w tym rodzaju. Niewykluczone, że taki dokument wtedy powstał, a Winkler znalazł go w kartonie.

- Ciekawe, że nie znalazł tego ów Lubicz-Stasiński, kiedy umieszczał to wszystko w paczce, którą potem wysłał do Klenicy - zastanawiał się głośno Kufel.

- Tego nie wiemy. Może zobaczył ten papier, ale przyjacielska lojalność albo zwykła uczciwość nakazywała mu przejść nad tym do porządku dziennego - skonstatował Hundt.

- Pewnie ci nie mówiłem. Stasińskiego syn zginął w 1947 roku w klenickim lesie. Działał w antykomunistycznym podziemiu, ale dziwnym zbiegiem okoliczności trafił aż do Klenicy.

- Tyle że to nas nie posunie ani o krok do przodu. Młody zginął, a ojciec pewnie też już nie żyje. Żadnego innego śladu z tamtej strony chyba nie znalazłeś?

- Nie - odparł Kufel.

- No właśnie. To wróćmy do Winklera. Zastanawia mnie mianowicie, jak on zauważył ten dokument. Przecież pewnie sporządzony był po polsku. Mówiłeś mi, że Burchel płynnie posługiwał się językiem polskim. Księżę był adiutantem Piłsudskiego, więc to logiczne. Albo Winkler znał polski, albo ktoś mu to musiał przetłumaczyć. No i mielibyśmy współnika. Przecież byłaby to osoba wtajemniczona w sprawę.

- To bardzo prawdopodobne. Zwłaszcza że pasowałyby do tej postaci przechadzającej się po parku, a zauważonej przez ogrodnika - stwierdził Kufel. - Ale o nim nie wiemy nic i pewnie już się nie dowiemy. Winkler nam tego też już nie powie.

- Tak. Z grubsza wszystko do siebie pasuje. Mamy trupy, mamy sprawcę, jest motyw, tylko nie mamy tego skarbu. Niemożliwe, żeby z tego tylko ta dziesięciofrankowa moneta pozostała. Gdzie on jest, ten skarb? - zastanawiał się Hundt.

- Burchel dobrze go schował. Może zauważył, że ktoś jest mocno zainteresowany tymi złotymi krążkami. Może czuł się zagrożony i dlatego tę jedyną monetę, która z jakichś względów była wyjęta z tego zbioru, zaszył w mankencie swoich spodni - rozważał Kufel.

- Zgadzam się, że z jakichś powodów Burchel się bał. Podejrzewam jednak, że czuł się zobowiązany oddać ten skarb prawowitym właścicielom, którzy mieli się kiedyś po to u niego zgłosić. Czując zagrożenie, rzeczywiście schował tę monetę. Właśnie tę z Napoleonem III. Nie mógł oficjalnie albo jawnie poinformować potencjalnych spadkobierców, gdzie te monety są schowane. Ale przez tę złotą dziesięciofrankówkę chciał im dać wskazówkę, gdzie tego złota szukać. Wiedział, że księżna była fanką tego cesarza, dlatego wybrał monetę z Napoleonem III - powiedział Hundt.

- Powiedzmy, że tak było. Burchel zdawał sobie sprawę z tego, że bliscy księżnej wiedzieli o jej fascynacji owym francuskim władcą, zatem ten inteligentny przekaz mógł dotrzeć do członka rodziny. Ale na co konkretnie chciał zwrócić uwagę spadkobiercom? - nie przestawał pytać Kufel.

- Może w ten sposób chciał wskazać, gdzie szukać skarbu?

- No to powiedz, gdzie ty byś go szukał?

- W miejscach, które w jakiś sposób związane są z Napoleonem III - odparł Hundt.

- A gdzie konkretnie mogłyby być ukryte te monety? - dochodził Kufel, ze sporą dozą wątpliwości.

- Jeżeli ich jeszcze nie znaleziono, to szukałbym za wspomnianymi alabastrowymi reliefami w pałacowej sali bankietowej albo na cmentarzu pod tym cokołem z popiersiem Napoleona III. Ale i to nie jest pewne. Może Burchel zdołał spadkobiercom przesłać inne instrukcje, w których kluczem była ta przez ciebie znaleziona złota moneta - wywodził Hundt.

- I na tym chyba nasze prywatne dochodzenie możemy zakończyć. Ja skarbu szukał nie będę. To przecież tylko nasze hipotetyczne rozwiązanie. Mnie wystarczy frajda, jaką miałem pracując z tobą nad tym zapomnianym przypadkiem... i ten złoty krążek na pamiątkę - podsumował Kufel.

- Ja też nie będę go szukał - rzucił Hundt. - Dla mnie największą satysfakcją jest, że to ja przyczyniłem się do rozwikłania tej sprawy, oczywiście razem z tobą, a nie ten dupek Seppel.

- Właśnie, Seppel! W liście czegoś nie dopowiedziałeś. Podobno znalazłeś go. Gdzie jest, co robi?

- Seppel jest majorem STASI w Karl-Marx-Stadt. Z dawnych metod nie musiał rezygnować. Zmienił tylko pana - odpowiedział ponuro Leo Hundt.

- Tak to bywa. Są na świecie rzeczy, na które nie mamy wpływu, a ten Seppel jest jak woda, przyjmuje kształt naczynia, do którego ją wlejesz.

- Myślę, że i jego czeka jeszcze życiowa próba. Nie wiadomo tylko kiedy - smętnie dodał Leo. A my tymczasem wypijmy piwko - zawołał radośnie Kufel, spoglądając na swojego gościa, który właśnie sięgnął po kolejne cygaro.

Epilog

Mijały lata. Panowie Hundt i Kufel spotykali się wielokrotnie. I zawsze tematem ich spotkań było także to ich wspólne prywatne dochodzenie z 1962 roku. Leo Hundt dożył sędziwego wieku. Doczekał jeszcze zjednoczenia Niemiec. Alfons Zieja, o przydomku Kufel, odwiedził go w osiemdziesiątych latach kilkakrotnie w Verden⁵⁸. Być może to Hundt i jego polski przyjaciel doprowadzili do tego, że Verden stało się partnerskim miastem Zielonej Góry.

Jesienią 1989 roku wraz z murem berlińskim padło wszechmocne STASI. Seppel dożył zapewne enerdowskiej emerytury i słuch o nim zaginął. Nie zaginęła jednak zawartość jego szafy panczernej. Wszystko, co w niej było, trafiło do Urzędu Gaucka⁵⁹. Kiedy rok później dokonywano naukowej selekcji materiałów znalezionych w biurach STASI, asystent wstępnie przeglądający teczki znalazł w jednej z nich, tej oznaczonej sygnaturą „STASI Karl-Marx-Stadt”, zalakowaną szarą kopertę formatu A4, na której ręcznie napisano „Winkler”. Zajrzał do niej, po czym wyjął plik gęsto, ręcznie zapisanych kartek. Zaczął czytać:

Kiedy pryncypał polecił mi uporządkować stare archiwum pałacowe, natrafiłem na tajemniczy karton zaadresowany: „Jagdschloß Radziwill, Verwaltung, Kleinitz, krs. Grünberg, Schlesien”. Nadawcą był jakiś Polak. Kiedy zajrzałem do niego, znalazłem tam patent oficerski księcia Wilhelma Stanisława Radziwiłła z podpisem bodajże Wilhelma II i podobny dokument w języku rosyjskim, jakieś odznaczenia niemieckie, rosyjskie i chyba polskie. Była tam też wiązana teczka z innymi dokumentami. Jeden napisany po polsku zainteresował mnie szczególnie. Wyglądało to na jakieś zestawienie, z trzema podpisami i odciskiem pieczęci

z orłem w koronie. Resztę zapakowałem z powrotem, a tę ostatnią kartkę zabrałem ze sobą. Przetłumaczył mi ją mój kumpel Werner Dziubany, pochodzący ze Śląska. Pamiętam, byliśmy strasznie podnieceni, kiedy się okazało, że jest to pokwitowanie z 1918 roku, dotyczące odbioru skarbu. Potem jeszcze się okazało, że ten skarb mógłby teraz nadal być w posiadaniu niejakiego Alberta Burchela, emeryta mieszkające go w pałacu. To była nasza szansa.

Moja służbowa obecność w pałacu trwała kilka dni. Podczas przenoszenia archiwum miałem okazję porozmawiać z tym miłym i rześkim emerytem. Kiedy zagadywałem go o warunki życia, odpowiadał niezmiennie tajemniczo: „jakoś sobie radzę”, znacząco mrugając okiem. Wiem jednak, że żył dość skromnie. Richtbergowie tylko czasami zapraszali go na obiad. Mimo to stać go było na urlopy, o których zdążył mi opowiedzieć. Rokrocznie mianowicie jeździł do dobrych hoteli w Sudetach. Te informacje utwierdziły w nas przekonaniu, że gość dysponuje jakimiś innymi środkami. Wychodziliśmy z założenia, że to ten skarb Radziwiłłów. Postanowiliśmy mu go zabrać. Po co takiemu staremu pierdzielowi tyle dobra?

Do Grünberg (dzisiaj Zielona Góra) przyjechaliśmy z Berlina w sobotę. W niedzielny wieczór pojechaliśmy z Wernerem rowerami do Tarnawy. Łódką przeprawiliśmy się przez Odrę. Polnymi drogami, niepostrzeżenie dotarliśmy do pałacowego parku. Zakładaliśmy naiwnie, że pan Burchel musi ten skarb mieć w mieszkaniu, skoro z niego od czasu do czasu korzysta. Nic łatwiejszego, pomyśleliśmy, przypilnować, aż starszy pan pójdzie na swój zwykły wieczorny spacer po parku i jeden z nas przeszuka jego mieszkanie. Koło jedenastej Burchel faktycznie opuścił mieszkanie, a ja się tam udałem. Przeszukiwałem dość systematycznie. Przewróciłem wszystko do góry nogami i niczego nie znalazłem. Niestety nie zdążyłem w porę opuścić mieszkania. W pewnym momencie wszedł Burchel. Obaj byliśmy zaskoczeni.

„Czego tu szukasz”, wysyczał. „Radziwiłowego skarbu”, odparłem. „Nigdy go nie znajdziesz, mam go zawsze przy sobie”, odsapał wściekle. Rzuciłem się do ucieczki, ale ten stary dureń ruszył za mną. Przykucnąłem za murem, przy wejściu na schody. On myśląc, że uciekłem, ruszył schodami na górę. Co miałem robić? Przecież on wiedział, kim jestem. Nie mogłem ryzykować. Chwyciłem jakąś rurkę z kupki złomu i ruszyłem za nim. Kiedy cichutko wszedłem do korytarzyka, stał przy schodach, nasłuchując i wypatrując mnie na górze. Zauważył mnie. Zaczęliśmy się szamotać. Raz i drugi zdzieliłem go tą rurką w głowę. Stary tylko jęknął, zachwiał się i upadł. Wiedziałem, że w niedzielę po obiedzie Greta zwykle wracała do rodziców. Werner czekał na mnie w parku. Wszystko mu opowiedziałem. Kiedy ja zajęty byłem przeszukaniem mieszkania, on obserwował Burchela. Zauważył, że ten w pewnym momencie wyszedł z parku do ogrodu i przez chwilę przyglądał się pozostawionej przy grządkach taczce, coś mrucząc pod nosem. Wzięliśmy później tę taczkę, wcześniej wyrzucając z niej jakieś narzędzia. Załadowaliśmy zwłoki Burchela na taczkę z zamiarem wywiezienia go gdzieś w kierunku Odry. Zreflektowaliśmy się jednak. Gdyby ktoś zauważył ślady taczki, zaczęto by szukać zwłok i sprawców właśnie w tym kierunku. Zawróciliśmy i powieźliśmy trupa drogą biegnącą przy wale na wschód. W którymś momencie, przy jakimś zagajniku, skręciliśmy w prawo na łąkę i jadąc taczką wzdłuż słupków ogrodzenia, dotarliśmy do szerokiego rowu melioracyjnego. Tam go wrzuciliśmy. Werner przyniósł z drogi parę kamieni, którymi obciążyliśmy Burchela. Przykryliśmy to wszystko wodorostami. Ponieważ było po sianokosach, liczyliśmy na to, że śladów taczki nikt nie zauważy, a Burchela przynajmniej przez kilka najbliższych dni nikt nie znajdzie. Taczkę odstawiłem do zagajnika i ukryłem w chaszczach. Przykryłem ją jeszcze gałęziami.

Była już późna nocna godzina. Wszystko spało. Nawet psy nie czekały. Wróciliśmy do jego mieszkania.

Przeszukaliśmy je jeszcze raz. I nic. Siedzieliśmy tam w nocy i zastanawialiśmy się, co dalej. Jedno było pewne. Skarbu w mieszkaniu nie było. Dla zmylenia śladów postanowiliśmy, że nazajutrz po południu Werner pokaże się na krótko w kaszkiecie i w marynarce Burchela. Tak też zrobił, a ja jeszcze tej nocy wróciłem do Zielonej Góry. Rano pojawiłem się w hotelu na śniadaniu. Pod wieczór znowu zrobiłem rowerową wycieczkę do Tarnawy i dalej pieszo nad Odrę. Późnym wieczorem przepравиłem się i zabrałem Wenera z klenickiego brzegu Odry. Pokazaliśmy się jeszcze w hotelu, a nazajutrz wyjechaliśmy do Berlina.

Jeszcze po latach skarb Radziwiłłów nie dawał mi spokoju. Zwłaszcza słowa Burchela, że ma go zawsze przy sobie. Zastanawiałem się, co mogłoby to znaczyć? W końcu doszedłem do wniosku, że albo nosi ze sobą, na przykład w specjalnym pasie, złote monety, albo jakiś kluczyk do schowka lub plan albo szkic miejsca, gdzie go schował. Szkoda, że wtedy nie przeszukaliśmy starego. Nie zauważyliśmy też niczego podczas umieszczania Burchela na tacze. Ja trzymałem go za nogi, Werner pod ramionami.

Werner Dziubany wkrótce poszedł na wojnę i już z niej nie wrócił. Mnie Richtberg do 1944 reklamował jako niezbędnego w firmie. W końcu jednak i mnie wzięli. Z niewoli rosyjskiej wróciłem w czterdziestym siódmym.

Osiadłem w dedeerowskim Peitz. W niewoli poznałem język rosyjski. Często byłem tłumaczem pomagającym miejscowym władzom w kontakcie z dowództwem sowieckiego garnizonu. W niewoli pracowałem w fabryce produkującej i naprawiającej dwupłatowce Po-2. Maszynę tę poznałem gruntownie. W Peitz cieszyłem się pełnym zaufaniem partii i miałem paru przyjaciół wśród rosyjskich oficerów. Też tych z KGB. Często potrzebowali mojej pomocy. Uzyskałem zgodę na uczestniczenie w kursie sportowego pilotażu szybowców i samolotów. Latałem oczywiście na dwupłatowcu Po-2, podarowanym naszemu aeroklubowi przez towarzyszy radzieckich. Potem, jako

członek SED, uzyskałem licencję instruktora lotniczego w Aeroklubie Cottbus. Szkoliłem przyszłych pilotów w ramach GST.

Skarb Radziwiłłów nie dawał mi spokoju. Po 1956 roku obywatele DDR mogli już łatwiej wyjeżdżać do Polski. Pojechałem i ja. Nie byłem jedyny. Dedeerowskie auta u Polaków już nie wzbudzały specjalnego zainteresowania. W pałacyku myśliwskim były teraz jakieś biura, ale wizualnie nic się nie zmieniło. No, może to wszystko było trochę bardziej zaniedbane. Spacerkiem przeszedłem się po wale, na wschód aż do kępy leszczynowych krzaków. Pamiętałem, że zwłoki Burchela ukryliśmy w rowie melioracyjnym, przy słupkach zagrody. W pierwszej chwili żadnych resztek zagrody nie zauważyłem. Poszedłem tam. Tuż przy rowie znalazłem tylko kawałek kołka z dawnego ogrodzenia. Wiedziałem: to jest miejsce, w którym powinny leżeć zwłoki Burchela - albo to, co z nich zostało. Jeśli ich nie znaleziono, to nadal musiały tam być. W każdym razie bagnisty rów był zarośnięty. Z pewnością prac melioracyjnych tu jeszcze nie przeprowadzono. Jeżeli Burchel tu leży - pomyślałem - to razem ze skarbem lub jakąś konkretną informacją. Tymczasem nie mogłem jednak nic zrobić. Widzieli mnie różni ludzie, a zwłaszcza biegające po wale dzieci. Postanowiłem tu wrócić. Nie wiedziałem jeszcze jak. Jako pilot sportowy jakoś zwyczajowo oceniam teren pod kątem przydatności do lądowań i startów. I nagle mnie olśniło. Przecież mogę tu po cichu wylądować i znowu wystartować tym ruskim dwupłatowcem. Z NRD oczywiście samolotem do Polski przylecieć nie mogłem. Potrzebny był samolot z Polski. Przyjechałem całkiem legalnie. Zamieszkałem w hotelu „Pod Orłem”. Samochód postawiłem zwyczajnie na ulicy, przed bankiem. Już podczas mojej pierwszej wizyty w Polsce nagabywano mnie o marki. Wiedziałem, że za dewizy Polacy robią wiele. I rzeczywiście, jeden z nich zaskoczył, obiecując kontakt z jakimś kuzynem, pilotem w tutejszym aeroklubie - za

pięćset dolarów. Za chwilę byłem umówiony. Pieniądze miałem wręczyć po wykonaniu lotu. Udawałem zwariowanego fotografa, który za dolary chciałby o świcie przelecieć się nad Odrą, aby wykonać parę zdjęć na temat „wschód słońca nad rzeką”.

Na pilota czekałem wczesnym rankiem koło poczty. Z dostaniem się do samolotu nie było problemu. Przejąłem go zresztą i wylądowałem w Klenicy na tej łące. Kiedy zmusiłem pilota pistoletem do pogrzebania w mule, rozejrzałem się. Na wale zobaczyłem jakiegoś człowieka wymachującego rękami. Zdawało mi się, że kogoś przywołuje. W pierwszej chwili chciałem go zlikwidować. Ruszyłem nawet w jego kierunku. Ale byłoby to zbyt niebezpieczne. W tym czasie pilot usiłował wygramolić się z tego rowu. Niestety musiał zginąć. Zgodnie zresztą z pierwotnym planem. Postanowiłem uciekać. Silnik jednak nie odpalił, a ja czasu już nie miałem. Musiałem się ewakuować. Odwróciłem kurtkę na lewą stronę i odczepiłem kaptur. Pistolet wrzuciłem do stawu nieopodal pałacu. Udało mi się, niezatrzymanym przez nikogo wyjechać z Klenicy pociągami do Cigacic. Stamtąd łatwo dotarłem do Zielonej Góry. A potem autem do domu. Po drodze i na granicy nie miałem żadnych kłopotów. Niestety ze skarbu Radziwiłłów musiałem tymczasem zrezygnować, ponieważ zakładałem, że przy okazji wyjaśniania zabójstwa tego pilota znajdą też zwłoki Burchela i jego skarb lub wskazówkę, gdzie się on znajduje.

Herman Winkler

Peitz, 26 październik 1958

A to łobuz, mruknął asystent sam do siebie. Gdyby te morderstwa nie były przedawnione, powinien odpowiadać za swoje czyny. Teraz to już tylko świetny materiał na kryminał. Zapakował kartki z powrotem do koperty i umieścił ją na jednej z dolnych półek.

Podziękowanie

Szczególne podziękowanie wyrażam Panu doktorowi Grzegorzowi Bosemu za wiele istotnych uwag dotyczących historii Radziwiłłowskiego pałacu myśliwskiego w Klenicy i za mądre „kibicowanie” autorowi.

Zacnemu panu Włodzimierzowi Żołudowi, wszechstronnemu pilotowi Aeroklubu Zielonogórskiego, dziękuję za cenne uwagi dotyczące starego samolotu Po-2 - „kukuruźnika”.

Wreszcie, jak zwykle dziękuję Lidce - mojej żonie, za trafne uwagi i „pierwsze zderzenie” z błędami w tekście, których nie daje się uniknąć, choćby czytało się go sto razy.

Autor

Przypisy

¹NSDAP - partia faszystowska w III Rzeszy.

²Majątek i dwór w Altkuenkendorf (Ukermark, dzisiejsza Mecklemburgia-Pomorze Przednie, Niemcy) nabyty w 1919 od rodziny von Rohr.

¹³ Prawdopodobnie w umowie kupna zawarta była klauzula o tzw. dożywociu Alberta Burchela (dożywotnie bezpłatne korzystanie z mieszkania).

⁴Leon Konstanty ks. Radziwiłł. W grudniu 1921 r. pojawił się w Klenicy. Jak zanotowano w Kronice, interesowały go przede wszystkim znajdujące się w pałacu ruchomości, zwłaszcza te, które przedstawiały większą wartość.

¹⁵ Grünberg (niem.) - dzisiaj Zielona Góra

⁶*Schupo* - zwyczajowy skrót od *Schutzpolizei* (niem.) - policja ochronna. W III Rzeszy policja już dawno straciła samodzielność. Podlega teraz pod V wydział *Reichssicherheitshauptamt*, które związane było z SS.

⁷Boyadel (niem.) – dzisiaj Bojadła

⁸Sekcja kryminalna w powiatowym komisariacie policji.

⁹*Revieroberleutnant* (niem.) – dosłownie nadporucznik; tu: porucznik policji
- w latach 1939-45 stopień w policji w III Rzeszy.

¹⁰ Züllichau (niem.) - Sulechów.

¹¹*Nach dem Essen tausend Schritte nicht vergessen* (niem.) – dosłownie: nie zapomnij po jedzeniu wykonać tysiąca kroków.

¹²*Reichsarbeitsdienst* (niem.) - faszystowska „Służba Pracy Rzeszy”, tutaj dla młodzieży żeńskiej.

¹³Po pierwszym ciosie plam rozpryskowych na ogół brak.

¹⁴*Reichssicherheitshauptamt* (niem.) - Główny Urząd Bezpieczeństwa
Rzeszy.

¹⁵*SS-Hauptsturmführer* - w formacjach SS (*Schutzstaffel* - dosłownie „Oddział Ochronny”; później przekształcone w *Waffen SS* - organizacja wojskowa obok Wehrmachtu) odpowiednik kapitana w dawnej policji i wojsku.

¹⁶Minucja - charakterystyczne cechy linii papilarnych, takich jak początki, zakończenia, rozwidlenia, haczyki itp. Wzajemny układ minucji jednoznacznie identyfikuje daną osobę.

¹⁷Stopień w SS - odpowiednik kapitana policji.

¹⁸*Staatspolizeileitstelle Liegnitz* – komenda wojewódzka policji państwowej w Legnicy, podporządkowana była komendzie regionalnej we Wrocławiu.

¹⁹DKW F8 - samochód znany już pod nazwą IFA

²⁰Jerzy Fryderyk Radziwiłł zmarł we Wiedniu 24 stycznia 1914

²¹Do 1878 Pałac Radziwiłłów mieścił się w Berlinie przy Wilhelmstraße 77.
Odkupił go rząd dla potrzeb urzędu kanclerskiego

²²Uncja złota kosztowała pod koniec 1917 - 100 marek. Pod koniec 1919 1000 marek. W roku 1923 - 100 tys. marek.

²³Saurer - ciężarówka produkcji szwajcarskiej.

²⁴Karbidówka - lampa spalająca gaz powstały z reakcji karbidu z wodą. Używano ich kiedyś powszechnie w lampach rowerowych, motocyklowych i samochodowych.

²⁵Mjr Stanisław Taczak - od 27.XII 1918 do 16.I.1919 - tymczasowy naczelny dowódca powstania wielkopolskiego.

²⁶*Heimatschutz* - oddziały samoobrony

²⁷Unruhstadt (Kargowa) - nazwa od Krzysztofa Unruha, założyciela miasta.

²⁸Leśnictwo Klenica, tu Stiller (niem.).

²⁹Dorothenu - dzisiaj Dąbrówka, na trasie Kargowa-Klenica.

³⁰(niem.) Stać! Ręce do góry!

³¹*Heimatschutz Trebschen* - straż obywatelska z Trzebiechowa

³²Trachenberg – dzisiaj Żmigród.

³³[Korpus Bezpieczeństwa Wewnętrznego](#) – specjalna formacja wojskowa podporządkowana ministrowi bezpieczeństwa publicznego (1945–1954) – wg Wikipedii

³⁴*Obmann* (niem.) - tu: porządkowy mianowany przez pełniącego obowiązki burmistrza Zielonej Góry - Karla Laubego.

³⁵Pałac myśliwski Radziwiłłów, Zarząd, Klenica, pow. Zielona Góra

³⁶ Płk. Franciszek Niepokólczycki - prezes WiN od listopada 1945 do 18 października 1946

³⁷SPEZLAG Nr 2 - *Speziallager* nr 2 w latach 1945-1950 zorganizowany przez NKWD, na terenie KZ Buchenwalde, obóz koncentracyjny dla faszystów.

³⁸Szefem STASI był Wilhelm Zaisser, a Erich Mielke początkowo był jego zastępcą.

³⁹S-Bahn - szybka kolej miejska; w Polsce SKM

[40](#)Vincent van Gogh – Most w Langlois, z piorącymi kobietami.

41(niem.) Wejść!

⁴² Dwupłatowiec Po-2 prod. ZSRR. Produkowany na licencji do 1956 roku także w Polsce i w innych państwach.

[43](#)(ros.) Przejmuję kontrolę.

⁴⁴ZBOWiD – Związek Bojowników o Wolność i Demokrację.

⁴⁵ORMO – Ochotnicza Rezerwa Milicji Obywatelskiej

⁴⁶Ministerium für Staatssicherheit der DDR, Berlin, Normannenstraße 22

⁴⁷GST - *Gesellschaft für Sport und Technik*, w NRD odpowiednik ówczesnej polskiej Ligi Przyjaciół Żołnierza.

⁴⁸W latach 1945 -1960 najtańsze papierosy bez filtra w PRL

⁴⁹Grünberger Heimatgruppe in Verden e.V. - Stowarzyszenie byłych zielonogórczan w Verden

⁵⁰„Grünberger Wochenblatt” - wychodzący w Zachodnich Niemczech miesięcznik dla byłych mieszkańców Zielonej Góry i powiatu, zachowujący tradycyjny tytuł przedwojennego tygodnika.

⁵¹Spessart - pasmo górskie w południowo-zachodniej części Niemiec

⁵²LPG - Rolnicza Spółdzielnia Produkcyjna w NRD

⁵³*Zone* (z niem.), czyli NRD - radziecka strefa okupacyjna. Nazwa często używana w RFN.

⁵⁴IŻ (ros. Иж) - marka rosyjskich motocykli.

55(niem.) Tak, tak.

⁵⁶Po ekshumacji i przeniesieniu zwłok księżnej do Nieświeża w tym miejscu stanął pomniczek-popiersie cesarza Napoleona III, którego była zwolenniczką. Cesarz mianował jej dziadka Boniface de Castellane marszałkiem Francji.

⁵⁷Podróżnych przekraczających granicę, zwłaszcza tych z RFN-u, energetowscy pogranicznicy sprawdzali szczególnie dokładnie i mało uprzejmie. Tworzyło to kolejki przed przejściami.

⁵⁸Verden od 1993 partnerskie miasto Zielonej Góry.

⁵⁹Urząd Gaucka - potocznie nazywano tak Urząd Pełnomocnika Federalnego do spraw Materiałów Państwowej Służby Bezpieczeństwa NRD.

Spis treści

[Strona tytułowa](#)

[Wstęp](#)

[Część I](#)

[15 czerwca 1942, poniedziałek Gdzie jest Albert Burchel?](#)

[16 czerwca 1942, wtorek Zatopiony zaprzęg](#)

[19 czerwca 1942, piątek W pałacu pojawia się Leo Hundt](#)

[19 czerwca 1942, piątek Obiad i historia](#)

[19 czerwca 1942, piątek Ogrodnik i gorzelnia](#)

[19 czerwca 1942, piątek Co przytrafiło się Grecie?](#)

[20 czerwca 1942, sobota Tajny tunel i co wie dziadek?](#)

[20 czerwca 1942, sobota Ślady w korytarzyku?](#)

[21 czerwca 1942, niedziela O czym myśli inspektor Hundt?](#)

[22 czerwca 1942, poniedziałek Czego chce SS-Hauptsturmführer Rudolf Seppel?](#)

[Część II](#)

[8 czerwca 1914, środa Księżna powraca do Klenicy](#)

[26 czerwca 1914, niedziela List księżnej do syna](#)

[10 lipca 1915, niedziela Umiera księżna Maria Dorota](#)

[23 listopada 1918, sobota Spotkanie księcia i Burchela](#)

[27 grudnia 1918, piątek Specjalny kurier Naczelnika](#)

[29 grudnia 1918, niedziela Burchel znowu w Kaliszu](#)

[30 grudnia 1918, poniedziałek Burchel w Poznaniu](#)

[7 stycznia 1919, wtorek Z Wolsztyna do Klenicy](#)

[Kwiecień 1920 Śmierć księcia Stanisława i jej skutki](#)

[Część III](#)

[12 lutego 1947, środa Strzelanina w Klenicy](#)

[17 lutego 1947, poniedziałek Wizyta u Lubicza-Stasińskiego](#)

[Część IV](#)

[Początek 1946 Rudolf Seppel w Spezlagu nr 237](#)

[Początek 1947 Leo Hundt znowu w policji](#)

[8 października 1953, sobota Włamanie do mieszkania komisarza](#)

10 października 1953, wtorek W budynku Stasi w Karl-Marx-Stadt

Część V

27 czerwca 1958, czwartek Na łące za wałem ląduje samolot

26 lipca 1958, sobota Rozmowa z Kuflem

29 lipca 1958, wtorek Łopatowicz wraca do Klenicy

3 sierpnia 1958, niedziela Porady Kufla

4 sierpnia 1958, poniedziałek Konduktor i inni opisują domniemanego sprawcę

9 września 1958, czwartek STASI - Zarząd Okręgu Cottbus

17 października 1958, piątek Seppel wkracza do akcji

Część VI

27 października 1958, poniedziałek Ludzkie szczątki w rowie

24 grudnia 1958, wigilia Bożego Narodzenia Wspomnienia Kufla

18 stycznia 1959, niedziela Co zaszło w 1942 roku w Klenicy?

24 stycznia 1959, sobota „Grünberger Wochenblatt”

Część VII

15 lipca 1962, niedziela „Prywatni detektywi” zaczynają tam, gdzie skończyła milicja

22 sierpnia 1962, środa List od emeryta Hundta

25 sierpnia 1962, sobota Znaleźisko w rowie i stara taczka

26 sierpnia 1962, niedziela Co wiedzieli starzy autochtoni?

18 listopada 1962, niedziela Stare wygi dociekają

Epilog

Przypisy